Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

ISSN 0867-2237 nr indeksu 367125

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT NR 17–18 (1492–1493) 26 kwietnia – 9 maja 2019

W Polsce święci się wszystko – od jaj po wozy strażackie. Niech się święci 1 Maja.

Podwójny numer NIE na majówkę

DZIENNIK COTYG

Mogiła „Solidarności” str. 26

Mój brat z SS str. 2

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„NIE” wysmagane batem przez etyków.

Jak chrumkają Żydzi

MICHAŁ MARSZAŁ

Choć wydawać się może, że tygodnik „NIE” ma tyle wspólnego z reklamami, co Andrzej Duda z konstytucją, skutecznie wyleczyło nas z tego rozumowania groźnie brzmiące pismo, przysłane pod adresem redakcji 25 lutego. Stało w nim, że jakiś obywatel poczuł się urażony zajawką jednego z numerów „NIE”, o czym uprzejmie doniósł Komisji Etyki Reklamy działającej przy Radzie Reklamy.

Gdy już zdążyliśmy zabrudzić gacie, obawiając się kolejnej wielotysięcznej kary, szybko okazało się, że instytucja ta – proszę wybaczyć – może nam zasadniczo obciągnąć.

Rada Reklamy jest bowiem organizacją środowiskową, a nie państwową, i służy wyłącznie temu, by pilnować wybujałej wyobraźni chciwych firm i agencji reklamowych. Jeśli więc słyszycie codziennie w radiu o suplementach diety, które leczą wszystko, od grzybicy krocza po zaniki pamięci, albo pokapowaliście się, że zachwalana w telewizorze przez znanego aktora tania pożyczka ma w rzeczywistości lichwiarski procent, to Rada Reklamy jest właśnie od tego, aby takich reklam nie było.

Dziki

W naszym przypadku donosiciel poskarżył się na okładkę numeru 2/2019. Przedstawiała ona gromadkę dzików w różnych modnych w czasie wojny stylizacjach i napis: **„Nowe »NIE« już w kioskach!”.** Wpis umieściliśmy na swoim profilu na Facebooku, skąd szybko został zdjęty przez administrację serwisu, mimo że nasze treści śledzi tam co miesiąc z zainteresowaniem około trzech milionów ludzi.

Choć wydanie wzywające do powstrzymania rzezi populacji polskich dzików już dawno trafiło do wychodków, w liście stało jak byk, że według denuncjatora **„reklama ma charakter antysemicki i znieważa ofiary Holokaustu”,** a za to odbędzie się nad nami branżowy sąd. Postanowiliśmy bronić swych racji i zgłosiliśmy chęć udziału w wydarzeniu. 17 kwietnia poczłapaliśmy do eleganckiego biura przy ul. Willowej w Warszawie.

Płatki i inne

Aby pojąć, z czym na co dzień mierzyć muszą się pracownicy Komisji Etyki Reklamy, warto zajrzeć do archiwum uchwał podejmowanych przez tę instytucję. Tylko w tym roku mądre głowy zajmowały się m.in. takimi oburzającymi sprawami (pisownia skarg oryginalna):

„– Reklama płatków Cini Minis promuje kanibalizm. Płatek śniadaniowy zjada drugi płatek śniadaniowy tego samego rodzaju. Reklama promuje również złe zachowania takie jak lizanie drugiej osoby bez jej zgody, kruszenie podczas lizania oraz bekanie.

– Zwracam się do Państwa w sprawie tablicy, znajdującej się nad restauracją »Little Armenia« przy ulicy Głównej 48 w Poznaniu. Tablica ta przedstawia mapę Armenii, która nie oddaje rzeczywistych obszarów terytorialnych tego państwa. Mapa ta ukazuje obszar Armenii, wraz z okupowaną przez nią częścią Azerbejdżańskiej Republiki-Górskiego Karabachu.

– Reklama sugeruje że WieśMac to sielski posiłek. Reklama łamie Art. 8 gdyż hamburger to nie jest danie wiejskie. Produkcja tego jedzenia również odbiega od standardów jedzenia wiejskiego.

– Mieszane uczucia budzi we mnie hasło kampanii sieci Media Markt, które brzmi »Nieludzko niskie ceny«. Chodzi mianowicie o przymiotnik »nieludzki«, którego znaczenie było dla mnie zawsze negatywne, używane w kontekście wojny czy piętnowania obrzydliwych zachowań.

– Reklama piwa Żywiec, czerwona litera Ż na białym tle. Podpis »Tu się gra o Ż« została opublikowana w momencie, kiedy prezydent Gdańska Paweł Adamowicz walczył o życie. (…) Mniej więcej godzinę po publikacji reklamy prezydent Adamowicz zmarł.

– Reklama ciastek Oreo przedstawia wampira tańczącego z trupem na cmentarzu. Według mnie reklama ma negatywny wpływ na dzieci gdyż oswaja je z nekrofilią.

– Reklama dotyczy leku działającego na kolkę nerkową o nazwie Fitolizyna. Oburza mnie w tej reklamie fakt, że wiekowy już MĘŻCZYZNA podkreślam MĘŻCZYZNA mówi otwarcie: Czy jest coś gorszego niż ból porodowy? Tak, ból podczas kolki nerkowej. Jestem po porodzie, ponadto będąc w ciąży cierpiałam na kolkę nerkową i ból ten nie dorównuje niczym bólowi porodowemu!”.

Totolotek

Choć większość przeanalizowanych przez nas spraw kończyła się pobłażliwością wobec reklamodawców, w tym nawet medycznych szarlatanów i zawodowych oszustów, zarzuty sformułowane wobec „NIE” wyglądały poważnie.

Po odczekaniu swojej kolejki na korytarzu i poczęstunku zimną kawą wylądowałem w pomieszczeniu, w którym siedział elegancko ubrany przedstawiciel Totalizatora Sportowego. Odpowiadać miał za nie mniejszej miary skandal niż ja. Otóż w reklamie tej firmy, promującej przyznanie stypendiów wybitnie zdolnej młodzieży, gwiazdor reggae Kamil Bednarek zaśpiewał utwór „Hej, hej, ułani”. Oburzyło to jednego z patriotów, któremu nie spodobał się fakt, że tego typu wspaniały utwór wykorzystywany jest do tak podłych inicjatyw.

Choć puszczanie polskiego reggae to w istocie zbrodnia na narodzie, nie chciałbym, aby sympatycznemu przedstawicielowi Totalizatora spadł włos z głowy. Jako że firma jest we władaniu skarbu państwa, uroczyście więc przysięgam, że czekając na rozprawę z ich pracownikiem nie rozmawiałem, nie śmialiśmy się z podnoszonych zarzutów i że nie miał on nigdy w rękach tygodnika „NIE”, o którym ma zresztą jak najgorsze zdanie.

Żyd

Przewodniczącym zespołu orzekającego został Jarosław Kończak, doktor nauk humanistycznych, wykładowca na Wydziale Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego. Towarzyszyły mu Małgorzata Augustyniak, wiceprezes zarządu AMS SA, największej w kraju firmy billboardowej, oraz Marta Macke-Ejchart, posiadająca ponad 20-letnie doświadczenie w branży komunikacji marketingowej i *business development*, mentorka w Klubie Mentorek Sieci Przedsiębiorczych Kobiet.

Spodziewając się co najmniej kary 25 lat pozbawienia wolności albo 100 zł grzywny, wysłuchałem oskarżenia.

Odczytano mi zarzut z art. 2 Kodeksu Etyki Reklamy, który stanowi: **„Działania objęte postanowieniami Kodeksu będą wykonywane z należytą starannością, zgodnie z dobrymi obyczajami, prowadzone w poczuciu odpowiedzialności społecznej oraz zgodnie z zasadami uczciwej konkurencji”.**

Dokończenie na str. 6

Sprostowanie

„29 marca 2019 r., w artykule dotyczącym zawiadomienia byłego funkcjonariusza CBA o możliwości popełnienia przestępstwa przez szefa tej służby, tygodnik »NIE« zawarł szereg niezgodnych z prawdą twierdzeń, dotyczących marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego. Czytelników informowano o »sekstaśmach Kuchcińskiego«, »skomplikowanej operacji mającej na celu wyciszenie skandalu«, »zarzucie uprawiania seksu z małoletnią« oraz zadano publicznie pytanie, czy Marszałek Sejmu »jest trzymany przez kogoś w szachu kompromitującymi materiałami«.

Andrzej Grzegrzółka
dyrektor Centrum Informacyjnego Sejmu”.

Do tego sprostowania autor publikacji „Nieletnia laska marszałkowska” zgodnie z prawem prasowym będzie mógł się odnieść dopiero w następnym numerze „NIE”.

O prawie prasowym, które nakazuje drukowanie sprostowań bez wnikania w ich prawdziwość, czytaj na str. 7.

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125 17
9 770867 223904

eprasa.pl fdfd39ccec

Co tam zamachy na Sri Lance. Co tam spalona katedra. Co tam brexit i prezydent komediant na Ukrainie. W Polsce jest majówka! A jeśli majówka, to tylko z „NIE”:

3 **Mienie popiłsudskie** – Współcześni legioniści zostali stworzeni, aby walczyli ze sobą, a nie z zaborcami.

4 **Dziedzic Suski** – Najzabawniejszy członek pisowskiego rządu.
Bruksela łelkam tu – Komiks: PiS czeka na Parlament Europejski, ale czy Parlament Europejski czeka na PiS?

5 **Ciąża jak rak** – W biurokratycznych bólach rodzić będziesz.

6 **Kukła też człowiek** – Polski kij i Judasza ryj.

7 **„NIE” szanuje prawo** – …nawet wówczas, gdy to nie jest sprawiedliwość.
Jezus w apelacji – Urban siedem lat w Tybecie? Nie. W sądzie.

8 **W pytę skarżypyta** – Co ma więzień? Szczoteczkę do zębów i słuchać klawisza.

9 **Żydokomunistki z opieki społecznej** – Do czego prowadzi lustracja obywatelska.

10 **Prawdziwe kłamstwa** – Ekonomiczna mitologia stosowana.
Włodkowe zamiast Jarkowego – Lider SLD też chce uszczęśliwić emerytów.
Polska idzie w kanał – Jak z Gdańska do Odessy przepłynąć wpław w kaftanie bezpieczeństwa.

12 **Dialogi dam w drodze do kościoła**
Planeta małpek – Polska specjalność: pijaństwo małolitrażowe.
Jeszcze wódka nie zginęła – …póki my pijemy. PiS udaje, że walczy z alkoholizmem.

14 **Rzut kurwą** – Dziennikarz klnie jak szewc, który bez butów chodzi.

15 **Prawa strona tęczy** – Rozmowa z gejem, który nie przepada za gejami.

16 **Ciężarówki do stania** – Unijny drogowskaz pokazuje polskiemu kierowcy, gdzie, z kim i jak długo ma spać.
Sześć osi i się prosi – Na czym polega zawód poganiacza TIR-ów.

17 **Bieda dla bogatych** – Daje nam przykład Norwegia, jak podatki płacić mamy.

18 **Co urodziłam, to moje** – Matka Polka: odrażająca, zachłanna, zła.

19 **Smród ruskich pieniędzy** – Jak pisowski rząd zamordował najbardziej rentowny bazar w Polsce.

20 **Fitness dla zwierząt** – O kobiecie, która hoduje kury i sympatię dla prawicy.

21 **Grill i kamieni kupa** – Biurokracja z rusztu. Fotokomiks – W poszukiwaniu świętego grilla.

22 **Homohobby** – Jeśli obywatel Watykanu nie jest gejem, to znaczy, że jest pedofilem.
Z czarnej dupy się wyrwało

23 **Wieści z kruchty**
Trybuna ludzi

24 **Łatwopalność wiary** – Notre Dame w każdej wsi.

25 **Łuk imienia Kurskiego** – Armia Czerwona wygrała II wojnę światową dwa lata przed jej zakończeniem.

26 **Mogiła „Solidarności”** – Kombatanci styropianowi kontra weterani wojenni.
Obozy tylko polskie – Polski rząd wyrzuca Rosjan z historii.
Bo modlili się cyrylicą – Katolickie prawo zabijania prawosławnych.

28 **Obrona Hawany** – Trump szykuje drugą inwazję w Zatoce Świń.
Wieści gminne i inne

29 **Listonosz doniósł**

30 **Kraina znudzonych psów** – Służbowe owczarki mają fajrant.
Podludzie – Apartheid po pisowsku.

31 **Z dymem opon** – Żużlowy zawrót głowy.

32 **Słówka półgłówka**
Blog wszystkich świętych by blagier Urban
Przygody Jarka Niezdarka – Komiks: sceny intymne z życia naczelnika państwa.

Kolejny numer „NIE” ukaże się w piątek 10 maja 2019 r.

URBAN

Mój brat z SS

W Niemczech oskarżają i sądzą 92-letniego strażnika niepolskiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego. Deklaruję solidarność ze ściganym.

Podsądny nie mordował, tylko pilnował osadzonych. Strzelał wyłącznie wtedy, gdy ktoś uciekał, nieprowokowany więc nie zabijał. Podobne uprawnienia, nasze państwo nadaje ochronie więzień.

Niemiecki strażnik jest sądzony za zajęcie, którym parał się 75 lat temu. Przez taki czas każdy się zmienia. Choćby, jak on, z dziarskiego młodzieńca w kupę nieszczęścia.

Oskarżenie twierdzi, że strażnik nie musiał nim być, mógł odmówić wykonania tej pracy. To kłamstwo. Za podobną niechęć do zajmowania stanowiska, m.in. na wieżyczce strzelniczej, rutynowo wysyłano na front wschodni. Szansa przeżycia i zachowania kompletu rąk i nóg wynosiła tam pół na pół. Szczęśliwców najczęściej czekał obóz jeniecki w ZSRR. Z tych zakładów 10 lat po wojnie wróciła nikła mniejszość „plennych”. Eksstrażnik był nim więc w obozie z wyższej konieczności, bo dla ocalenia życia lub integralności cielesnej.

Skazanie starca dokona się tylko pro forma. Prawdopodobieństwo, że dożyje on prawomocnego wyroku jest bowiem nikłe. Praca wymiaru sprawiedliwości pójdzie się więc jebać, a koszty pieniężne znęcania się nad tym człowiekiem są znaczne.

Szkoda, że obrońca dziadygi nie czyta „NIE”, nie może się więc powołać na solidarność Żyda z podsądnym. Deklaruję ją, mając w pamięci własne doświadczenia psychologiczne. Są one związane z niehitlerowskim, niestalinowskim, lecz łagodnym i powściągliwym w represjach systemem władzy generała Jaruzelskiego.

Gdy w połowie 1981 r. przyjąłem propozycję pracy w rządzie, sam dla siebie ustanowiłem szlaban: odejdę, jeżeli nasze władze swe oskarżenia opierać będą na fałszywych, wytwarzanych przez siebie dowodach, m.in. na wymuszanych zeznaniach. To ograniczenie uczestnictwa wywiodłem z doświadczeń mojego dorosłego życia. W połowie lat 50. XX w. przystąpiłem do krytycznego wobec realnego socjalizmu, a skrajnie antystalinowskiego tygodnika „Po prostu”. Czytać wtedy zacząłem o zbrodniach stalinizmu w ZSRR i u nas nie tylko w książkach wydawanych po polsku w kraju i za granicą, ale i w dostępnych mi dokumentach. Szczególne wrażenie wywarł na mnie raport komisji Szerera,

Rys. TOMASZ WIATER

prześlepiony w czasie gdy powstał. Chyba nieznany też współczesnym historykom. Śledząc ich publikacje, nie znajduję bowiem żadnych do niego odniesień.

Mieczysława Szerera znałem osobiście. Był bezpartyjnym sędzią Sądu Najwyższego PRL. Przed wojną wysokim urzędnikiem sanacyjnego rządu i mężem wielkiego przemysłu w osobie córki Lilpopa. Czyli niereżimowcem. W zalewie opisów zbrodni „minionego etapu” jego raport wyróżniał się jednym doniesieniem, które mną wstrząsnęło.

Prezydent Bolesław Bierut w czasie swego urzędowania przedstawiany był jako dobrotliwy pan. Na starych kronikach filmowych słodka sarenka wyprowadza głowę państwa na spacer. Według Szerera Bierut kiedy odmawiał prawa łaski przeciwnikom skazanym na śmierć, bywało, że dołączał pisemną uwagę, żeby zaczekać z egzekucją, zatajać, że jest nieuchronna. Skazaniec, bojąc się śmierci, może bowiem oferować jeszcze jakieś zeznanie przydatne w kolejnych procesach politycznych. Wydało mi się to szczególnie obrzydliwe.

W epoce Gomułki po 1956 r. nie fabrykowano już fałszywych dowodów, lecz bywało, że w inny sposób naciągano oskarżenie. Np. kierowca, który za 500 zł wywiózł coś ciężarówką z zakładu i ze śledztwa wynikało, iż nie musiał wiedzieć, co w niej jest, skazywany był za uczestnictwo w zorganizowanej grupie przestępczej na 20 lat, a nawet więcej. W Nowym Dworze zdarzyły się przypadki gwałcenia dziewczyn i zabójstwo jednej z nich. Władze stworzyły zaś psychozę, w której wyniku w całym kraju zapanowała epidemia rzekomych gwałtów. Uczestniczki życia seksualnego polubiły bowiem oskarżanie partnerów o przemoc, co czyniło z nich bohaterki sal sądowych i mediów, a też niewiniątka w gronie rodzinnym.

To wszystko, do kupy biorąc, skłoniło mnie do zakreślenia sobie może nisko postawionej, ale moralnej bariery uczestnictwa we władzy. Nie dotrzymałem zobowiązań wobec siebie. Nawet nie zauważałem, że pokonuję poprzeczkę.

Nie odszedłem, gdy MSW obwiniało warszawskie pogotowie ratunkowe o śmierć maturzysty Przemyka. Domyślałem się, że zgon był skutkiem pobicia chłopca na komisariacie milicji na Starym Mieście, a oskarżanie sanitariuszy jest preparowane w obronie funkcjonariuszy. Miałem dla siebie usprawiedliwienie w tym, że opozycja oskarżała nas wtedy o umyślne mordowanie jej dzieci, po to żeby zastraszyć rodziców. Straszliwe to kłamstwo naszych wrogów trzeba było odeprzeć. Cóż więc, że zrobiono to nieudolnie. Dziś wiemy już, że policji w każdym ustroju zdarza się takie bicie aresztantów, iż nie udaje się im przeżyć.

Motywu obrończego pozbawione jednak było oskarżenie o szpiegostwo amerykańskiej dziennikarki nazwiskiem Gruber. Miała ona przejmować od kuriera przybyłego pociągiem z Gdańska fotografie obiektów wojskowych. Przypuszczałem, że to ustawka, ale nie złożyłem urzędu. Dziennikarkę wyproszono z Polski. Tłumaczyłem sobie, że przecież nic złego jej się nie stało. Przez to zasada, którą sobie narzuciłem, stała się mało ważna.

Kilkanaście lat później, już za niepodległości, urządziłem w domu przyjęcie dla byłego ambasadora USA w Warszawie Daviesa i grupy dawnych korespondentów zachodnich, którzy zrobili sobie wtedy zjazd w Polsce. Obecna na ochlaju Gruber poprosiła mnie o dowiedzenie się, dlaczego właśnie ją kontrwywiad zrobił szpiegiem. Spełniłem jej prośbę. Napisałem do niej, iż wyjaśniono mi, że była kochanką szefa CIA na Polskę, działającego pod przykrywką dyplomaty. Spodziewano się więc, że gdy Gruber opuści Polskę, w ślad za nią wyjedzie szef placówki wywiadowczej. Kiedy jednak Gruber fałszywie wtedy oskarżono, rozpyliłem to kłamstwo, nie znając jego miłosnego podłoża, czyli usprawiedliwienia dla siebie przed sobą.

Przez te stare historie pragnę wyrazić prawdę uniwersalną, że uczestnicząc w jakiejś grupie – w moim przypadku we władzach PRL – stopniowo zapomina się o etycznych ograniczeniach, które na początku wielu ustanawia sobie samym.

Dotyczy to kłamiącej elity PiS i jej podwładnych ślepo wspomagających łganie. Poczucie zła kurczy się przez zbiorowe w nim uczestnictwo. Ludzie parający się polityką bardziej są przyzwoici w pojedynkę niż pod osłoną stada. Zresztą ja uważam moralność w ogóle za ucisk stada, czasem trafny, częściej nieuprawniony.

Nie sądzę, żeby strażnik hitlerowskiego obozu postanowił sobie, że strzelając do uciekiniera, nie trafi. Ludzie komplikujący swoją służebność nie bywają bowiem zwykłymi strażnikami. Moje doświadczenia dotyczące rozluźniania sobie rygorów w toku uczestnictwa należą jednak do powodów tego, że rad bym bronić esesmana jak siebie samego. Rozszerzam przez to tolerancję wobec uczestnictwa w ogóle. Niezawiśli, bo niemieccy sędziowie! Łapy przecz od mojego prekursora z SS. □

sekr@redakcja.nie.com.pl

Rys. TOMASZ WIATER

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Rafał Ziemkiewicz** powiedział, że homoseksualizm bierze się z traumatycznych doświadczeń z dzieciństwa. Szczęśliwe dzieci wyrastają na homofobów.
- **TVP Info** poinformowała, że pszczoły przetrwały pożar Notre Dame. Dziwne, że gniazdo pszczół przetrwało w gnieździe os.
- **Premier Morawiecki** wystąpił w wielkanocnym spocie reklamowym z nieznaną trzypokoleniową rodziną. Szczęśliwa rodzina miała prawdziwego wielkanocnego baranka przy stole.
- **Abp Głódź** powiedział, że strajk nauczycieli skrzywdził wrażliwość, idealizm i zaufanie ludzi młodych. Wierzymy – przecież Kościół jest autorytetem w sprawie krzywdzenia młodych ludzi.
- **Ks. Dariusz Oko** powiedział, że genderyzm to opętanie seksem. Trzeba przyznać, że nikt nie zrobił więcej dla promocji gender niż ks. Oko.
- Jak podaje **Gazeta.pl,** z powodu pyłu znad Sahary w Polsce spodziewane są brudne deszcze. Znowu przybędzie Jezusów na szybach w oknach.
- **Dziennikarz TVP Info** przeprosił **Joachima Brudzińskiego** za słowa: „Odwal się pan”. Widać śmigus-dyngus był w tym roku bardziej zakrapiany niż zwykle.

MARTA M.

eprasa.pl fdfd39ccec

TADEUSZ JASIŃSKI

Legioniści wymarli. Przy życiu pozostają ich szaleni wielbiciele.

Mienie popiłsudskie

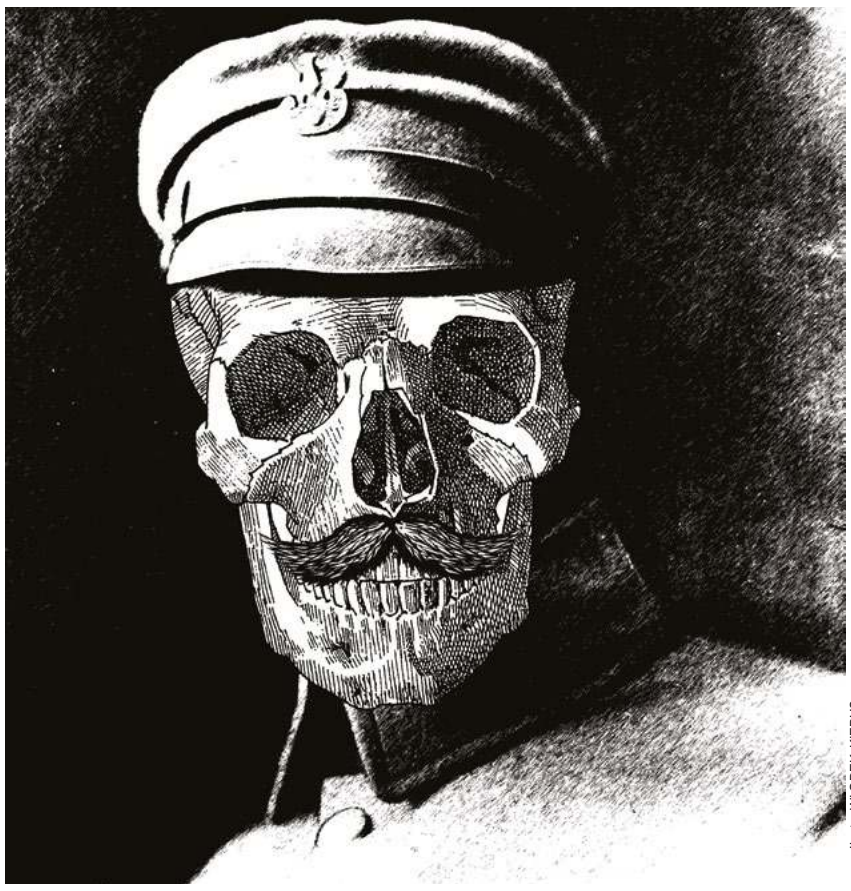

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Mało kto zwrócił uwagę na informację, że **„Piotr Gliński rozpoczął postępowanie w sprawie zakazu działalności Muzeum Czynu Niepodległościowego na krakowskich Oleandrach. Zdaniem ministerstwa kontrola w tej instytucji wykazała, że muzeum zagraża bezpieczeństwu zwiedzających oraz eksponatom”.** W tych dwóch zdaniach zawiera się opis tak wielu zdarzeń: nacjonalizacji mienia komunalnego, dyskusji, kto jest najbardziej patriotycznym patriotą, są praworządność, czaszki, prokuratura, buława marszałkowska, prezydent Krakowa, a nawet Antoni Macierewicz.

Wśród fałszów siać siew szlachetności

Żeby coś z tego zrozumieć, należy się cofnąć do wczesnych lat 70. XX w. Krystian Andrzej Bolesław Waksmundzki zaprzyjaźnia się z dwoma niegdysiejszymi legionistami Piłsudskiego. Po wprowadzeniu stanu wojennego Waksmundzki zaczyna działać. Początkowo głównie w nowo powołanym Komitecie Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego. W tym czasie posługuje się tytułem doktora geografii. Ponieważ Kraków jest pełen upierdliwców, to szybko znajduje się ktoś, kto twierdzi, że Waksmundzki doktoratu nie zrobił. Odpowiedź Waksmundzkiego jest miażdżąca – jest doktorem, bo ma do tytułu prawo moralne.

W czasie opiekowania się kopcem Waksmundzki zabiera kilkadziesiąt urn z ziemią z pól bitewnych oddziałów Marszałka. A ponieważ ich nie oddaje, zostaje przywołany przez władze komitetu do porządku. Oskarżeniom o ich kradzież zadają kłam świadkowie Waksmundzkiego zeznający, że na kościół, w którym zdeponowano urny, napadła bojówka. Liczyła 26 osób, a na jej czele stał Jerzy Bukowski, też opiekujący się kopcem. Od tej pory nazwisko Bukowskiego będzie się pojawiało przy okazji kolejnych dokonań Waksmundzkiego.

Ostatki swych poświęcić dni

Kilka lat później to prawo moralne każe stanąć Waksmundzkiemu na czele Związku Legionistów Polskich. Mimo że urodził się 20 lat po rozwiązaniu legionów, to zasłużył się dla nich, zdobywając na początku lat 90. budynek przy Oleandrach. Wystarczyło, że namówił kilku 90-latków, aby ogłosili głodówkę. Ogłosili i po paru godzinach władze Krakowa pozwoliły Waksmundzkiemu zająć wielki budynek w centrum Krakowa. Zaraz po tym Waksmundzki poinformował, że urządzi tam Muzeum Czynu Niepodległościowego.

O tym, że od teraz można go tytułować naczelnym komendantem Związku Legionistów Polskich, też poinformował. Oraz o powołaniu się na Wielkiego Kanclerza Virtuti Civili i Wielkiego Mistrza Kapituły Orderu Honoru. W uzasadnieniu do autonominacji podniósł fakt bycia cioteczny wnukiem marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego.

O ileż mąk, ileż cierpienia

Jako kustosz muzeum i cioteczny wnuk marszałka w roku 1994 Waksmundzki wypożycza ze zbiorów Jasnej Góry do ekspozycji buławę Rydza-Śmigłego. Potem jej nie oddaje. Paulini robią raban. Waksmundzki staje przed sądem i dostaje wyrok – 2 lata w zawiasach, jeśli odda buławę. Nie oddaje i trafia na rok do pierdla. Tam przechodzi gehennę, bo – jak opowiada – dwakroć chciano go zamordować. W połowie wyroku prezydent Kwaśniewski stosuje prawo łaski i Waksmundzki wychodzi na powietrze.

Jego ludzie w tym czasie czuwali i budynek przy Oleandrach wciąż służył legionistom. A zęby na niego ostrzyli sobie ludzie z Komitetu Kopca, którzy założyli Porozumienie Organizacji Kombatanckich i Niepodległościowych – z Jerzym Bukowskim na czele.

Dla Waksmundzkiego było to coś więcej niż policzek, bo w mediach Bukowski pojawiał się teraz częściej niż Waksmundzki. Komendant kolejne lata poświęcił zatem, aby pognębić Bukowskiego uzurpującego sobie rolę najprawdziwszego krakowskiego Polaka. Jął opowiadać, że rozpowszechniane przez Bukowskiego opowieści o tym, jakoby Waksmundzki kradł na Podhalu kożuchy i barany oraz mordował je w stanie upojenia alkoholowego, są nieprawdą – wszak Waksmundzki jest harcerzem, zatem abstynentem.

Od 2006 r. jest też Komendantem Głównym Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny.

Krzyczeli, żeśmy stumanieni

Zwycięskie boje i potyczki Waksmundzkiego nijak się miały do Muzeum Czynu Niepodległościowego i budynku przy Oleandrach. Muzeum funkcjonowało tylko nominalnie, a budynek zaczynał się sypać. Ponieważ oficjalnie należał on do Krakowa, to wreszcie przypomniały sobie o nim władze miasta. Postanowiły nieruchomość przejąć we władanie.

Waksmundzki się nie zgodził i rozpoczęły się kolejne procesy.

W 2010 r. Naczelny Sąd Administracji orzekł, że nie może być mowy o tym, iż ZLP Waksmundzkiego jest spadkobiercą przedwojennego Związku Legionistów. Czyli nie ma prawa do budynku postawionego z pieniędzy ZLP przed wojną.

Prezydent Krakowa Jacek Majchrowski zażądał wydania budynku. Waksmundzki złożył w sądzie kwity przemawiające za uznaniem, iż ZLP jest właścicielem Oleandrów przez zasiedzenie.

A z nami był nasz drogi wódz!

Kolejne instancje i kolejne przegrane z Krakowem tylko upewniały Waksmundzkiego, że walczy w słusznej sprawie.

Co z tego bowiem, że Bukowski zarzucał media oświadczeniami Porozumienia Organizacji Kombatanckich i Niepodległościowych w Krakowie: usiłując wyprowadzić z kiosków markę papierosów „Che” z podobizną Ernesto Guevary; domagając się interwencji rządu w sprawie uzyskania od Niemiec reparacji wojennych; wnioskując do prezydenta o odebranie Virtuti Militari zdrajcom Polski; apelując do Ziobry **„o niedopuszczenie do powrotu komunistycznego nazewnictwa ulic w Warszawie”?**

Bukowski pisał, a w tym czasie Antoni Macierewicz **„w uznaniu zasług za wykonywanie zadań na rzecz obronności państwa”** awansował Krystiana Waksmundzkiego na stopień majora Wojska Polskiego. Wniosek o awans skierowała do MON Federacja Polskich Związków Obrońców Ojczyzny – z Waksmundzkim na czele.

Zasadą jest: za krew chciej krwi.

Dowartościowany awansem Waksmundzki poszedł za ciosem i zażądał od gminy Kraków dwóch milionów złotych za to, że muzeum przy Oleandrach rozsławia imię miasta, czyli je promuje. Za promocję zaś się płaci.

Sąd nie podzielił zdania Waksmundzkiego. Ale pomysł zainspirował urzędników. Wysłali zatem komendantowi naczelnemu rachunek na milion złotych za bezumowne zajmowanie własności miasta. Waksmundzki do płacenia się nie poczuł.

Rok temu w marcu na legionistów zwaliło się państwo. Ludzie Majchrowskiego uznali, że pora napisać do zawiadującego wszystkimi muzeami wicepremiera Glińskiego o tym, że w muzeum przy Oleandrach dzieją się pańskie jaja. Eksponaty w ciemnych salach i korytarzach. Niektóre pokoje zaplombowane. Wpuszcza się tam tylko tych, którzy dostaną zgodę komendanta. ZLP nie ma pieniędzy nawet na ciepło i prąd, zatem 5-piętrowy gmach niszczeje: widać pęknięcia na ścianach i zacieki.

Gliński się przejął i wysłał Waksmundzkiemu kontrolę. Oprócz niej

na Oleandry wpadła też prokuratura w celu zbadania, czy w Domu im. Józefa Piłsudskiego doszło do zbezczeszczenia zwłok.

Waksmundzki opowiadał, że muzeum posiada prochy ostatniego komendanta głównego Armii Krajowej gen. Leopolda Okulickiego oraz wicepremiera polskiego rządu podziemnego Jana Stanisława Jankowskiego. **„Czaszkę z dołu katyńskiego”** też ma. Szczątki trafiły zatem do Zakładu Medycyny Sądowej. A do sądu zażalenie legionistów na prokuratorski nakaz wydania czaszki i dwóch urn.

Nieść życie swe dla ideału

Krecią robotę przeciwko Waksmundzkiemu kontynuował Bukowski. W jej ramach Komitet Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego przy Towarzystwie Miłośników Historii Zabytków Krakowa (czyli Bukowski) zawiesił współpracę z Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku po nawiązaniu przez tę placówkę kontaktów z kierowanym przez Krystiana Waksmundzkiego Związkiem Legionistów Polskich. Tym samym Bukowski dał do zrozumienia wszystkim innym, że mają się opowiedzieć po właściwej, prawdziwie niepodległościowej stronie.

Naciskany przez wszystkich Waksmundzki przeprowadził manewr obronny. W przeddzień setnej rocznicy niepodległości podpisał z Muzeum Narodowym w Krakowie list intencyjny, w którym zadeklarował wolę **„przekazania w darze Muzeum Narodowemu w Krakowie zbiorów Związku zgromadzonych w Muzeum Czynu Niepodległościowego na krakowskich Oleandrach”.**

Muzeum wyraziło zaś **„wolę objęcia zbiorów pełną opieką konserwatorską, utworzenie w swej strukturze oddziału pod nazwą »Muzeum Czynu Niepodległościowego« oraz wspólne ze związkiem dążenie do utrzymania siedziby przyszłego oddziału w Domu im. Józefa Piłsudskiego”.**

Gdy kwit dotarł do krakowskiego magistratu, powstała nerwówka. Urzędnicy Majchrowskiego byli pewni, że Waksmundzki załatwił z Glińskim to, że

muzeum i budynek staną się państwowe, a legioniści jak gmachem zawiadywali, tak będą to robili po czasu kres. Wyglądało na to, że Kraków został wydymany.

Gliński wytłumaczył jednak, że wszystkie decyzje będą podejmowane z udziałem gminy Kraków. W co nikt z magistratu nie uwierzył.

Zostanie wam potomnych wstyd!

Tymczasem 2 stycznia sąd stwierdził, że żadnego zasiedzenia przez legiony nie było i Waksmundzki ze zbiorami mają wypad z baru. Do szczęścia brak Majchrowskiemu tylko sądowego postanowienia o wydaniu nieruchomości.

Postanowienia nie będzie. Waksmundzki odnalazł bowiem zaginione od lat kserokopie ksiąg wieczystych, które mają wszystko zmienić. Nie zmienią niczego, bo ZLP Waksmundzkiego to przecież coś innego niż wpisany w księgi ZLP.

Do grona osób, w stosunku do których Waksmundzki nie zrobił tego, co obiecywał, dołączył dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie. Dyrektor wkurzył się zatem i napisał o tym Glińskiemu.

Dlatego teraz Gliński chce muzeum zamknąć i urządzić nowe. Zaproponował, **„kierując się dobrem dziedzictwa narodowego, którego częścią są zbiory Muzeum Czynu Niepodległościowego, jak i jego siedziba zabytkowy Dom im. Józefa Piłsudskiego, rozwiązanie polegające na przekazaniu zbiorów Muzeum Narodowemu w Krakowie i docelowo utworzenie na ich bazie w odrestaurowanym Domu im. Józefa Piłsudskiego nowego Muzeum Czynu Niepodległościowego. Byłoby ono oddziałem MNK”.**

Ponieważ nie ma w tym ani słowa o właścicielu budynku, czyli Krakowie, do walki staną teraz wszyscy. Na czele stanie Bukowski, któremu pomieszczenia przy Oleandrach po wyrzuceniu Waksmundzkiego obiecali i Majchrowski, i Gliński. □

PS Śródtytuły to wersy z Marszu Pierwszej Brygady.

REBUS 1

eprasa.pl fdfd39ccec

Państwo PIS

Dziedzic Suski

Portret psychologiczny posła i ministra.

Gdy pod koniec lat 80. zeszłego stulecia Thomas Harris pisał powieść „Milczenie owiec”, Sekcja Behawioralna Federalnego Biura Śledczego w USA istniała zaledwie od dziesięciu lat, a tzw. portret psychologiczny, sporządzany przez profilerów FBI, służył wyłącznie do poszukiwania morderców, zresztą przeważnie seryjnych. Marek Suski miał wówczas 30 lat i pracował w zakładzie rzemieślniczym, po tym jak opuścił posadę perukarza w stołecznym Teatrze Wielkim.

Dziś portret psychologiczny jest narzędziem, którym – oprócz policjantów – posługują się psychologowie zatrudnieni w charakterze łowców głów przez kadrowych wielkich korporacji, dyrekcje prywatnych szkół i przedszkoli, a nawet przez bossów organizacji mafijnych. Dziś Marek Suski jest politykiem – posłem Prawa i Sprawiedliwości oraz powołanym przez premiera Mateusza Morawieckiego szefem jego Gabinetu Politycznego w randze sekretarza stanu. Powiedziałbym, że Suski należy do układu mafijnego, gdyby nie to, że za takie stwierdzenie PiS pozwało w zeszłym roku red. Wojciecha Czuchnowskiego z „Gazety Wyborczej” do sądu. Ale, ale… PiS jest organizacją? Jest. Ma powiązania z władzą i policją? Ba – samo jest władzą i policją. Łamie prawo? Łamie konstytucję, czyli prawo najwyższe. Mniejsza o to…

Dawniej portret psychologiczny robiło się na zasadzie: po czynach ich złapiecie. Dziś: po czynach (a częściej: po słowach) ich przyjmiecie. Posłużę się portretem psychologicznym Suskiego, aby przekonać się, czy nadaje się on na:

a) prowadzącego talk-show w popularnej stacji telewizyjnej lub

b) menedżera w korporacji o zasięgu światowym lub

c) żołnierza mafii, względnie członka partii politycznej.

1. Przykład najbardziej kochany i tak znany, że dzieci na podwórkach (ale nie na Żoliborzu) ułożyły wyliczankę: **„Czy to głąb jest ruski, czy bałwan etruski? Nie, to poseł Marek Suski. Raz, dwa, trzy, osłem (lub rzadziej: posłem) będziesz ty”.** Chodzi oczywiście o nazwisko carycy, o które Suski zapytał na posiedzeniu sejmowej komisji śledczej ds. afery Amber Gold – jako jej ówczesny wiceprzewodniczący.

Człowiek prosty, który kieruje się zasadą czarne jest czarne, a białe białe, oceni Suskiego jako niewykształconego ignoranta, który uważa za konieczne zadać przesłuchiwanemu jakieś pytanie, choćby najbardziej idiotyczne.

Ale nie profiler! (Wyjaśnienie dla ministra Suskiego: profiler to ktoś inny niż prolifer, czyli aktywista organizacji antyaborcyjnej). Profiler dostrzeże w Suskim potencjał. Zauważy aktywność: nie musi, a jednak pyta. Odwagę: pyta, mając świadomość, że zostanie to pokazane w telewizji. Postawę filuta: pyta, przypuszczając, że rozbawi tym publiczność. (Wyjaśnienie dla Suskiego: filut to nie to samo, co fiut).

Od telewizji: 1 pkt za odwagę i obycie z kamerami.

Od korporacji: 1 pkt za aktywność i kreatywność – chociaż niektórzy utrzymują, że obie te cechy dyskwalifikują do pracy w korporacji.

Od mafii: 0 pkt. Wprawdzie w romantycznej mafii opisanej w serialu „Rodzina Soprano” nie brakuje Cyganów, którzy dają się powiesić, aby rozbawić towarzystwo, ale współczesne mafie są bardziej pragmatyczne.

2. Sprawa tablicy wystawionej przed sejmowym biurem klubu Platformy Obywatelskiej, opisującej „srebrny” układ Kaczyńskiego. Najpierw tablicę zaaresztowali funkcjonariusze Straży Marszałkowskiej, a gdy pojawiła się nowa, komendant płk Piotr Rękosiewicz zwolnił strażników z obowiązku jej ścigania, za co zresztą zapłacił utratą posady. Wówczas na arenę wszedł gladiator Suski, który w obecności kamer monitoringu zabrał tablicę i dumny z siebie uprowadził ją w siną dal.

Powiecie: zagranie niezbyt mądrego straceńca – zwłaszcza że nazajutrz stanęła trzecia tablica, a media nadały tej sprawie rangę żółtego paska.

Rasowy profiler doceni akcję Suskiego. Zobaczy w nim człowieka czynu: inni narzekali i odgrażali się, a tylko on z całej rzeszy pisowców zamienił słowa w działanie. Uczynił to z uśmiechem facecjonisty na twarzy. (Wyjaśnienie dla Suskiego: facecjonista to nie filatelista). Oraz w obronie honoru bossa, czyli prezesa Jarosława Kaczyńskiego. To, że również w obronie swojej czci, jego fotografia także była bowiem przyklejona na tablicy, ma mniejsze znaczenie.

Telewizja: 2 pkt. za kamery i show.

Korporacja: 1 pkt za inwencję i aktywność.

Mafia: 3 pkt. za ślepe oddanie bossowi, za ofiarność i odwagę.

3. Przedsiębiorstwo Państwowe Porty Lotnicze za niewygórowaną kwotę 12 mln zł kupiło martwy port lotniczy w Radomiu. Trzeba zainwestować setki milionów złotych, żeby port ożywić, a nawet wówczas będzie deficytowy. Media ryczały o klasycznym przedwyborczym wyrzucaniu państwowych pieniędzy w błoto. Suski, poseł Ziemi Radomskiej, znalazł uzasadnienie dla tej transakcji. **„Z tych analiz, które były robione, wynika, że większość Polaków lata na południe Europy czy też do krajów afrykańskich. Czyli lotnisko położone na południe od Warszawy jest bardzo dogodne dla przewoźników i dla pasażerów”** – powiedział, a powieki mu nie drgnęły.

Głupek – obrazi publiczność ministra. I doda, że lotnisko powinno się zbudować w Murzasichlu, bo to jeszcze bardziej na południe od Warszawy. Brawo – powie profiler. Po pierwsze, Suski zna dopełniacz rzeczownika „analiza” w liczbie mnogiej. Po drugie, zna destynację podróży większości Polaków. (Wyjaśnienie dla Suskiego: destynacja to zupełnie co innego niż destylacja). Po trzecie, wie, że Radom leży na południe od Warszawy.

Rys. BARTŁOMIEJ BELNIAK

Telewizja: 0 pkt. – znajomość geografii rasowego prowadzącego w talk-show powinna ograniczać się do mapy pogody.

Korporacja: 1 pkt – uzasadnianie każdego, nawet najbardziej kretyńskiego zakupu to kierunek dobry, ale w tym wypadku wykonanie mało profesjonalne.

Mafia: 0 pkt. – byłaby mowa o sukcesie, gdyby Porty Lotnicze dokonały zakupu, a boss zainkasowałby pieniądze na rachunku w raju podatkowym.

4. **„Posłowie mają 8 tysięcy złotych brutto pensji podstawowej, więc jeśli nauczyciel dyplomowany ma z kawałkiem 5 tysięcy złotych brutto, to jest to nieduża różnica między posłem a nauczycielem”** – powiedział Suski w epicentrum światowego huraganu antyrządowego, który przechodził nad Polską, czym rozwścieczył nawet tych nauczycieli, którzy do strajku podchodzili dotychczas jak pies do jeża.

Bałwan albo prowokator – powiecie niegrzecznie.

Owszem, bałwan, ale intencje miał dobre – powie profiler. Kłamać można, wypada, czasem nawet trzeba, lecz z głową. Po co podawać kwoty? A jeśli już podawać, to pensję posła należałoby określać w kwocie netto, a nauczyciela w brutto – byłaby mniejsza różnica. Słowa „pensji podstawowej” – niewybaczalne!

Telewizja: 1 pkt za bezczelność (2 pkt. od obecnej telewizji publicznej – za popieranie właściwej linii partii).

Korporacja: 0 pkt. za absolutny brak talentów koncyliacyjnych i negocjacyjnych.

Mafia: 0 pkt. za poruszanie tematu pieniędzy w takim kontekście. (Wyjaśnienie mafii dla Suskiego: polski rzeczownik koncyliacja ma niewiele wspólnego z włoskim rzeczownikiem *consigliere*).

5. W rozmowie z Robertem Mazurkiem Suski zdradził, że maluje, czyta wiersze i płacze na filmach. Polubił operę. Innym razem przyznał się, że potrafi grawerować, szyć ręcznie i na maszynie, szydełkować, haftować oraz projektować wystawy sklepowe.

Sentymentalna baba – można powiedzieć. Metroseksualny babochłop, a stąd już tylko krok do tego, czym Suski brzydzi się najbardziej – do homoseksualizmu. Czyli jeszcze hipokryta…

eprasa.pl fdfd39ccec

Hola, hola – zawoła profiler – nie tak ostro! Hobby to bardzo ludzka cecha świadcząca o silnej potrzebie ucieczki od realnego świata, charakterystyczna dla artystów i narkomanów. Sympatia dla opery – jakież to klasyczne i nowoczesne zarazem!

Telewizja: 2 pkt. za skłonność do płaczu. Na antenie – bezcenna!

Korporacja: 0 pkt. za posiadanie hobby. Liczy się wyłącznie praca, praca i praca. Tylko w piątki i soboty można sobie pozwolić na alkohol, speed i kokainę.

Mafia: 3 pkt. – jeden za operę (byle włoską), drugi za płacz (Marlon Brando płakał w „Ojcu chrzestnym", a James Gandolfini w „Rodzinie Soprano"), trzeci za umiejętność grawerowania.

6. Suski chełpi się szlacheckim pochodzeniem: jest potomkiem kiedyś zamożnego i wpływowego rodu Chebda de Grabie herbu Pomian. Jeden z jego przodków w czasie konfederacji barskiej był marszałkiem Ziemi Łomżyńskiej i przekazał buławę Kazimierzowi Pułaskiemu. Inny wyprawił się z hetmanem Żółkiewskim na Moskwę. **„Bo jeśli rodzina walczyła o Polskę, o niepodległość, dziadek był w AK, a pradziad uczestniczył w powstaniu styczniowym, to taki ktoś daje nam gwarancję genetycznego patriotyzmu. (…) Wyjaśnię to tak: jeśli twój dziadek miał dyplom, ojciec miał dyplom, to ty już dyplomu pokazywać nie musisz. Wychowywanie w porządnej rodzinie, gdzie dbano o wartości, gwarantuje przyzwoitość"** – powiedział Suski w rozmowie z „Gazetą Wyborczą", gdy z „Gazetą Wyborczą" jeszcze rozmawiał.

Suski nie pokazuje dyplomu magistra, bo go nie ma – mówią zawistnicy. Grabie nie brzmią po pańsku, tylko po chamsku, a de Grabie są pretensjonalne.

Pochodzenie to nie tragedia – powie profiler. Tragedią jest pycha.

Telewizja: 0 pkt. za pochodzenie (1 pkt od TVP Historia).

Korporacja: 0 pkt. za pochodzenie; punkty są za przychodzenie – do pracy.

Mafia: 1 pkt za pochodzenie. Ważne, że nie jest potomkiem psów i konfidentów.

7. Gdy prezydent Andrzej Duda zawetował tzw. ustawę degradacyjną, Suski powiedział: **„Pan prezydent oczywiście ma prawo wetować ustawy, ale mojego głosu już nie ma".** Pospólstwo zawyło – pisowskie ze zgrozy, antypisowskie z uciechy.

Na tle Dudy, który ma tyle charyzmy, co rozwielitka – przekonywano czasem serio, a czasem nie – albo w porównaniu z Szydło o sile charakteru polnej myszy, Suski, mimo że nie jest czołgiem intelektu, ma przynajmniej zabawną fizis i dynda mu trochę jaj tam, gdzie inni trzymają się za oportunizm. Na tej fali na Twitterze powstał profil „Suski 2020", na którym domagano się wystawienia jego kandydatury w najbliższych wyborach prezydenckich. Jeden z wpisów, zamieniony później w mem: **„Od Zamościa po powiat kartuski, prezydentem tylko poseł Marek Suski".**

Żałość i zgrzytanie zębów. Wstyd i poruta. Hańba.

Czyżby? – zapyta profiler. A ambicja to pies?

Telewizja: 2 pkt. za ambicję.

Korporacja: 1 pkt za straceńczą ambicję, która czasem ma sens.

Mafia: 0 pkt. za okazywanie ambicji. Ambicję można przejawiać, ale dopiero wówczas, gdy *capo di tutti capi* leży na łożu śmierci. (Wyjaśnienie dla Suskiego: *capo* nie ma nic wspólnego z capem ani tym bardziej z kapusiem).

Podsumowanie:

Telewizja: 8 pkt.

Korporacja: 4 pkt.

Mafia: 7 pkt.

Wniosek: Suski, który należy do partii i pokazuje się w telewizji, jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu i we właściwym czasie.

Marek de Grabie Suski, syn Aliny i Janusza, polityczny synowiec Jarosława, ojciec Leny i Piotra, zakonnik Porozumienia Centrum, założyciel Prawa i Sprawiedliwości, kawaler orderów, oficer krzyży, krzyżowiec smoleński.

Gdy giganci (no…) pokroju Brudzińskiego i Ziobry, a także delfin Morawiecki będą przegryzać sobie tętnice w walce o schedę po prezesie, Suski boczkiem, boczkiem zostanie wybrany na jego następcę głosami jeszcze większych miernot niż on.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

Ciąża jak rak

Nie tylko „500 plus" ma zamienić Polki w maszynki do rodzenia.

Latem 2016 r. Narodowy Fundusz Zdrowia zaczął wdrażać program „Koordynowana opieka nad kobietą w ciąży", w skrócie KOC. **„Kolejne dziecko ustawy za życiem"** – zachwalało PiS. **„Dzięki takiemu rozwiązaniu kobieta zyskuje kompleksową opiekę, a co za tym idzie poczucie bezpieczeństwa na każdym etapie ciąży i porodu"** – mówił prezes NFZ Andrzej Jacyna.

Pic

Na teście ciążowym dwie kreski? Zapomnij o kolejkach do ginekologa, specjalistycznych badaniach, za które na ogół trzeba płacić z własnej kieszeni, wziątce dla prowadzącego ciążę położnika, żeby na czas porodu przyjechał do szpitala, kopercie za znieczulenie okołoporodowe, koniaku dla położnej. Nie martw się, czy będziesz mieć mleko.

O wszystkim pomyślał prezes Jarosław Kaczyński. Dostaniesz taką opiekę, jaka będzie potrzebna. Monitorowanie ciąży, inkubator, specjalistyczną operację serduszka noworodka, a także wizyty położnej w domu, jeśli jedyną komplikacją będą drobne odparzenia dupci.

Wystarczy wybrać szpital. W programie uczestniczą jedynie najlepsze placówki.

„Zostanie ustalony plan opieki przedporodowej. Zagwarantowane wczesne wykrywanie i eliminowanie czynników ryzyka. Natychmiastowe wykrywanie patologii pozwoli na ich usunięcie w chwili, kiedy się pojawiły. Osoba prowadząca ciążę ustali plan porodu" – wabi Ministerstwo Zdrowia. **„Szpital gwarantuje nie tylko wsparcie rodzącej, ale też jej bliskich… przygotuje plan opieki poporodowej…".**

Najważniejsze, że pacjentka będzie miała swojego lekarza. Tego samego od pierwszej wizyty kontrolnej po poród. Swoją położną. Swój szpital.

Nic

Co się kryje pod najważniejszymi obietnicami?

Mój lekarz. Jeśli lekarz, który koordynował ciążę, jest na dyżurze, gdy jego pacjentka rodzi, to powinien zająć się porodem. Natomiast jeśli znajduje się poza szpitalem, jego obowiązki przejmie inny lekarz.

Moja położna. Kobiety, które są objęte programem KOC, nie wybierają samodzielnie położnej, bo należy ona do zespołu specjalistów przydzielonych ciężarnej w ramach KOC. W odróżnieniu od kobiet, które nie pozwoliły się uszczęśliwić ministrowi zdrowia. One wybierają położną środowiskową według własnego uznania.

Mój szpital. Należałoby uznać, że jeśli pacjentka zgłasza się z dolegliwościami, to szpital ma obowiązek zapewnić jej doraźną pomoc. Jeśli z przyczyn niezależnych od niego (np. brak wolnych łóżek) nie może wykonać świadczenia, pacjentka będzie odesłana do innej placówki.

Praktyka

Pod KOC można się schronić m.in. w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym w Białymstoku.

– Kobiety lecą jak do miodu. Szpital nie jest gotowy na przyjęcie tylu ciężarnych – mówią położne.

Dyrektor twierdzi inaczej. Bo KOC jest bardzo opłacalny dla szpitali. **„Gdyby było źle, pacjentki wybierałyby inne lecznice"** – mówi przy lada okazji. Ale w lokalnych mediach przyznał, że chce zatrudnić 50 położnych.

– Przed KOC-em mieliśmy mniej pacjentek. Dziś jestem w sali przy rodzącej, a na drugiej wrzeszczy kobieta: „Gdzie się podział personel?". Albo wprowadzam do komputera dokumentację medyczną, a one krzyczą… Kwitów jest coraz więcej, położnych coraz mniej – skarżą się położne.

Opowieści położnych są jak ze złego snu.

Rodzące są przyjmowane na korytarzu. Wywiad zbiera się przy osobach trzecich. Brakuje miejsc w salach oraz porodówkach, te ze skurczami czekają więc na korytarzu przy sali porodowej. Na kozetce. Bywa, że na krześle.

Znieczulanie porodów jest możliwe tylko w teorii. Owszem, z przepisów wynika, że rodząca ma prawo do rodzenia w komforcie, ale przy znieczulonej zewnątrzoponowo pacjentce musi czuwać pielęgniarka z kursem anestezjologicznym. Jedna na jedną rodzącą. Zwykle jest dużo więcej rodzących niż wykwalifikowanych pielęgniarek.

Zdarzało się przyjmować poród na kozetce. Albo w składziku na lekarstwa. Sale zajęte, główka na wierzchu, trzeba gdzieś wjechać. Bywało, że wywoływano poród, a potem okazywało się, że przywieziono dodatkową pacjentkę i nie ma miejsca na porodówce. Zatem przerwa w podawaniu lekarstwa przyspieszającego rozwarcie i transport na patologię ciąży. Niech rodząca poczeka, aż zwolni się łóżko. Roniące na ogół radzą sobie same w toalecie, bo nie ma gdzie ich położyć.

Wybór

Dobra wiadomość jest taka, że na razie ciężarne mają wybór. Pod warunkiem że ciąża przebiega książkowo, bez komplikacji. Jeśli sprawy pójdą gorzej, jest to wybór iluzoryczny. Powikłanie, kończące się najkrótszym pobytem na patologii ciąży, kończy się w KOC-u.

Niby przymusu nie ma. Pacjentka ma prawo odmówić i opieka powinna być sprawowana w takim samym zakresie. Ale jeśli nie przystąpi do programu, szpital nie otrzyma pieniędzy z NFZ za wykonaną usługę. Konia z rzędem takiej, która oprze się naciskom.

B.D.

eprasa.pl fdfd39ccec

Kukła też człowiek

Czym katolik za młodu nasiąknie…

Narażając się na zarzut antysemityzmu, chciałam zauważyć: problem z **„sądem nad Judaszem”** w Pruchniku nie polega na tym, że **„spalono kukłę Żyda”** – jak doniosły wszystkie media. Prawdziwy problem polega na tym, że szkoli się dzieci do udziału w linczu z pobudek religijnych. Narodowość i wyznanie linczowanego mają w tym kontekście znaczenie drugorzędne.

Twórca etologii, czyli nauki o zachowaniach zwierząt, badacz agresji wśród ludzi, laureat Nagrody Nobla Konrad Lorenz pisał o **„świętym dreszczu” (*„heiliger Schauer”*),** który przeszywa dół pleców i tył ramion napastników na chwilę przed dokonaniem aktu agresji. To ten sam odruch, który jeży sierść na karku drapieżnika gotującego się do ataku. Najgorsze jest to, że to fajne uczucie.

To poczucie słuszności, moralnej wyższości i przynależności do grupy, które wiąże się z prawdziwym linczem, jest dokładnie przećwiczone podczas **„sądu nad Judaszem”** uprawianego w ramach obrzędów katolickiego Wielkiego Tygodnia. No bo któż bardziej niż Judasz, zdrajca Pana Jezusa, zasługuje na karę? I kiedy dzieci mają lepszą okazję do publicznych zachowań agresywnych nie tylko aprobowanych, ale wręcz nakazywanych przez dorosłych?

„Najpierw bije dorosły, a potem pada polecenie »Dzieci, bić!«. Dzieci biją, tłum liczy. Co bardziej zapalczywe dzieciaki sprzedają kukle kopniaki. – Dobrze, mały. Szacun! – mówi jakiś człowiek do chłopca, który właśnie skopał głowę kukły. – Bij w brzuch – instruuje syna tatuś. – Lej! – zachęca ktoś inny” – opisuje wielkopiątkowe harce Hubert Lewkowicz z „Ekspresu Jarosławskiego”, który pierwszy nagłośnił sprawę.

Katowanie kukły budzi entuzjazm tłumu, jest uwieczniane przez komórki i aparaty fotograficzne. Świadomość tego, jak fajnie jest być elementem kolektywu, który radośnie wymierza nikczemnikom zasłużoną karę, zostanie z tymi dziećmi na długo. Może na zawsze.

Tymczasem lincz nie jest zjawiskiem historycznym, ograniczonym do żydowskich pogromów w Europie czy zbrodni Ku Klux Klanu w Ameryce.

Po obu stronach granicy indyjsko-pakistańskiej giną dziś ludzie, mordowani przez podekscytowaną tłuszczę z powodów religijnych. W Indiach, które przeżywają ostatnio wzmożenie religijne, dziesięciu muzułmanów zostało zamordowanych w ciągu ostatnich dwóch lat przez żarliwych hinduistów związanych z ruchem Bhartiya Gau Raksha Dal – Indyjską Organizacją Ochrony Krów. Ofiary były widziane z krowami, podejrzewane o ich zabijanie albo jedzenie wołowiny. W Pakistanie w ciągu ostatnich pięciu lat ponad 30 osób zostało zlinczowanych przez uniesiony religią – tym razem muzułmańską – tłum, po tym jak zostały przez władze oskarżone o bluźnierstwo, które jest w tym kraju przestępstwem karanym śmiercią lub więzieniem. Oskarżenia – co w zasadzie nie ma żadnego moralnego znaczenia – najczęściej są kompletnie bezpodstawne i niepoważne. Ich skutki są poważne. Śmiertelnie.

W 2017 r. w tragicznej symetrii dwóch niespokrewnionych mężczyzn o tym samym nazwisku zostało zamordowanych przez dwie konkurencyjne religijne tłuszcze w Indiach i Pakistanie.

1 kwietnia Pehlu Khan, mleczarz z dystryktu Nuh w Haryanie w północnych Indiach, wracał z Jaipuru, gdzie kupił kilka krów w nadziei na rozwój swojego mlecznego biznesu. Zatrzymała go banda krowich obrońców, którym usiłował pokazać dokumenty wskazujące, że jest mleczarzem i kupił zwierzęta, żeby pozyskiwać mleko. Uniesieni słuszną miłością do jednej z siedmiu matek człowieka, obrońcy wiary podarli dokumenty, zatłukli Pehlu na śmierć kijami i pasami, po czym okradli trupa z portfela i komórki.

13 kwietnia 2017 r. Mashal Khan, student uniwersytetu Abdul Wali Khan w Mardan w Pakistanie, został otoczony przez oburzonych kolegów, rozebrany do naga, pobity kijami i na koniec zastrzelony i zrzucony z II piętra akademika – w ramach kary za obrażanie Allaha. Późniejsze śledztwo wykazało, że Mashal Khan nie ogłaszał żadnych bluźnierczych sądów, w ogóle nie wypowiadał się na temat wiary, za to na swojej stronie na Facebooku bardzo krytycznie wyrażał się o władzach uniwersytetu, które w odpowiedzi oskarżyły go o bluźnierstwo.

Ponurym szczęściem Polski jest to, iż stanowimy multikulturową pustynię, na której uniesiony religijnym gniewem Polak katolik musiałby długo szukać muzułmanina, hinduisty, czy żyda do zlinczowania. Ale zapamiętawszy z dzieciństwa, jakie to przyjemne uczucie, może kiedyś zadać sobie trud poszukiwań.

AWŁ

Jak chrumkają Żydzi

Dokończenie ze str. 1

Przyznałem, że to ja wymyśliłem tę okładkę i to ja zajmuję się w firmie internetem.

Zarzuty promowania antysemityzmu odparłem, tłumacząc że redaktorem naczelnym jest u nas Żyd będący jednocześnie dzieckiem Holokaustu. A trudno jest zarzucać Żydom antysemityzm.

Po drugie – wyjaśniałem – naszym celem było okazanie troski o zwierzęta, w momencie publikacji okładki rząd planował bowiem eksterminację wszystkich polskich dzików, co uznaliśmy za nieetyczne. I w taki sposób postanowiliśmy wstrząsnąć opinią publiczną, że zrównaliśmy wymordowanie dzików ze znaną z historii fizyczną likwidacją Żydów.

Małgorzata Augustyniak, wiceprezes AMS, zapytała, czy tą okładką odnosiliśmy się do doświadczeń II wojny światowej i jakie przesłanie ma dla nas gwiazda Dawida na dziku.

– Tak jak wówczas znakowano Żydów gwiazdą Dawida z napisem „Jude”, tak tutaj chodziło o wskazanie rzekomo winnego według rządzącej opcji politycznej dzika jako odpowiedzialnego za Afrykański Pomór Świń – tłumaczyłem. – Naukowcy są zaś zgodni, że nie jest to sposób na ograniczenie ASF, lecz pomóc może tylko opracowanie szczepionki.

ilustr. WŁODEK KIERUS

– Pan uważa, że fakt, że właściciel-redaktor jest Żydem i poniekąd ofiarą masowej eksterminacji, to wystarczający argument, by tego typu okładkę traktować jako kontrowersyjną? – pytała bizneswoman.

– Niektórzy komentatorzy tłumaczyli, że Jerzemu Urbanowi przez to, że przeżył Holokaust, a dziś walczy z antysemityzmem, wolno więcej – wyjaśniałem.

– Ale nie wydaje tej gazety dla siebie.

– Owszem, ale niesie przekaz społeczeństwu. Różne zarzuty wobec nas kierowano, ale o antysemityzm jeszcze nie.

Wyrok

Według stanowiska komisji, reklamy powinny być tworzone z należytą starannością, zgodnie z dobrymi obyczajami, prowadzone w poczuciu odpowiedzialności społecznej oraz zgodnie z zasadami uczciwej konkurencji. Poproszono mnie o odniesienie się do każdej z tych składowych.

– Nie wiem, co rozumieć pod hasłem należytej staranności. Czy należycie odwzorowaliśmy dzika? – drapałem się w głowę. – Co do dobrych obyczajów, to są różne prądy myślowe. Nam chodziło o odpowiedzialność społeczną i dobre obyczaje w tym względzie, że masowe mordowanie dzików, bo rząd tak sobie wymyślił, było skrajnie nieetyczne. Stąd chcieliśmy wstrząsnąć opinią publiczną, aby temu zapobiec. A co do uczciwej konkurencji, to trudno się nawet odnieść do tego.

Po krótkim pobycie na korytarzu, podczas którego wyznałem człowiekowi z Totalizatora, że dostałem 2 lata w zawieszeniu na 5, zawezwano mnie do pomieszczenia ponownie.

Naradzona komisja uznała jednomyślnie ustami przewodniczącego, że nie jest to reklama antysemicka, natomiast jednoznacznie znieważa ofiary Holokaustu i trudno sobie wyobrazić, aby była zgodna z jakimikolwiek dobrymi obyczajami w Polsce, bo jest niezgodna z dobrymi obyczajami chyba wszystkich ludzi w Polsce.

I każdy skład orzekający podjąłby taką samą decyzję. Co zostanie opublikowane w stosownej uchwale na stronie internetowej Rady Reklamy.

Mając świadomość, że konsekwencje tej całej zabawy są honorowe, kiwnąłem głową i wyszedłem. Nie podpisywaliśmy Kodeksu Etyki Reklamy, z założenia nie publikujemy w piśmie reklam, a i sami nie promujemy się nigdzie zbyt często – ot, odbyła się sztuka dla sztuki. Co oczywiście nie wpływa na fakt, że i nas bardzo oburza, iż jeden cynamonowy płatek może sobie bez pytania w reklamie wpierdalać drugi. □

michal.marszal@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl fdfd39ccec

„NIE” szanuje prawo

Dlaczego drukujemy sprostowania, mimo iż często wiemy, że mijają się z prawdą?

Czytelnicy coraz częściej pytają, dlaczego zamieszczamy w tygodniku sprostowania, które ewidentnie nie odnoszą się do rzekomo nieprawdziwych informacji zawartych w naszych publikacjach. Takie sprostowania często nie prostują żadnych faktów, zawierają własną subiektywną interpretację zdarzeń dokonaną przez zainteresowanego lub wręcz gołosłownie przeczą udowodnionym w artykule faktom. Drukujemy te sprostowania, bo takie jest prawo.

Jeśli przysłane do redakcji sprostowanie spełnia wymogi formalne prawa prasowego (jest nadane w terminie, podpisane przez upoważnioną i zainteresowaną osobę, dotyczy treści naszej publikacji),

redaktor naczelny „NIE” ma obowiązek je opublikować, nawet jeśli sprostowanie to jest obiektywnie nieprawdziwe.

Ewentualne badanie prawdziwości sprostowania przez redaktora naczelnego stoi w sprzeczności z łacińską zasadą ***Nemo iudex in causa sua*** (po polsku: **Nikt nie może być sędzią we własnej sprawie.**). Zamieszczenie go oczywiście nie przesądza, czy rację ma zainteresowany, czy dziennikarz.

Redakcja „NIE” podejmuje liczne trudne i bolesne dla władzy tematy. Jesteśmy w stanie bronić naszych publikacji merytorycznie, również w sądach. Nie chcemy jednak dawać potencjalnym przeciwnikom sądowym łatwego zwycięstwa już na starcie. Sądy jednoznacznie orzekają, że sprostowanie trzeba publikować, nawet jeśli zawiera oczywistą nieprawdę.

Wyrok sądu apelacyjnego z 20 lutego 2013 r.: „…redaktor naczelny nie ma prawa odmówić sprostowania danej informacji na tej tylko podstawie, że wedle jego oceny fakty zawarte w informacji prasowej są prawdziwe”.

Wyrok sądu apelacyjnego z 18 czerwca 2014 r.: „Prawo prasowe nie daje redakcji żadnych uprawnień do uzależniania opublikowania sprostowania od wyników obiektywnego badania, mającego na celu ustalenie, czy w publikacji będącej przedmiotem sprostowania rzeczywiście zaistniała nieprawdziwość lub nieścisłość”.

Wyrok Sądu Najwyższego z 24 lutego 2016 r.: „Nie jest właściwe obiektywizowanie pojęć »nieprawdziwości« i »nieścisłości« wiadomości podlegającej sprostowaniu”.

Wyrok Sądu Najwyższego z 23 czerwca 2017 r.: „Rolą i funkcją sprostowania jako specyficznej instytucji prawa prasowego jest umożliwienie bohaterowi materiału prasowego przedstawienia opinii publicznej własnego stanowiska w kwestiach poruszonych w materiale i dotarcie do odbiorców z własną, subiektywnie ujmowaną wersją wydarzeń za pośrednictwem tego środka przekazu, w którym ukazał się materiał”.

Nasze publikacje są rzetelne, a autorzy dbają o jak najwyższy ich poziom. Redakcja od zawsze bezwzględnie przestrzega prawa prasowego, nawet jeśli jego postanowienia są dla wielu osób kontrowersyjne. My z prawem nie dyskutujemy. ***Dura lex, sed lex.***

ANDRZEJ ROZENEK
andrzej.rozenek@redakcja.nie.com.pl

Jezus w apelacji

Zdaniem sądu wyższej instancji sędzia, który skazał Urbana za obrazę uczuć religijnych, nie ma pojęcia o prawie.

Zanim napiszę, co Mariusz Jackowski, sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie, napisał w pisemnym uzasadnieniu orzeczenia o uchyleniu poprzedniego wyroku na redaktora naczelnego „NIE”, pozwolę sobie streścić, o co chodzi w niemal 7-letniej epopei ze Zdziwionym Jezusem w roli głównej.

W sierpniu 2012 r. na okładce „NIE” pojawił się artykuł i ilustracja wkrótce nazwana „Zdziwionym Jezusem”. Obrazek obraził uczucia religijne kilku osób, które poinformowały o tym prokuraturę. Sprawa trafiła do sądu, który uznając winę Urbana, ukarał go trybie bezprocesowym 1000-złotową grzywną. Urban się z tym nie zgodził i od 2013 do listopada 2018 r. ciągnął się proces w mokotowskim sądzie rejonowym. Przesłuchano kilkunastu świadków, przeczytano 5 ekspertyz biegłych. Czterech biegłych przed sądem wysłuchano. Efekt był taki, że sędzia Rafał Stępak uznał winę Urbana i nakazał w ramach kary zapłacić 120 tys. zł grzywny i ponad 20 tys. zł kosztów sądowych, czyli 150 razy więcej niż na początku.

Urban się od tego odwołał. W instancji wyższej 12 marca 2019 r. usłyszał, że sąd **„zaskarżony wyrok uchyla i sprawę przekazuje Sądowi Rejonowemu dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie do ponownego rozpoznania”.**

Uzasadniając orzeczenie, sędzia Jackowski nie pisze wiele. Miażdży poprzedni wyrok na dwóch stronach.

Na początku słusznie zauważa, że apelacja **„nie jest pozbawiona słuszności”**, dlatego że **„w postępowaniu przez sądem pierwszej instancji doszło do uchybień przepisów postępowania, które mogły mieć wpływ na treść zaskarżonego orzeczenia”.**

Pierwszym uchybieniem jest – według Jackowskiego – kiepskie rozumienie tego, co pisali i mówili biegli. A głównie socjolog religii Rafał Smoczyński.

„Sąd pierwszej instancji nie docenił, iż opinia jest niejasna (a co za tym idzie niepełna)” – stwierdza sędzia Jackowski i kontynuuje: **„Biegły bowiem posługuje się niejasnym, nieostrym kryterium »szczególnie gorliwego katolika«”. Tymczasem takiego pojęcia polskie prawo nie zna”.**

Sędzia Jackowski zastanawia się, o co biegłemu chodziło. Bo przecież szczególna gorliwość **„może się kojarzyć z nadgorliwością. A być może biegły miał na myśli osoby, których poziom religijności jest ponadprzeciętny?”.** Jednak tej wiedzy od biegłego sędzia Stępak nie uzyskał.

Jeszcze większą wtopę zdaniem sędziego Jackowskiego zaliczył sąd pierwszej instancji w związku z opinią biegłego kulturoznawcy i historyka sztuki Sławomira Chmielewskiego. Sędzia Stępak **„wbrew wymogom wynikającym z utrwalonego orzecznictwa i piśmiennictwa poczynił własne ustalenia, niezgodne z konstatacjami biegłego”.**

Należy przypomnieć, że Chmielewski uznał, że Zdziwiony Jezus wpisuje się na długą listę obrazów i rzeźb Jezusa z najróżniejszymi minami czy wyglądem. **„Tymczasem Sąd Rejonowy – posługując się zdawkową, ogólnikową argumentacją – nie zgadza się z tymi konstatacjami biegłego, wyrażając własny, odmienny pogląd. Takiego procedowania nie sposób jest akceptować”** – uważa sędzia Jackowski.

Już tylko to wystarczy sędziemu, aby stwierdzić, że przez te błędy nie da się uznać, czy Urban jest winny, czy nie. I dlatego proces powinien się odbyć jeszcze raz. Kolejny sędzia będzie miał zadanie **„wezwania ponownie tych samych biegłych, wyjaśnienia zaistniałych rozbieżności, wątpliwości, wydania kompletnej ekspertyzy, w razie konieczności powołania nowych biegłych”.**

Ponieważ Jackowski mógł wydać dyspozycje sędziemu ponownie rozpatrującemu sprawę Zdziwionego Jezusa, to je wydał. I nakazał **„zebrane dowody poddać swobodnej ocenie, z uwzględnieniem zasad logicznego rozumowania, wskazań wiedzy i doświadczenia życiowego”.**

Po takim kawałku przełożony sędziego Stępaka powinien przenieść go do porządkowania archiwum. Bo przecież jeśli ktoś nie potrafi obiektywnie oceniać, myśleć logicznie i na dodatek nie ma doświadczenia życiowego, to nie powinien wydawać wyroków w imieniu Rzeczpospolitej Polskiej.

Nie wspominając już o tym, że – zdaniem sędziego Jackowskiego – sędzia Stępak nie potrafi rzeczy dla sędziego fundamentalnej. Inaczej sędzia okręgowy nie zwracałby się do następcy Stępaka mającego sądzić w pierwszej instancji, aby **„w przypadku sporządzenia pisemnego uzasadnienia wyroku sprostać wymogom art. 424 kpk”.** Artykułu mówiącego, że w uzasadnieniu muszą być fakty, które sędzia przy wyrokowaniu brał pod uwagę, oraz te, które odrzucił. I ich ocena też musi być. Oraz wszystkie inne okoliczności, które sąd miał na względzie przy wymierzaniu kary.

Wypisywanie w uzasadnieniu orzeczenia apelacyjnego abecadła sędziowskiego jako zalecenia dla sądu niższej instancji to rzadkość. W tym konkretnym przypadku dowodzi zaś tego, że sędzia Jackowski ocenia pracę sędziego Stępaka jako nawet nie przedszkole prawnicze, ale wręcz żłobek.

Dowodzi też, że przedZiobrowa Krajowa Rada Sądownictwa, tak praworządna i demokratyczna, dopuszczając do zawodu sędziego ignorantów prawniczych, wcale taka cacy (jak by chciały „Gazeta Wyborcza” i TVN) nie była.

Uzasadnienie sędziego Jackowskiego świadczy również o tym, że środowisko sędziowskie nie jest takie, jak je opisuje minister sprawiedliwości. Jackowski nie kryje błędów kolegi i nie tuszuje braków. Kwestionuje i przywala wprost. Robi zatem coś, co by nie przeszło w grupie przestępczej, jaką miała być według PiS sędziowska „nadzwyczajna kasta”.

TADEUSZ JASIŃSKI

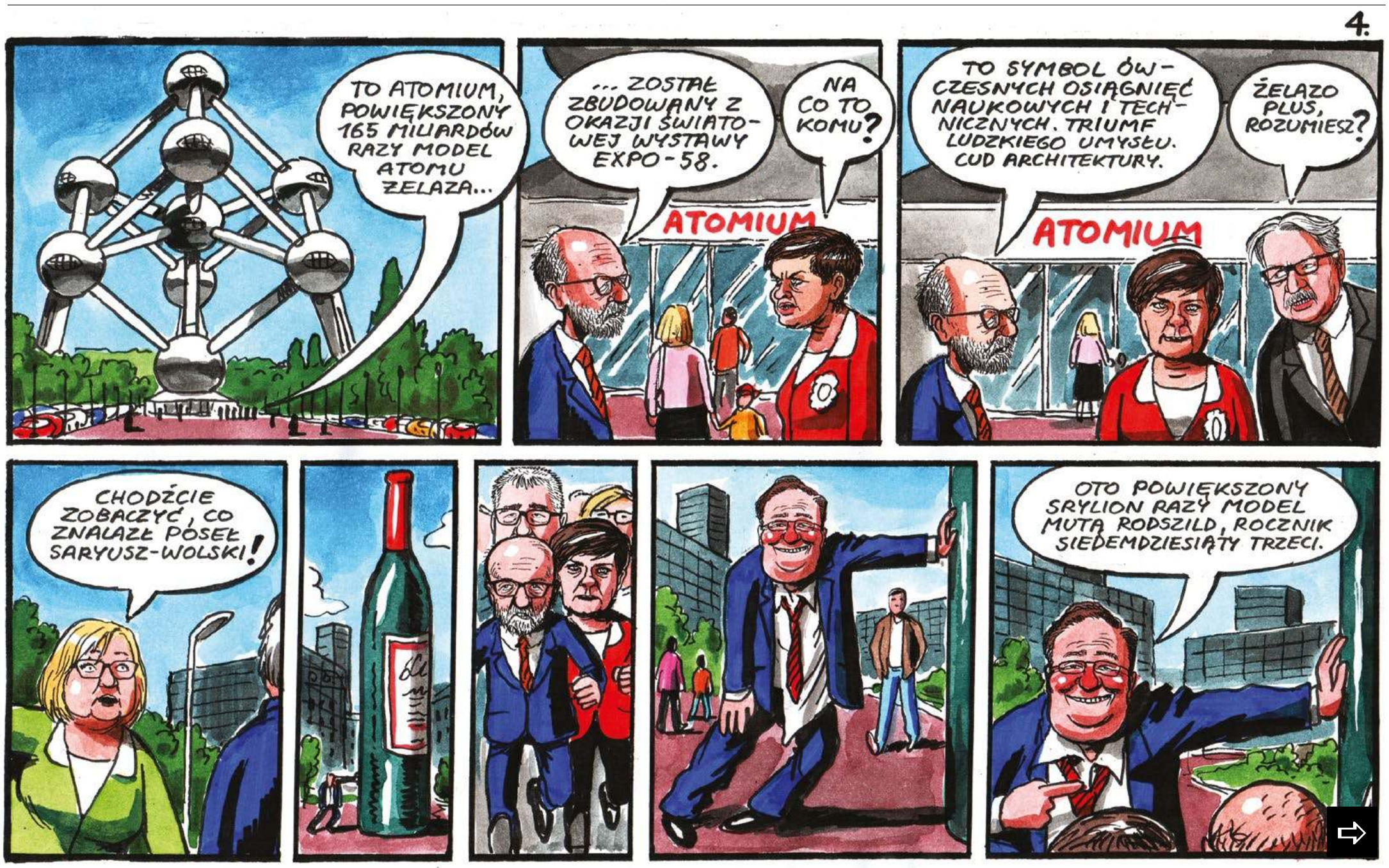

eprasa.pl fdfd39ccec

W pytę skarżypyta

Prokuratura oskarżyła Andrzeja K. o to, że się poskarżył. A sąd go skazał.

20 lipca 2017 r. kamera monitoringu Zakładu Karnego w Wojkowicach zarejestrowała, jak dwóch strażników weszło do pokoju wychowawcy nr 2. Dwie minuty później więzień Andrzej K. podszedł do drzwi pokoju i popełnił czyn straszny: chwycił klamkę, otworzył drzwi i wsadził głowę do środka, czyli zajrzał. Po trzech sekundach Andrzej K. wysunął głowę na zewnątrz. Zamknął drzwi pokoju i odszedł w głąb korytarza. Minutę później z pokoju wyszło dwóch strażników.

Ten niebywały incydent został uwieczniony na płycie monitoringu nr 90 5/2017. Płyta jest w posiadaniu sądu, prokuratury, a także tygodnika „NIE".

W tym samym dniu funkcjonariusz Michał S. spowodował postępowanie karne przeciwko Andrzejowi K. We wniosku o ukaranie osadzonego opisał

rzekomy stan faktyczny

w następujący sposób: **„Osadzony K. próbował wejść nieproszony do pokoju wychowawcy. Nachalnie przerywał rozmowę. Próbował wejść w słowo. Nie reagował na wydane polecenie opuszczenia pokoju wychowawcy".**

Ostatecznie Andrzej K. na 6 dni trafił do izolatki. Po wyjściu popełnił kolejną zbrodnię. Było nią skierowanie do Prokuratury Rejonowej w Będzinie doniesienia o poświadczeniu nieprawdy przez strażnika więziennego. Prokuratura odmówiła wszczęcia postępowania. Sąd w Będzinie, do którego poskarżył się Andrzej K., kazał jednak rozpocząć śledztwo. Zostało umorzone. Wówczas więzień skierował do będzińskiego sądu prywatny akt oskarżenia, który sąd wywalił do kosza. Sąd wyjaśnił więźniowi, że miałby prawo złożyć prywatny akt oskarżenia, gdyby prokuratura dwukrotnie wydała tę samą decyzję. A tak nie było, ponieważ raz odwalono jego doniesienie, a za drugim razem przyjęto, po czym śledztwo umorzono. Takie są przepisy – wyjaśnił Andrzejowi K. sąd.

Po przeczytaniu korespondencji z będzińskiego sądu Andrzej K. dopuścił się arcyzbrodni. Napisał skargę do Centralnego Zarządu Służby Więziennej w Warszawie. Żądał

wyciągnięcia konsekwencji

wobec trojga strażników więziennych, którzy zostali przesłuchani w trakcie śledztwa. Decyzję o umorzeniu postępowania należało przecież czymś podeprzeć.

Zeznania strażników mogłyby stanowić podwaliny jakieś komedii. W razie wykorzystania tantiem nie żądam.

Koordynator Maciej G.: **„Poleciłem osadzonemu, aby się przedstawił, na co on powiedział, że ja znam jego dane i że nie musi się przedstawiać. Ostrzegłem osadzonego, że jeśli będzie się zachowywał niewłaściwie, to będzie ponosił konsekwencje dyscyplinarne, takie jak każdy inny skazany w naszej jednostce. Mimo to osadzony odmówił podania swoich danych".**

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wicedyrektor wojkowickiego więzienia Hanna O. (dziś na emeryturze): **„Osadzony Andrzej K. podważał autorytet formalny funkcjonariuszy w obecności innych skazanych i funkcjonariuszy. Komentował wykonywanie przez nich obowiązków służbowych".**

Na początek O. wymierzyła mu karę w zawieszeniu. Ale ponieważ dalej krytykował strażników, skazała go na 6 dni izolatki.

Inny funkcjonariusz przesłuchany przez policję: **„Osadzony próbował podważyć wiarygodność i autorytet funkcjonariuszy, jakość wykonywanych przez nich obowiązków służbowych, wypowiadając swoje bezkrytyczne, bezzasadne uwagi na głos".**

Ewentualnie Andrzej K. powinien porozumiewać się za pośrednictwem telepatii. Ponieważ tego nie czynił, strażnik go upomniał: **„Poinformowałem, że jego zachowanie nie będzie przeze mnie tolerowane i zostanie sporządzony wniosek o wymierzenie kary dyscyplinarnej. Wniosek sporządziłem osobiście. Zarzuty Andrzeja K. w postaci znęcania się nad nim lub szykanowania jego osoby uważam za całkowicie bezzasadne. Jest osobą znaną jako osadzony tak zwany roszczeniowy, piszący wiele bezzasadnych skarg".**

Kolejny funkcjonariusz zeznał: **„Andrzej K. został wezwany na rozmowę do pokoju wychowawcy. Koordynator zażądał od skazanego podania danych osobowych w postaci imienia i nazwiska. Wówczas skazany powiedział, cytuję: »Przecież pan mnie doskonale zna, panie koordynatorze«. Koordynator ponownie wydał polecenie dotyczące podania danych osobowych skazanego. Skazany nie podał danych. Wówczas koordynator pouczył go, że w przypadku nieprzestrzegania przepisów regulaminu, będą sporządzane wnioski o wymierzenie kary dyscyplinarnej. Po krótkim czasie, bezpośrednio po zakończeniu rozmowy przechodziłem korytarzem pawilonu. Zatrzymał mnie osadzony Andrzej K. Powiedział, że czuje się zagrożony ze strony koordynatora. Wyraził pogląd, że jest niedopuszczalne, aby koordynator stosował wobec jego osoby groźby. Poleciłem osadzonemu udanie się do celi mieszkalnej".**

Sprawą zainteresował się Wydział Penitencjarny Sądu Okręgowego w Katowicach. Więzienie musiało się tłumaczyć. Dyrektor: **„Skazany na korytarzu pawilonu publicznie oskarżył koordynatora o rzekome kierowanie względem niego gróźb, podważając w ten sposób autorytet formalny funkcjonariusza".**

I dalej: **„Skazany K. skarżył się, że wymierzona mu kara umieszczenia w celi izolacyjnej była nieadekwatna do przekroczenia, jakiego się dopuścił. Opinia ta jest subiektywną oceną skarżącego, do której skazany ma pełne prawo. Jednak to do dyrektora należy ocena stopnia przewinienia oraz wymierzenia mu adekwatnej kary dyscyplinarnej".**

„Roszczeniowiec" nie przyjął do wiadomości, że przegina. Wreszcie popełnił arcyzbrodnię – czyli napisał skargę do Centralnego Zarządu Służby Więziennej w Warszawie. Pisał, że funkcjonariusze złożyli fałszywe zeznania.

Z Warszawy skarga wróciła do wojkowickiego więzienia z pytaniem: Co wy na to? W ten sposób zapoznali się z nią zainteresowani. Następnie dyrektor więzienia w Wojkowicach skierował do Prokuratury Rejonowej w Będzinie doniesienie o popełnieniu przestępstwa przez Andrzeja K.

K. miał popełnić przestępstwo polegające na napisaniu skargi. Prokuratura przyjęła doniesienie i sporządziła

akt oskarżenia.

Dowody arcyzbrodni były miażdżące. Andrzej K. w wysłanej do Warszawy skardze napisał (fragmenty): **„Przecież nie istnieje żaden nakaz, aby w jakikolwiek sposób osadzony miał się meldować. Szczególnie, gdy pada żądanie: »Panie K., proszę się zameldować z imienia i nazwiska«. Jak wyglądają rozmowy prowadzone przez pana G., można zobaczyć na historycznych filmach o działalności NKWD. Tak samo pouczali inni funkcjonariusze – na historycznych filmach o czasach totalitarnych. G. urodził się 70 lat za późno, bo wtedy ze swoim charakterem byłby najlepszym koordynatorem na przykład komory gazowej w KL Auschwitz".**

Sąd przesłuchiwał troje strażników więziennych, wymienionych z nazwiska w skardze. Wicedyrektorka oznajmiła, że pismem tym czuła się znieważona.

Oskarżonemu pozwolono zadawać pytania, zapytał więc: – Od kogo pani usłyszała informację, że jest pani szefem grupy przestępczej?

– Usłyszałam to od dyrektora – odpowiedziała strażniczka.

– Poczułem się urażony, że osoba pozbawiona wolności, korzystając z prawa skargi w granicach i na zasadach prawa, formułuje oskarżenia w odniesieniu do mojej osoby – zeznał przed sądem strażnik Kamil B. Mam to na dyktafonie, ponieważ sąd zezwolił nagrywać przebieg rozprawy. Wypowiedź strażnika została odnotowana również w protokole.

Zeznawał wreszcie i ten od

komory gazowej.

Mimo że o komorze była mowa w skardze wysłanej do urzędu więziennictwa, oświadczył: – Te słowa poniżały mnie w opinii osadzonych, jak również współpracowników. To jest oczywiste, że takie porównania mogłyby mnie poniżyć w opinii publicznej. Czuję się znieważony, zniesławiony. Uważam, że znieważanie funkcjonariuszy należy tępić.

Andrzej K. dostał więc dodatkowe pół roku ograniczenia wolności. W uzasadnieniu sąd napisał: **„Oceniając stopień społecznej szkodliwości czynu oskarżonego,** sąd uznał, że jest on znaczny. Czyn oskarżonego jest wręcz szkodliwy społecznie, zwłaszcza w zakresie odbioru przez innych osadzonych w jednostkach penitencjarnych. Czyn oskarżonego godzi w autorytet pracowników służby więziennej. Oskarżony celowo użył słów poniżających i zniesławiających pokrzywdzonych. Wiedział, że sprawa zostanie nagłośniona w jednostce penitencjarnej. Wiedział, że słowa zniesławiające dotrą do adresatów. Motywacja oskarżonego zasługuje na potępienie. Wymiar sprawiedliwości nie może tolerować takiego zachowania oskarżonego. Sąd nie znalazł żadnych okoliczności łagodzących".

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl

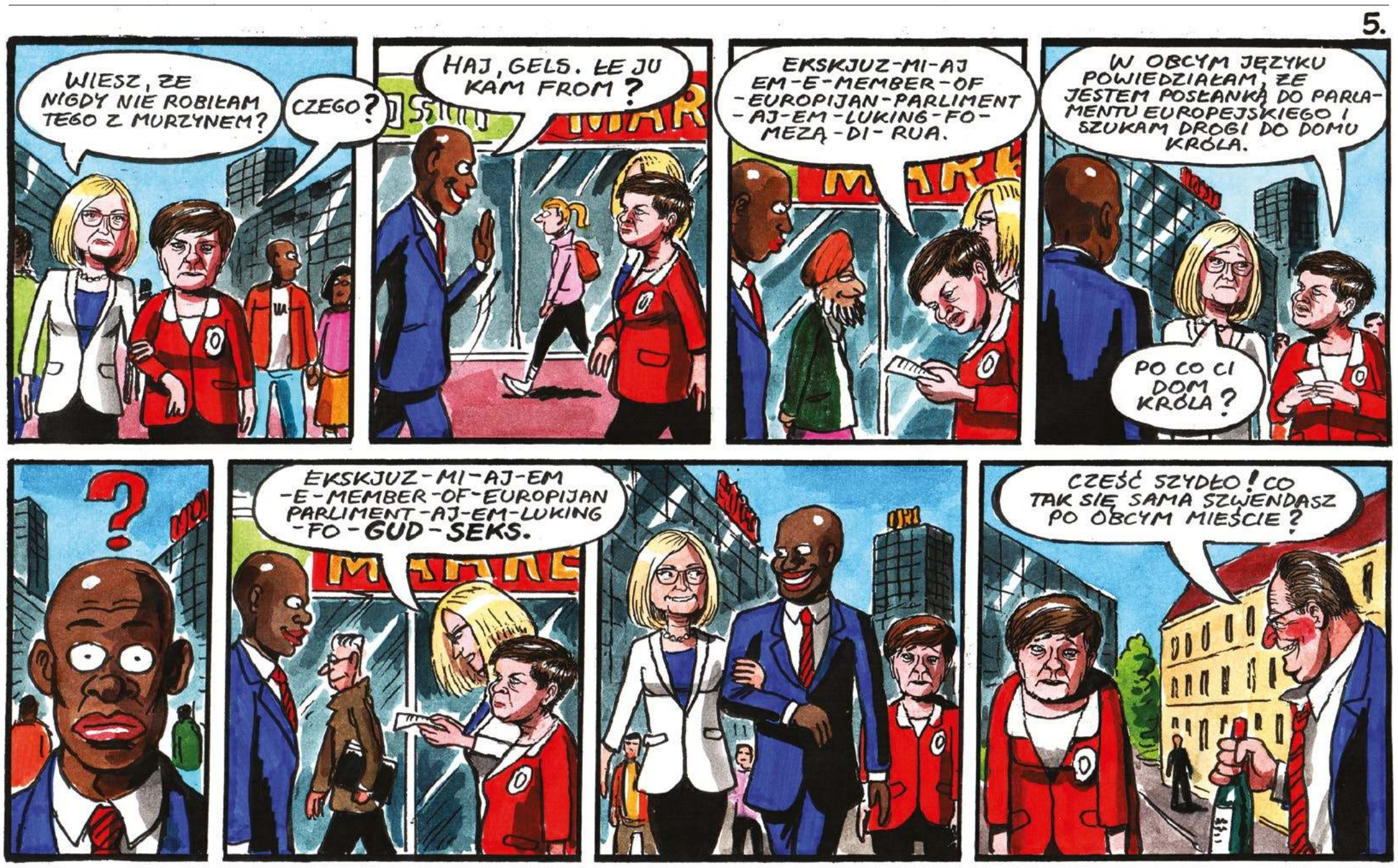

eprasa.pl fdfd39ccec

Żydokomunistki z opieki społecznej

Znak czasu: suweren chałupniczo lustruje elity.

Z listu: **„Magdalena O. przeprowadziła się do Kłodzka na początku lat 80. Przeprowadzka była zalegendowaniem współpracownika przez bezpiekę, względnie inną służbę PRL. Jako tajny współpracownik popełniła w Kłodzku kilka morderstw. Z moich obserwacji jako około 10-letniego dziecka, wynika, że prowadziła hulaszczy żywot panienki nie najcięższych obyczajów, alkohol lał się strumieniami. Jako że była bliską koleżanką mojej mamy, to poza rozrywkowymi lokalami i pokojami domów wczasowych część imprez, a raczej alkoholowych libacji odbywała się w naszym mieszkaniu. W ochalajach oczywiście uczestniczyli moi rodzice, ich koleżeństwo i znajomi obu płci, nierzadko lumpy i kryminaliści. Przy tych okazjach pili na umór wódkę, spali przy stole, pijani w sztok słaniali się po mieszkaniu, rzygali i/lub załatwiali się przy na półotwartych drzwiach toalety. W tych demoralizujących zachowaniach czynnie i/lub biernie uczestniczyła Pani Magdalena O.”.**

List trafił m.in. do Instytutu Pamięci Narodowej. Instytut został powołany **„do ścigania zbrodni komunistycznych popełnionych na osobach narodowości polskiej lub obywatelach polskich innych narodowości, a także innych represji z motywów politycznych, jakich dopuścili się funkcjonariusze polskich organów ścigania lub wymiaru sprawiedliwości albo osoby działające na ich zlecenie”.**

Kilka zabójstw dokonanych przez zalegendowaną kolaborantkę bezpieki mieści się w zakresie semantycznym **„zbrodni komunistycznej”,** a chlanie, rzyganie i szczanie w obecności małoletniego Polaka noszą znamiona **„represji z motywów politycznych”.** IPN sposobił się do wszczęcia śledztwa.

Czynność uwłaczająca

Epistołę popełnił Piotr P., stały klient Ośrodka Pomocy Społecznej w Kłodzku i gorliwy sympatyk Prawa i Sprawiedliwości w jednej osobie.

Działał w zrozumiałym afekcie, ośrodek odmówił mu bowiem przyznania pieniędzy na zakup piecyka gazowego, argumentując, że **„to nie jest potrzeba, która winna być zaspokojona w pierwszej kolejności”.** Piotr P. potrzeb rzeczywiście miał wiele i sam nie był w stanie ich zaspokoić, gdyż pracę uważał za czynność uwłaczającą człowiekowi. Dlatego z OPS-u pobierał zasiłki stałe, okresowe, na dożywianie, a także otrzymywał dodatek energetyczny oraz mieszkaniowy. Pracownikom socjalnym znany był więc doskonale, ale zanim doszło do dobrej zmiany i przywrócenia godności zwykłym Polakom, prezentował roszczeniowość w normie, a ekscesów dopuszczał się z rzadka. Owszem, zdarzało się, że przybywał do ośrodka z dyktafonem w ręku, aby przebieg wizyty uwiecznić dźwiękowo, bywało, że głos podnosił i grubszym słowem rzucił, a uwagi zbywał pogardliwym prychnięciem, ale gdy mu się powiedziało parę słów, chował ogon pod siebie. Wraz z dojściem PiS-u do władzy związek między odmową przyznania zasiłku celowego na zakup piecyka a sprawą polską stał się oczywisty.

Rys. TOMASZ WIATER

Sanie ze Wschodu

Piotr P. przyszedł więc do OPS-u zbrojny nie tylko w dyktafon, ale także w poczucie moralnej wyższości. I zażądał natychmiastowych wyjaśnień. Gdy od urzędniczki Magdaleny O. usłyszał o hierarchii potrzeb i możliwości napisania skargi do kolegium odwoławczego, polska krew w nim zawrzała. Wrzasnął, że dobrze wie, iż Magdalenę O. komuchy przywlekły ze Wschodu na saniach, i że w kolegium pracują takie same komunistki jak ona, pisanie więc odwołań nie ma sensu. Gdy O. próbowała go uspokoić, rzucił, że ma jechać do Izraela i zamordować kilku Żydów, jej rodaków, bo przecież ma wprawę, gdyż jako agentka bezpieki niejednego Polaka posłała na tamten świat. Magdalena O. wezwała policję. Czekając na stróżów prawa, Piotr P. spuścił z tonu. Skończyło się na wylegitymowaniu.

Mimo wiedzy na temat komuszej proweniencji osób zatrudnionych w Samorządowym Kolegium Odwoławczym we Wrocławiu, odwołanie jednak napisał. Wywiódł w nim, że Magdalena O. przyczyniła się do wydania odmownej decyzji w sprawie zakupu piecyka, ponieważ **„pochodzi z esbeckiej familii i w mieście nazywana jest żydokomunistką i ludobójczynią”.** Stwierdził także, iż

„żydowskie chorobliwe skąpstwo tej kobiety jest powszechnie znane i przejawia się tym, że jak przystało na komunistkę, ma całkiem zepsute zęby, ale ich nie leczy, bo żal jej pieniędzy”.

Opanowane przez komuchów kolegium nie uchyliło decyzji OPS-u.

Piotr P. odwołanie wzbogacił o wątki związane z chlaniem, rzyganiem i załatwianiem potrzeb fizjologicznych w jego przytomności. Ubogacone pismo wysłał do Prokuratora Generalnego, Państwowej Inspekcji Pracy, Rzecznika Praw Obywatelskich, Kancelarii Prezydenta i Premiera, Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, naczelnika państwa polskiego i Instytutu Pamięci Narodowej.

TW pod stołem

Kierowniczka ośrodka zdecydowała, że przydzieli Piotrowi P. inną opiekunkę. Padło na Oliwię M. Pan Piotr zmianę uznał za sukces.

Wkrótce złożył wniosek o wypłacanie zasiłku okresowego. Zagroził Oliwii M., że jeśli coś pójdzie nie tak, to ją zlustruje – jak poprzedniczkę. Poszło nie tak, bo zasiłek dostał, ale w niższej wysokości, niż chciał. Napisał do Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. Zażądał natychmiastowego wszczęcia śledztwa **„w związku z bezspornym faktem, że Oliwia M. była w przeszłości konfidentem aparatu represji PRL, a dziś nie wiadomo czyje interesy reprezentuje, ale na pewno nie polskie”.**

Potem machnął apelację do kolegium odwoławczego. **„Oliwia M. jest komunistką, w czasach PRL była współpracowniczką tajnych służb, a co za tym idzie nie ma moralnego prawa, by wpływać na decyzje związane z wysokością zasiłków przyznawanych Polakom”** – skrobnął, dodając kilka epizodów z życia TW, czyli tajnej współpracownicy (**„pijana spała pod stołem, molestowała nieletnich, rzygała w miejscach publicznych”**).

Mimo tak przekonującej argumentacji SKO postanowienie OPS-u utrzymało w mocy.

Piotr P. postąpił podobnie jak z odwołaniem tyczącym piecyka: zmodyfikował je nieco i wysłał do rozmaitych organów państwa, IPN-u nie wyłączając. Oliwa M. miała dość. Powiadomiła policję, że ją znieważa, rozpowszechniając nieprawdziwe informacje. Zawiadomienie tej samej treści wkrótce złożyła Magdalena O.

Fałszywe oskarżenie

Sąd Rejonowy w Kłodzku skazał Piotra P. na 1,5 roku ograniczenia wolności i wykonywanie w tym czasie prac społecznie użytecznych.

„O zamiarze zniesławienia i poniżenia pokrzywdzonych przez oskarżonego świadczy fakt, iż swoje pisma skierował nie tylko do organu właściwego do rozpoznania odwołań, ale i do innych instytucji – w tym Prokuratury Generalnej i Instytutu Pamięci Narodowej, czyli organów państwa powołanych do ścigania przestępstw, w tym zbrodni komunistycznych. Pomawianie kobiet o współpracę z aparatem komunistycznym i nazywanie agentkami przybyłymi do Kłodzka w celu wykonywania tajnych obowiązków, zarzucanie im, że w ramach swej misji popełniały liczne przestępstwa, także zabójstwa, w istocie stanowiło zawiadomienie o przestępstwie zbrodni komunistycznej. Intencją Piotra P. było fałszywe oskarżenie pokrzywdzonych, co mogło zakończyć się wszczęciem postępowania przeciwko nim” – czytamy w uzasadnieniu.

Ku jasności: IPN stwierdził, że ani Magdalena O., ani Oliwia M. nie figurują w rejestrze tajnych współpracowników.

Niespodzianka: badania wykazały, że Piotr P. jest w pełni zdrowy na umyśle, iloraz inteligencji ma wyższy niż przeciętny i jego centralny układ nerwowy nie wykazuje uszkodzeń. To dowód na to, że nie wszyscy wyznawcy prezesa Kaczyńskiego są niepoczytalni.

Okoliczność łagodząca: P. najwyraźniej padł ofiarą pisowskiej retoryki i wzmożenia moralno-lustracyjnego prezentowanego przez partię prawą i sprawiedliwą.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

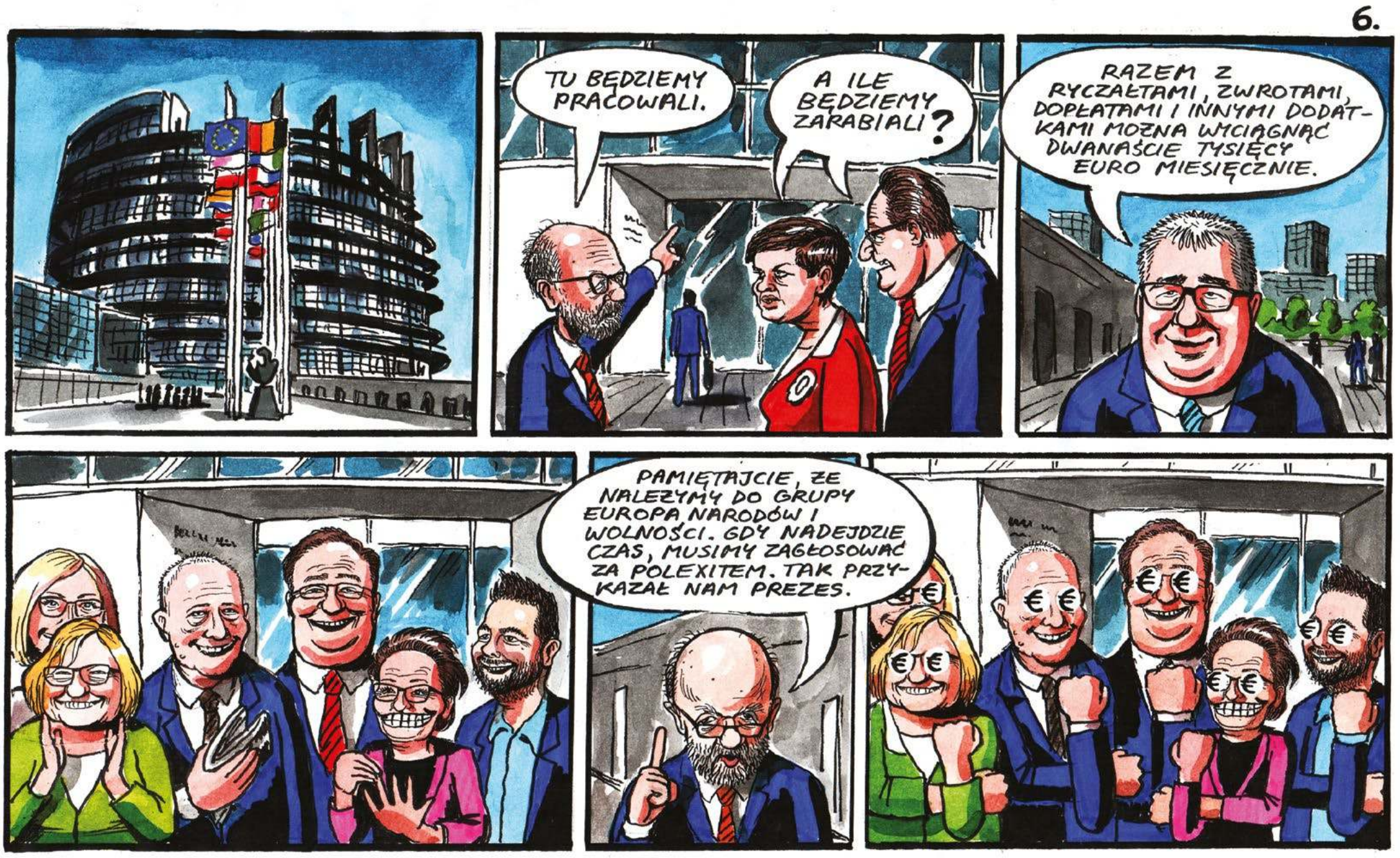

eprasa.pl fdfd39ccec

Prawdziwe kłamstwa

Słowa „prawo” i „sprawiedliwość” już dawno nie znaczą tego, co znaczyć powinny. Nie tylko one.

Jeśli polityk nie kłamie, to znaczy, że umarł. Ale łgarstwo nie jest domeną tylko polityków. Posługują się nim eksperci telewizyjni, naukowcy i dziennikarze. Niektóre z kłamstw są powtarzane tak długo, że większość z nas przyjmuje je za prawdę. Stąd przegląd najczęstszych zwrotów zakłamujących rzeczywistość.

Średnia krajowa

Politycy, ekonomiści i media lubią posługiwać się tą daną. Większość Polaków nie wie, że średnią krajową Główny Urząd Statystyczny liczy z zarobków ledwie połowy pracujących. I to połowy uposażonej najlepiej. Dużo mniejszy wpływ na jej wysokość ma zatem kilkadziesiąt procent społeczeństwa, które zarabia szmal zbliżony do płacy minimalnej, niż te kilka procent, których wynagrodzenie liczy się w milionach.

Średnia jest bowiem obliczana tylko dla sektora przedsiębiorstw, czyli energetyki, górnictwa, banków, firm ubezpieczeniowych i przemysłu. Firmy brane przez GUS do średniej, muszą zatrudniać więcej niż 9 osób. Dlatego odpada w tej statystyce 80 proc. polskich drobnych firm. Nie są do niej wliczani samozatrudnieni. Wojsko, policja, nauczyciele i słabo zarabiający urzędnicy też nie.

Wynagrodzenie brutto

Każdy normalny człowiek na pytanie, ile zarabia, odpowie, wymieniając kwotę, którą dostaje na rękę. Każdy szukający roboty pracownik rozmawia z ewentualnym pracodawcą też o szmalu na rękę. Gdy w telewizji na temat swoich wynagrodzeń wypowiadają się lekarze rezydenci czy nauczycielki, to także mówią o tym, co wpływa im na konto.

Nikt nie zarabia kwoty brutto. Ale w mediach, statystyce oraz pogadankach Morawieckiego i jego ministrów, a także przedstawicieli opozycji wszyscy szermują takim właśnie nic nieznaczącym zaklęciem.

Mityczna kwota brutto to bowiem szmal na rękę powiększony o podatek PIT i składki zusowskie. Te dwie pozycje to ok. 30 proc. zarobków brutto.

Najdziwniejsze, że pojęcie wynagrodzeń brutto służy również do porównań polskich pensji z zagranicznymi. Co jest bzdurą absolutną, bo np. gdy porównujemy zagraniczne płace minimalne brutto z naszymi, to porównujemy konia z konikiem morskim. W wielu krajach jest bowiem tak, że od minimalnego wynagrodzenia nie płaci się podatku. A u nas się płaci.

Przeciętnie zarabiający polski singiel dostaje na rękę 70 proc. kwoty brutto, a Cypryjczyk czy Cypryjka – aż 91 proc.

Najniższa emerytura

Na internetowej stronie ZUS-u jest taki wpis: **„Kwoty najniższych gwarantowanych świadczeń emerytalno-rentowych od 1 marca 2019 r. wynoszą: emerytura, renta z tytułu całkowitej niezdolności do pracy i renta rodzinna – 1100,00 zł”.**

W tym jednym zdaniu są aż 2 kłamstwa. Pierwsze to „najniższych”, drugie „gwarantowanych”. Wysokości emerytury od 1999 r. nikt nie gwarantuje. Jej najniższości też nie.

Dlatego najniższa emerytura wypłacana przez ZUS pewnej pani z województwa lubelskiego wynosi 2 grosze.

Obowiązujące przepisy stanowią przecież, że emerytura przysługuje osobie, która osiągnęła wiek emerytalny i podlegała ubezpieczeniu chociaż przez jeden dzień. Wymienione przez ZUS 1100 zł dostanie się tylko wtedy, gdy będąc kobietą, miało się składki płacone przez 20 lat, a jeśli facetem, to przez 25 lat. Zatem, gdy się całe życie zapieprzało na umowę o dzieło albo na czarno, to najniższa emerytura będzie wynosić 0 zł. Chyba że się urodziło i wychowało czworo dzieci.

Kraj bez nierówności dochodowych

Wiadomo, że w Polsce jest sprawiedliwiej niż gdzie indziej. Nie dorobiliśmy się oligarchów, a mierzący nierówności społeczne współczynnik Giniego od lat nam spadał. To zaś oznaczało, że wszyscy mamy coraz bardziej po równo. Mniej sprawiedliwie od Polski było w Hiszpanii i Portugalii, a już całkiem niesprawiedliwie w Wielkiej Brytanii.

Eurostat oblicza współczynnik Giniego na podstawie ankiet z gospodarstw domowych. Francuscy naukowcy postanowili, że bardziej obiektywnie będzie przyjrzeć się danym konkretniejszym. Sięgnęli po dane z urzędów skarbowych i innych twardych statystyk zarobkowo-ekonomicznych.

Gdy to wszystko przepuścili przez komputery, to Polska, zamiast być oazą równości, stała się krajem o największych rozpiętościach dochodowych w Europie. 40 proc. dochodu narodowego to sprawka ledwie dziesięciu procent najlepiej zarabiających Polaków. To niemal tyle samo, ile Rosji i USA, czyli w krajach, w których przepaść między biednymi i bogatymi jest największa.

Najwięcej przedsiębiorczyń w Europie

W ostatnich latach aktywność biznesowa kobiet w Polsce wzrosła o 36 proc. i jest największa spośród 74 przebadanych państw. 33,4 proc. z ok. 4 mln firm w Polsce prowadzą kobiety. To o 3 proc. więcej niż średnia europejska. I dlatego panie przedsiębiorczynie, gdzie tylko mogą, opowiadają, jaki sukces odniosła słaba płeć w polskiej gospodarce.

Sęk w tym, że 3 mln polskich firm to przedsiębiorstwa jednoosobowe. Czyli 1 milion firm prowadzą jednoosobowo kobiety.

O ich sukcesie biznesowym świadczy to, że większość przedsiębiorstw prowadzonych przez panie to zakłady fryzjerskie i kosmetyczne, biura księgowe i firmy sprzątające.

Ostatnie 2 segmenty wzięły się nie z pędu kobiet do bycia rekinicami biznesu, ale dlatego, że w swoich firmach dostały ultimatum – albo przechodzisz na własną działalność, albo nie masz roboty.

Miliardy z Brukseli

Od początku naszego członkostwa w Unii Europejskiej trafiło do Polski ponad 160 mld euro. To za nie są budowane drogi, metro, tramwaje oraz tory kolejowe. To dzięki Brukseli kwitnie polska wieś, a przedsiębiorcy mają kasę na innowacje.

Mało kto wspomina, że jedna trzecia tego szmalu to pieniądze polskie. Te płacone Brukseli jako składki i inne należności. Jeszcze mniej ludzi raczy pamiętać, że poszczególne inwestycje nie są przez Unię finansowane, ale dofinansowywane. Nasi inwestorzy państwowi, samorządowi i prywatni muszą mieć własne środki, żeby pieniądze z Unii dostać. Polski wkład własny wynosi średnio 40 proc. I dlatego gdy powstaje przy wsparciu unijnym coś za miliard, to wypada pamiętać, że Bruksela dołożyła się do niego nie w całości, ale w 60 procentach.

Za co oczywiście winni jesteśmy Unii wdzięczność, bo mieć autostradę za dwie trzecie jej wartości naprawdę warto.

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania

Wielkością RRSO wabią reklamy banków i chwilówek. W założeniu wskaźnik ten ma zawierać wszystkie koszty kredytu i pokazać **„roczny koszt kredytu w ujęciu procentowym”.** Po to, żeby każdy wiedział, na jaki haracz się naraża, pożyczając pieniądze. Tego, żeby RRSO była podawana w ofertach pożyczkowych, domagała się Unia Europejska. PiS też się domagało.

I RRSO jest podawana. Zawiera nawet w sobie koszt odsetek kredytu. I prowizję za udzielenie kredytu. I opłaty przygotowawcze. Nawet opłaty za rozpatrzenie wniosku i koszty usług dodatkowych niezbędnych do uzyskania kredytu również zawiera. A ściema jest i tak.

Dziwnym trafem ustawodawcy zostawili firmom udzielającym pożyczek wrota dla wprowadzania nieujętych ustawowo kosztów kredytu. Poza RRSO są ubezpieczenia kredytu, koszt wypłaty kredytu w oddziale lub bankomacie, koszt utrzymania konta bankowego czy karty kredytowej dołączanej do kredytu i w cholerę innych opłat, które pożyczkodawca sobie wymyśli.

O tym, że RRSO nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, mówi prawo nakazujące bankom i lichwiarzom podawać reprezentatywny przykład RRSO. Ten zaś według ustawy **„ma odzwierciedlać warunki charakterystyczne dla co najmniej 2/3 umów, które spodziewa się zawrzeć dany pożyczkodawca”.** Czyli jeśli w reklamie stoi, że RRSO wynosi 20 proc., to choćby naprawdę wynosiła 3 razy tyle, nikt kredytodawcy za to oszustwo nie skaże.

2 auta w rodzinie

Według Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców jeździmy niemal 23,7 milionami samochodów osobowych. Dzięki czemu jesteśmy lepsi niż średnia europejska wynosząca 505 aut na 1000 osób. U nas wózek ma prawie dwóch na trzech Polaków.

Według CEPiK po naszych ekspresówkach i autostradach śmigają prawie 2 mln „maluchów”, prawie 650 tys. dużych fiatów i ponad pół miliona polonezów.

Ale to kit. Gdy policzono bryczki, którym upłynęło ponad 10 lat od pierwszej rejestracji w Polsce, którym przez ostatnie 6 lat nie robiono badań technicznych i nikt ich w tym czasie nie ubezpieczał, to powstał problem z ponad 6 milionami samochodów. Tyle mniej więcej aut od lat nie dało znaku życia. Z czego wynika prosty wniosek, że bryki te istnieją tylko w statystykach, a naprawdę już dawno zardzewiały albo poszły na żyletki.

Ponieważ 25,7 proc. polskiej motoryzacji to martwe dusze, to po zaktualizowaniu statystyk jesteśmy na poziomie średniej europejskiej i możemy zapomnieć o 6. miejscu w „usamochodowieniu” w UE.

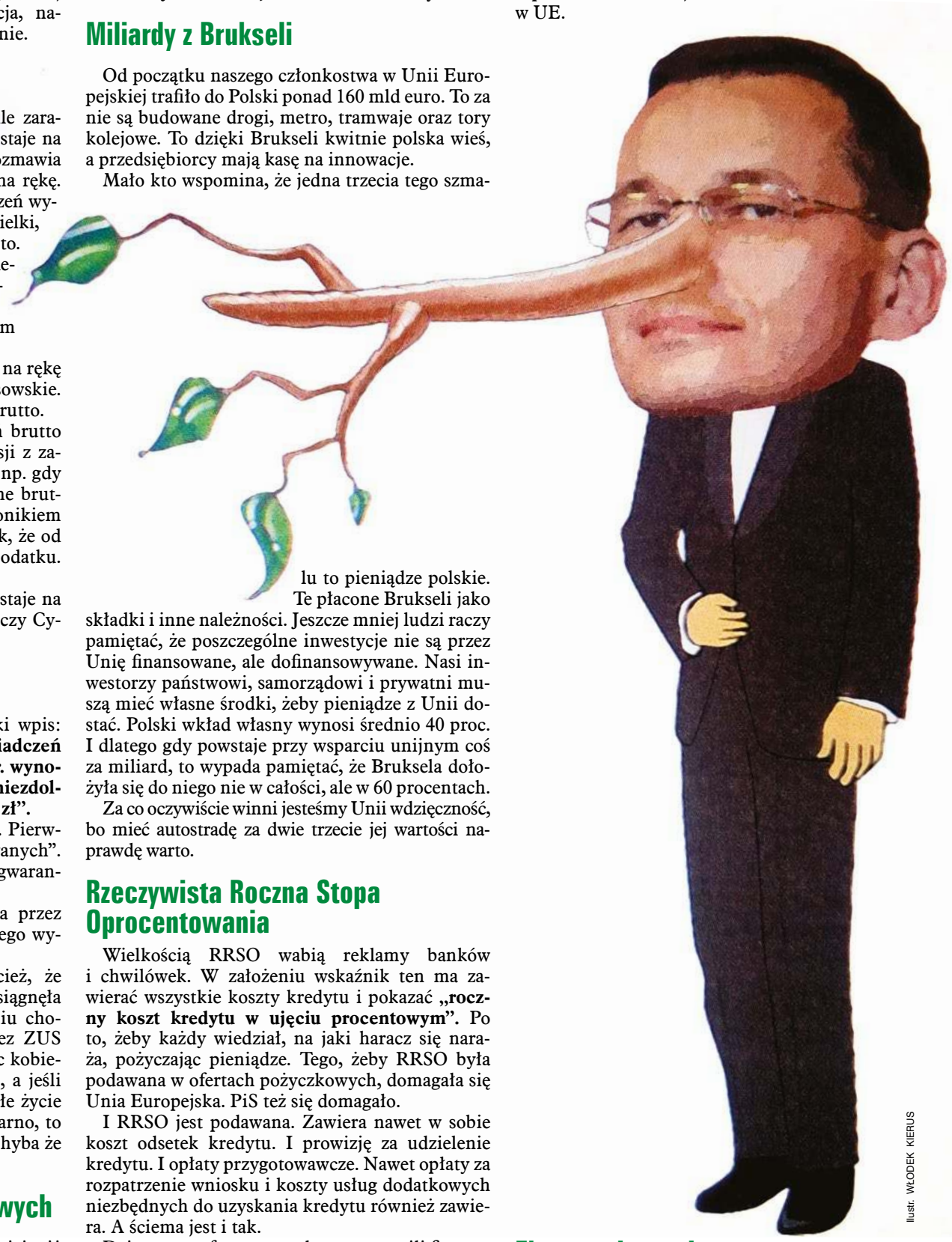

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Złom na drogach

Od lat karmi się nas opowieściami, że nasze przeciętne auto ma 17 lat. Tymczasem już od roku tak nie jest. Bo Europejskie Stowarzyszenie Producentów Samochodów ACEA policzyło, że o ile w 2017 r. te 17 lat było prawdą, o tyle ze względu na perturbacje z leasingiem, Polacy w tamtym roku kupili setki tysięcy nowych wózków. Dzięki temu statystyczny wiek autka wynosi u nas 13,6 roku.

Co, jak wiemy z weryfikacji CEPiK, też jest nieprawdą. Gdyby w statystykach nie uwzględniać motoryzacyjnych martwych dusz z czasów PRL, to okazałoby się, że śmigające po Polsce samochody są nawet młodsze od niemieckich. Bo tam średni wiek samochodu wynosi 9,3 roku.

Co oczywiście też może być nieprawdą.

T.J.

ANDRZEJ ROZENEK

Podczas Rady Krajowej SLD przewodniczący Sojuszu Włodzimierz Czarzasty zaproponował bardzo ciekawe systemowe rozwiązanie, dotyczące wysokości emerytur w Polsce. Chodziło o pokazanie fragmentu programu socjalnego lewicy w kontrze do przedwyborczej kiełbasy Kaczyńskiego: **„40 mld zł sfinansowałoby nasz projekt, który mówi, iż najniższa renta i najniższa emerytura powinna być równa najniższemu wynagrodzeniu. Problem najniżej uposażonych emerytów zostałby rozwiązany na wiele lat, a nie raz przed wyborami”.**

W sali były wszystkie telewizje, byli dziennikarze. Minęły 3 tygodnie i pies z kulawą nogą nie zainteresował się sprawą. Publicyści, szczycący się symetryzmem, wolą monotonnie gęgać, że Koalicja Europejska nie ma żadnego programu i nic nie proponuje poza odsunięciem PiS od władzy.

Zgłoszony przez Czarzastego

postulat znaczącego podniesienia najniższych rent i emerytur ma w sobie wszystko, o co powinna zabiegać współczesna lewica.

Jest to realne zmniejszanie nierówności społecznych, wyciąganie kolejnych grup społecznych ze strefy ubóstwa, a przy okazji przywracanie im elementarnej godności. Jak wiadomo z raportu ONZ, 1 procent najbogatszych ludzi na Ziemi posiada ok. 40 proc. majątku ludzkości, 10 pro-

---

3 lata temu rząd rzucił hasło, że wybudujemy drogę rzeczną, która połączy Bałtyk z Morzem Czarnym. Pomysł równie realny jak hiperlotnisko, milion elektromobili i program „Mieszkań plus”. Zamiast wzbudzić śmiech, obiecanka wywołała strach w zielonej części narodu.

Ekologicznie

Ukazał się zamówiony przez ekologów raport naukowców ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i Uniwersytetu Warszawskiego mówiący o tym, że jeśli Polska zbuduje drogę wodną E 40 z Warszawy do Brześcia, to Lubelszczyzna i Podlasie spustynnieją. Częstotliwość występowania suszy na tym terenie wzrośnie o 172 proc.

Chyba że dotknie je potop, gdyż naukowcy twierdzą również, że **„na części odcinków wody z kanału przenikałyby do warstw wodonośnych, co mogłoby powodować podtopienia”.**

Najbardziej zagrożone są tymi dopustami bożymi zwierzątka i roślinki. Ponieważ trzeba będzie Wisłę z Brześciem połączyć kanałem lateralnym, czyli wykopać drugi Bug – biegnący równolegle do pierwszego. W związku z czym Bugi byłyby 2. Rząd rozpatruje jeszcze dwie inne trasy, ale ponieważ biegną one takimi arteriami wodnymi jak Wieprz, to aby nadawały się do spławu, też trzeba by je wykopać na nowo.

Wypadałoby porobić też śluzy i inną infrastrukturę hydrologiczną. A potem wlać wodę. Wlać, bo tej z Bugu czy Wieprza nie wystarczy. Wodę brałoby się z Wisły. Ponieważ w wielu miejscach miałaby pod górkę, to konieczne byłoby jej pompowanie nawet na długości 200 km. Przepompowanie wody z Wisły też byłoby – zdaniem ekologów – dramatem. Odbiłoby się negatywnie na żabach, rybach i motylach zamieszkujących jej brzegi i wody.

Dyplomatycznie

Ekolodzy sądzą, że Bruksela zabroni Warszawie kopania nowych koryt rzek. Mogą się zdziwić.

Bo to właśnie Unia namawia Polskę, żeby przystosowała swoje rzeki do celów transportowych. Z powodów ekologicznych. Po to opracowano

eprasa.pl fdfd39ccec

Czarzasty proponuje reformę systemu emerytalnego.

Włodkowe zamiast Jarkowego

cent najbogatszych posiada 85 proc., a najbiedniejsza połowa ludzkości posiada mniej niż 1 proc. Ta statystyka jest największym wyzwaniem dla lewicy. W Polsce nierówności społeczne kształtują się wprawdzie na średnim poziomie Unii Europejskiej (według wskaźnika Giniego), ale grupa emerytów i rencistów wyraźnie odstaje. Ich uposażenia na tle uposażeń ich koleżanek i kolegów z Zachodu wyglądają żałośnie.

Przejdźmy do szczegółów, uprzedzam będzie trochę arytmetyki (kwoty brutto).

Renciści i emeryci to obecnie 24,4 procent populacji Polski. To bardzo dużo i odsetek ten będzie nadal wzrastał. W sumie emerytów i rencistów jest prawie 9 milionów. 7,4 miliona emerytów korzysta z ZUS-u, 1,2 miliona rolników z KRUS-u, 370 tysięcy stanowią emeryci mundurowi (MON i MSWiA), 33 tysiące to emeryci podlegli Ministerstwu Sprawiedliwości.

Średnia emerytura w ZUS to 2072 zł. Mężczyźni otrzymują średnio 2580 zł, a kobiety 1750 zł (!). Jednak średnia to wskaźnik mylący. Gdy idę z moim psem Wasylem na spacer, to średnio mamy trzy nogi i po jednej ręce. 50 procent emerytów otrzymuje świadczenie poniżej 1860 zł i to jest wskaźnik (mediana), który już o czymś mówi. Połowa emerytów żyje więc bardzo biednie.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Projekt Czarzastego oznacza znaczące poprawienie ich egzystencji. Wychodzi oczywiście z założenia, że państwo polskie dysponuje wolną kwotą w wysokości ok. 40 mld zł. Taką dokładnie, jaka jest konieczna do sfinansowania „piątki Kaczyńskiego", czyli Jarkowego.

Reforma ta dotyczyłaby 3,3 miliona emerytów, 720 tysięcy inwalidów oraz 930 tysięcy osób pobierających renty rodzinne. W sumie blisko 5 milionów Polek i Polaków. Podniesienie ich świadczeń do poziomu pensji minimalnej, która wynosi w tym roku 2250 zł, kosztowałoby rocznie 39,6 mld zł.

To jest prawdziwa zmiana! Lepiej uposażony emeryt to nie tylko wyższy poziom życia całej rodziny, ale również, w rachunku ciągnionym, wiele pozytywnych efektów dla całej gospodarki.

Oczywiście malkontenci stwierdzą, że się nie da, że budżet tego nie wytrzyma, że Kaczyński rozdaje przed wyborami wirtualne pieniądze. Faktyczny stan budżetu zna minister finansów; opozycja nie ma instrumentów, by kwestionować dane statystyczne przedstawiane przez rząd. Gdyby jednak po odsunięciu PiS od władzy okazało się, że budżet jest w znacznie gorszym stanie, to SLD ma przygotowane bardziej pesymistyczne warianty tej reformy. Wzrost wszystkich rent i emerytur do minimum socjalnego, co wydaje się absolutną koniecznością, to wydatek zaledwie 2,3 mld zł rocznie. Trochę więcej niż rząd PiS przeznaczył do tej pory na propagandową telewizję TVPiS. A podniesienie ich do wspomnianej mediany (1860 zł) to wydatek z budżetu rzędu 23,5 mld zł rocznie.

Plan maksimum Czarzastego kosztuje mniej więcej tyle, ile projekt PSL – „emerytura bez podatku". To, co proponują ludowcy, też realnie podnosi emerytury, ale w sposób nierozwiązujący kwestii ubóstwa. Na projekcie PSL najwięcej zyskaliby najbogatsi emeryci, a najmniej najbiedniejsi. Co ciekawe, średnia emerytura w KRUS wynosi 1221 zł, a zatem rolnicy, którzy są potencjalnym elektoratem PSL, znacznie więcej skorzystaliby na propozycji Czarzastego niż na propozycji Kosiniaka-Kamysza. Gdyby koalicja przetrwała do wyborów parlamentarnych, to tego właśnie powinna dotyczyć wewnętrzna dyskusja programowa. Który z tych wariantów jest społecznie bardziej efektywny. Nie mam wątpliwości, że koncepcja Czarzastego zwycięża pod każdym względem: ekonomicznym, społecznym i politycznym.

Takimi projektami zmian systemowych opozycja powinna gasić infantylne i szkodliwe pomysły Kaczyńskiego. Pokazywać, że „piątka Kaczyńskiego" nie rozwiązuje żadnych problemów społecznych, a propozycje prawdziwych zmian są w zasięgu ręki. Niestety koncepcja Czarzastego na razie nie zyskała rozgłosu. Łatwiej przecież mówić i pisać, że opozycja nie ma żadnego konstruktywnego planu. □

andrzej.rozenek@redakcja.nie.com.pl

Polska idzie w kanał

Autostrady wodne to kolejny przykład pisowskiego lania wody. I pisowskiej głupoty.

„Zintegrowany europejski program działań na rzecz żeglugi śródlądowej" (NAIADES) mówiący, że trzeba przesunąć część ładunków z ciężarówek na kolej i barki. Zgodnie z założeniami tej unijnej polityki w 2030 r. z dróg powinno zostać przeniesione na szyny i wodę 30 proc. towarów, zaś do 2050 r. – ponad 50 proc.

W 2016 r. Polska przyjęła strategię rozwoju śródlądowych dróg wodnych i została zobowiązana do przystąpienia do czegoś, przed czym migaliśmy się przez 21 lat. W 2017 r. staliśmy się sygnatariuszem Konwencji AGN – Europejskiego Porozumienia w sprawie Głównych Śródlądowych Dróg Wodnych o Międzynarodowym Znaczeniu. Musieliśmy się przy tej okazji zobowiązać, że udrożnimy dla barek 3 trasy. Dwie od biedy istniały, bo wybudowano je jeszcze w czasach zaborów. Z Bydgoszczy można by było pływać do Czech i na Zachód. Jednak E40 nad Morze Czarne była tylko mrzonką brukselskich lobbystów od budownictwa hydrologicznego.

Bruksela postrzega Polskę przez pryzmat produkowanych przez nas statystycznych głupot. Z nich zaś wynika, że w UE mamy piątą pod względem długości sieć dróg wodnych. Unijni urzędnicy nie doczytali widać tego, że z naszych nominalnych 3650 km spławnych rzek wymagania stawiane drogom wodnym o znaczeniu międzynarodowym spełnia ledwie 214 km. Resztą mogą pływać tylko flisacy.

Politycznie

Skoro to wszystko wiedział minister od żeglugi Marek Gróbarczyk, to dlaczego nie odmówił Brukseli? To jasne: musiał udowodnić elektoratowi sens istnienia swojego nikomu niepotrzebnego resortu.

Polska nie jest bowiem krajem produkującym miliony ton czegoś, co nadaje się do transportu wodnego. Wszystkie polskie porty morskie przeładowują niecałe 90 mln ton rocznie – tyle, co jeden średniej wielkości port rzeczny na Renie.

Poza alibi dla funkcji Gróbarczyka były też inne przyczyny zgody na unijne koncepcje rzeczno-kanałowe. **„Chcemy, by polskie rzeki stały się wielkimi drogami, po których będą płynąć pełne towarów barki zwodowane w rodzimych stoczniach"** – wyjęczała w *exposé* premier Beata Szydło. Bajdurzenia te przebił prezydent Andrzej Duda, przekonując, że polskie rzeki będą jak Jangcy, którą widział w Szanghaju: **„Proszę państwa, tą rzeką płynęła barka za barką przez 24 godziny na dobę. Cały dzień i całą noc tą rzeką w dwie strony trwał transport – dosłownie barka za barką! I to pokazywało m.in. nieprawdopodobny potencjał tej gospodarki".**

Skoro Polska zobowiązała się do zrobienia międzynarodowego spławu do Morza Czarnego, to wypadało przynajmniej poudawać, że się coś robi. Chociaż do tych inwestycji nie było ani serca, ani pieniędzy. Powołano zatem Komitet Sterujący, wybrano odpowiednie urzędy, którym polecono opracowanie planów. Dogadano się nawet z Białorusią, która zapowiedziała, że też zabierze się za prace studialne nad rzecznym zagadnieniem. Od dwóch lat budowa E40 polega na pozorowaniu działań.

Posła Pawła Pudłowskiego z Nowoczesnej sprawa żeglugi rzecznej tak nurtowała, że zadał resortowi Gróbarczyka pytanie: **„Kiedy poznamy konkretny plan realizacji inwestycji na drogach wodnych E30, E40 i E70?".**

Odpowiedź ministerstwa jest szczera i głupia. Ale rozwiewa obawy ekologów i nadzieje właścicieli barek. Brzmi tak: **„Transport wodny śródlądowy, w odróżnieniu od transportu kolejowego i drogowego, nie posiada dotychczas dokumentu planistycznego, który na równi z innymi gałęziami transportu byłby uwzględniany przy opracowywaniu programów i strategii rozwoju".**

Ekonomicznie

Wynika z tego, że jedyny dokument, którym posługują się pisowscy planiści, to studium wykonalności drogi wodnej E40, które powstało jeszcze za rządów Platformy.

Studium kuriozalne. Udowadnia, że inwestycja w drogę wodną E40 jest pomysłem poronionym, chociaż w podsumowaniu twierdzi, że dzięki inwestycji Polska wzrośnie w siłę, a PKB będzie dostatniejsze.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Oszacowano, ile towarów mogłoby płynąć z Ukrainy i Białorusi barkami do Polski i w drugą stronę: do nas 940 tys. ton, a od nas 300 tys. ton. Wniosek wysnuto słuszny: **„Występująca duża nierównowaga kierunkowa w przewozach ładunków,** będzie negatywnie oddziaływała na wykorzystanie środków transportu (barek), a zatem i na opłacalność tej żeglugi". Zamiast napisać, że to wszystko jest bez sensu, bo barki na Morze Czarne wracałyby puste.

Nonsens przedsięwzięcia wyziera także z takiego fragmentu: **„Obecna wymiana handlowa pomiędzy wyżej rozwiniętymi gospodarczo a państwami leżącymi w basenie Morza Czarnego nie stanowi istotnych pozycji w eksporcie i imporcie. Prognozy UE nie przewidują na tym kierunku wielkiego wzrostu przewozów w najbliższych latach".**

W studium policzono, że transport rzeczny jest niewiele tańszy od przewozu koleją, która z kolei jest trzykrotnie tańsza od transportu tirami. Na tym myślenie o kopaniu drugiego Bugu powinno się było zakończyć. Tymczasem Gróbarczyk nadal udaje, że temat E40 jest aktualny.

Nie jest.

Rzeczywisty koszt dokopania się z Wisły do Brześcia to 50 mld zł. Za taką kasę wybudowalibyśmy trasy pod towarowe pendolino. Pod warunkiem że polscy producenci chcieliby coś wozić pociągami. Mimo taniości tej formy transportu nie chcą korzystać z kolei nawet dziś.

50 mld zł wyrzuconych w kanał nie będzie więc ani dziś, ani za ćwierć wieku. Ale Gróbarczyk, zamiast to powiedzieć wprost, pieprzy farmazony i wydaje miliony złotych na niepotrzebne analizy. Przy okazji stresując miłośników żab, ryb i ptactwa wodnego.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl fdfd39ccec

Dialogi dam w drodze do kościoła

GOŚKA DANISZEWSKA postanowiła jednak opowiedzieć Wołkowi, a przy okazji Czytelnikom, o czarnym okresie w jej życiorysie. Na szczęście ma to już za sobą. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** postanowiła zachować się terapeutycznie.

Daniszewska: – Wszystko zaczęło się kilkanaście lat temu.
Wołk-Łaniewska: – Chcesz o tym porozmawiać?

– A myślisz, że po chuj ci to mówię?
– Rozumiem. Kontynuuj, proszę.

– Zrobiłam badania krwi i jakaś kretynka lekarka od razu przepisała mi hormon tarczycy.
– I jak się z tym poczułaś?

– Właśnie usiłuję ci opowiedzieć, ale mi ciągle, kurwa, przerywasz.
– Rozumiem. Kontynuuj, proszę.

– „Poczuje się pani jak motylek. Będzie mi pani wdzięczna" – obiecała. Ale ja się czuję wyśmienicie – protestowałam. Lekarz każe, pacjent słucha. I zaczęło się. Puchłam i odwiedzałam kolejnych endokrynologów. Nikt nie wierzył w moje opowieści.
– I jak się z tym czułaś?

– Wkurwiona. Prawie tak jak teraz, gdy mi się ciągle wpierdalasz w słowo. Tarczyca już się tak rozhuśtała, że nie mogłam przestać tego gówna brać. Wszyscy straszyli mnie śmiercią. „Nie obudzi się pani" – brzmiał wyrok.
– I jakie miałaś odczucia w związku z tym?

– Zajebiste! A jak myślisz? Po latach zaczęły się ataki paniki. Nie mogłam prowadzić samochodu, bo panika kazała mi się co chwila zatrzymywać. Wówczas kolejny lekarz wskazał mi psychiatrę. Ten przepisał mi 2 rodzaje leków, które pomogły. Cud.
– Mówisz, że odnalazłaś wiarę?

– No nie, kurwa, basta! Jeszcze jeden terapeutyczny tekst i będziesz musiała szukać pomocy lekarskiej, bynajmniej nie psychiatrycznej. Choć leków też się możesz nabawić.
– Yhm…

– Lekarz, wręczając mi recepty, wspomniał, żeby nie czytać ulotek, bo piszą je prawnicy, a nie lekarze. Bardzo mi to odpowiadało, bo przyznaj, Wołku, że lektura jest nudna i stresująca.
– Uhm.

– Tak oto przez 7 lat łykałam te tabletki. Czułam się całkiem nieźle. Potem już do lekarza wysyłałam kierowcę, gdyż moje wizyty nie wnosiły niczego. Gdy zaczynałam się źle czuć, zalewałam to szklaneczką.
– Yhm…

– Coraz częściej i coraz wcześniej. Pamiętam, Wołku, te dialogi, gdzie ja tylko mruczałam, a ty gawędziłaś niby do mnie, a tak naprawdę do siebie. Rodzina wywiozła mnie pod Warszawę do jakoby dobrego ośrodka.
– Uhm…

– Tam mnie odtruli w żyłę. Ciekawe, że obejrzeli lekarstwa, które biorę, i zero reakcji. Gdy doszłam do siebie po kroplówce, rozejrzałam się wokół. Prawie sami narkomani. Dilerzy podjeżdżali pod płot i dostarczali towar. Zanim zaczęłam ćpać, uciekłam. Oni chcieli mnie tam trzymać tygodniami, a tanio nie było. To dobry biznes, Wołku, może otworzymy taki ośrodek?
– Hmm…

– Nic nie robisz, kroplówka w żyłę, w kuchni gotuje Ukrainka. Pacjenci całe dnie spędzają na powietrzu, przy stole przypalając papierosa od papierosa i opowiadając życiorysy oraz szczegóły nałogów. No więc uciekłam i wróciłam do dawnego trybu życia. Nie trzeba było długo czekać. Nastąpił kolejny odjazd. Tym razem znaleziono inny ośrodek. Wchodzę tam z córką, rozglądam się po recepcji i bełkotliwie stwierdzam, że tu nie zostanę. Nie zgadniesz, dlaczego.
– Yhm?

– Obrazy mi się nie podobały.
– Aha.

– Ckliwe pejzażyki bez wyrazu. To uratowało moją godność konesera i kolekcjonerki sztuki. Tego już moja kochająca i cudowna córka nie wytrzymała. Zostawiła mnie wśród tych kiczów.
– Hmm…

– Zażądałam jazdy do domu, do męża i zwierząt. Przyjechała Straż Miejska i miła pani w mundurku otworzyła bagażnik. Półprzytomną wsadziła mnie do drucianej klatki. Było niezbyt wygodnie, ale nadal myślałam, że jadę do domu. Chyba przedrzemałam, bo po jakimś czasie obudziłam się w zupełnie nieznanym miejscu. Była to izba wytrzeźwień przy Kolskiej w Warszawie.
– Aha.

– Miejsce dobrze znałam ze słyszenia od różnych kolegów zaprawionych w bojach alkoholowych. Położono mnie w sali, gdzie stało 8 pustych łóżek. Przykryto mnie taką zieloną włókniną. Zimno było jak cholera. Już wtedy zaczęłam nieco myśleć: Daniszewska, przekuj to w sukces!
– Yhm?

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Masz 68 lat i zdobywasz nowe doświadczenie. Moje rozmyślania przerwało trzech mężczyzn w strojach sanitariuszy, którzy zaczęli przemawiać do pustego łóżka: „Pani Teresko, jak się pani czuje?". Robią ze mnie wariatkę, pomyślałam i głośno o to spytałam. „Cicho! Pani obudzi panią Tereskę, a ona chce spać". Gdy dżentelmeni wyszli, poczłapałam do łóżka i siadając na nim, sprawdziłam, że jestem w miarę normalna. Żadnej pani Tereski nie było. Sądziłam, że jest to rodzaj terapii. Panowie wchodzili jeszcze 2 razy. Za trzecim skarcili lekko panią Tereskę, że przeniosła się pod okno. I tak w towarzystwie nieistniejącej pani Tereski spędziłam noc. Gdzieś około jedenastej rano przyjechał alkomat i wydmuchałam 3 zera. Wypisano mnie. Nie miałam przy sobie ani komórki, ani pieniędzy. Snułam się po obcej pustej dzielnicy.
– Było wpaść do mnie.

– Mieszkasz przy Kolskiej?
– Nie, przy Stołecznej, ale to jakieś 3 przystanki tramwajowe. Dobra, wiem, że nie wiesz, co to znaczy. Powiedzmy: kwadrans spacerem.

– No widzisz, nie wiedziałam, bo nigdy mnie nie zaprosiłaś do domu. Tylko do mamusi.
– U mamusi jest czyściej.

– Jasne. Wracając do mojej traumy…
– Yhm?

– Po dwóch godzinach słyszę: „Mamo!". Była to moja święta córka, która mnie szukała. Tym razem pozwoliłam potulnie zawieźć się do kliniki z bohomazami na ścianach. I to mnie uratowało.
– Aha…

– Tu spotkałam mądrego psychiatrę, który obejrzał listę leków i złapał się za głowę. Dostałam dokładną rozpiskę, jak schodzić z psychotropów. „Znienawidzi mnie pani, ale musimy to zrobić". Zastosowałam się do instrukcji i po miesiącu byłam innym człowiekiem. Co 2 miesiące wpadam do pana profesora. Omawiamy bieżącą sytuację ku obopólnemu zadowoleniu. Ostatnio opowiedziałam o tych sanitariuszach od pani Tereski. Profesor bardzo się zdziwił. Uznał, że ci znudzeni chłopcy robili sobie jaja. O takiej metodzie zabawiania pacjentów nigdy nie słyszał. Ja natomiast musiałam zapłacić ponad 3 stówy za tę upojną noc. Warto było?
– Hmm…

– Wołk, kurwa, powiedz coś wreszcie od siebie, bo Czytelnicy pomyślą, że teraz ciebie wywieźli na detoks i gadam ze sobą.
– Kochani Czytelnicy! Przyjdźcie wszyscy na pochód, a właściwie postój pierwszomajowy, organizowany jak zwykle przez Ikonowicza i jego Ruch Sprawiedliwości Społecznej. 1 maja…

– To trzeba koniecznie podkreślić, bo inaczej nikt się nie domyśli, kiedy jest pochód pierwszomajowy.
– …1 maja, powiadam, na rondzie de Gaulle'a o jedenastej.

– Dobra, udowodniłaś swoją obecność. Ja bym na to nie wpadła.
– Po pochodzie towarzysze z RSS jadą do Łodzi, skąd Ikonowicz kandyduje do Europarlamentu z listy Lewica Razem. Tak tylko mówię, jak gdyby ktoś był zmęczony wybieraniem mniejszego zła i postanowił wybrać większe dobro, nie ulegając szantażowi, że „głos zmarnowany to głos na PiS".

– Ale to prawda.
– Jeśli będziemy tak myśleli, to do usranej śmierci będziemy wybierali między prawicą bogatych i prawicą biednych. Która sama się ostatnio bardzo wzbogaciła. W dupie mam taką alternatywę. Jedyne mniejsze zło, które akceptuję, to stan wojenny. Lewica Razem ma najróżniejsze notowania, od 1 do 5 proc., i jak wszyscy prawdziwi lewacy…

– Są jacyś prawdziwi lewacy poza tobą?
– No dobra, to nieprawdziwi też. Lewacy i lewacujący.

– Jacy?!
– Lewacujący. Nie znoszę słowa „lewicujący", bo jest w nim jakaś pełna hipokryzji minoderia: że nie jestem człowiekiem lewicy, ależ skąd, ale tak trochę się przychylam do społecznej wrażliwości. Człon im w anus! Ale lewacujący mogą być, bo to trochę więcej niż lewica, a jeszcze nie ekstrema. W każdym razie gdyby wszyscy ludzie z lewa, którzy nie lubią Platformy tak samo jak PiS-u, zdecydowali się zagłosować na Lewicę Razem, to byłoby także z korzyścią dla SLD.

– Doprawdy?
– Oczywiście. Bo relatywny sukces SLD w koalicji z PO w eurowyborach oznacza, że Schetyna Sojusz pożre i wydali, nic z niego nie zostanie poza produktami wydalania. A jeśli wezmą w dupę, to może zmądrzeją i jesienią stworzą lewicową koalicję z Razemem, RSS, UP, co może skłonić do namysłu Wiosnę.

– Serio? Wierzysz w to, że powstanie koalicja Czarzastego, Biedronia, Zandberga i Ikonowicza?
– To jest pora, w której miliard ludzi na świecie wierzy, że Bóg, który był jednocześnie człowiekiem, urodzony przez kobietę, która w życiu nie miała stosunku płciowego i pozostała dziewicą do śmierci mimo porodu siłami natury, umarł i w gorącym klimacie Bliskiego Wschodu rozkładał się przez 3 dni, po czym nawet trochę nienadpsuty powstał i wyruszył pieszo do miejscowości oddalonej o 11 km. To ja mogę sobie wierzyć we wspólną listę lewicy.

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

W tym kraju nie da się żyć na trzeźwo.

Pijemy więcej niż w PRL – alarmują specjaliści od spożywania, niechcący sugerując, że życie za komuny było znośniejsze niż za kaczyzmu. Wina za nadmierną konsumpcję wódki nie leży jednak po stronie kaczek, lecz małpek. Małpką można się uchlać jak świnia. Docenione przez PiS krowy mniejszy mają w rozpijaniu narodu udział.

Małpka w czerwonym

Małpki, czyli małe butelki wódki, wiodą prym w wyborach alkoholowych Polaków. Uspokajają sumienia tych, którzy nie chcą być poczytywani za pijaków – zwłaszcza przez samych siebie. Szczególną atencją cieszą się trunki kolorowe. Feeria barw, zapachów i smaków pozwala się oszukiwać, że chlapnięcie kolejnego maleństwa wiedzie do czegoś wznioślejszego niż ordynarne zalanie pały. Cytrynówka, orzechówka czy wiśniówka wchodzą tak gładko, że nie trzeba zapijać. Niewielka gramatura nie wywołuje nudności. Wiszące na gałęziach półek monopolowego małpki uśmiechają się do klientów. Co ważne, te zwierzątka mogą spożywać nawet wegetarianie.

Historia spożywania małpek ma w Polsce także wymiar polityczny. W 2009 r. opinię społeczną zelektryzowała wieść, że Kancelaria Prezydenta wszech czasów prof. Lecha Kaczyńskiego zamówiła 500 buteleczek wódki, koniaku i whisky. **„W związku z informacjami, jakie pojawiły się w dzisiejszych mediach, dotyczącymi zakupionego przez Gospodarstwo Pomocnicze Kancelarii Prezydenta RP alkoholu informujemy, że alkohol w małych opakowaniach zakupiony został na potrzeby cateringu samolotowego zgodnie z obowiązującymi standardami na pokładach samolotów"** – tłumaczyli oficjalnie urzędnicy kancelarii.

Inną teorię w imieniu części społeczeństwa sformułował Janusz Palikot. **„Albo pan pre-**

PiS twierdzi, że trzeba walczyć z pijaństwem w narodzie, ale na gadaniu się kończy. Prezes Kaczyński wie, że gdyby wprowadził w życie antypijackie przepisy, straciłby władzę.

Jarosław Kaczyński do uczestników konferencji „Odpowiedzialność parlamentarzystów i władzy za trzeźwość Narodu. Wdrażanie Narodowego Programu Trzeźwości", która odbyła się w Sejmie: **„Jeżeli dziś jest potrzebny Polakom jakiś czyn patriotyczny, czyn wyzwoleńczy, to jest nim czyn abstynencki. Rezygnacja z picia alkoholu, odrzucenie trucizny, która rozkłada ducha narodu".**

Do walki z pijaństwem wzywają prezydent, marszałek Sejmu i premier.

Andrzej Duda: **„Jako ludzie i jako obywatele mamy moralny obowiązek przeciwdziałania wszystkiemu, co zagraża bezpieczeństwu, spójności, rozwojowi i pomyślności całego naszego społeczeństwa".**

Marek Kuchciński: **„Można śmiało stwierdzić, że trzeźwość stanowi jeden z fundamentów życia osobistego, rodzinnego i narodowego. Oznacza bowiem zewnętrzną i wewnętrzną suwerenność, wolność duchową i życie w zgodzie z najcenniejszymi wartościami. Dlatego też naszym moralnym obowiązkiem jest przeciwdziałanie wszystkiemu, co zagraża rozwojowi i pomyślności naszego społeczeństwa".**

Mateusz Morawiecki: **„Wszyscy jesteśmy zobowiązani do propagowania walki z tym nałogiem obejmującej także wspieranie działań propagujących życie w trzeźwości".**

• • •

Narodowy Program Trzeźwości został ogłoszony w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości z inicjatywy Episkopatu Polski. Odwołując się do słów J.P.2, władza państwowa i kościelna skierowały przesłanie do Polaków: **„Nie ma wolności bez trzeźwości! Nie ma przyszłości człowieka i narodu bez trzeźwości!".**

Ponieważ prośby ani groźby nie przemawiają do wyobraźni społeczeństwa, strażnicy trzeźwości narodu proponują wprowadzenie antypijackich działań:

a) zakaz sprzedaży alkoholu młodzieży do lat 21;
b) podniesienie cen alkoholu;
c) zakaz reklamy piwa;
d) zakaz sprzedaży alkoholu od 22.00 do 6.00;
e) zakaz sprzedaży alkoholu na stacjach benzynowych;

eprasa.pl fdfd39ccec

Planeta małpek

zydent Kaczyński, zwierzchnik sił zbrojnych, zrezygnuje z pełnionego urzędu i rozpocznie odwyk, leczenie z tej bardzo trudnej choroby, jaką jest alkoholizm, albo przedstawi w ciągu kilku najbliższych dni wiarygodne świadectwo, że nie jest alkoholikiem” – apelował, a swój apel zilustrował happeningiem. Polityczny performance miał bardzo przyjemny wymiar:

Palikot wypił małpkę w Sejmie. Na tym przyjemność się skończyła, bo ukarany został grzywną w wysokości 1200 zł. Była to prawdopodobnie najdroższa małpka w Polsce.

Fundamentalny spór ostatecznie nie został jednak rozstrzygnięty. Sympatię śp. prezydenta dla ogoniastych zwierzątek dało się zauważyć już w 2006 r., gdy podczas konferencji prasowej nazwał dziennikarkę TVN 24 **„małpą w czerwonym”.**

Być może więc to spuścizna po zmarłym tragicznie prezydencie była źródłem oburzenia, które wywołała prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz, kupując w markecie dużą butelkę wódki, zwaną dla odmiany krową. **„1 wódka, 2 cole i 3 ochroniarzy”** – informował o tym incydencie pasek głównego wydania „Wiadomości”. Dwie cole na flaszkę to faktycznie za dużo. Pisowcy – ze względu na pamięć o poległych w Smoleńsku – łatwiej akceptują małpki niż krowy.

Polak pochodzi od małpki

Etos małpki żywy jest w narodzie na tyle, że firma Synergion przygotowała raport „Dokąd płynie mała wódka”, poświęcony temu zjawisku. Zmierzyła, zważyła, policzyła. Żeby było śmieszniej, raport o wódce zamówili piwowarzy ze Związku Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego. Z lektury dowiadujemy się, że oszczędni zazwyczaj Polacy w kwestii alkoholu zachowują się nieprzedsiębiorczo. Małpki bowiem są droższe w przeliczeniu na litr oraz zawierają mniej alkoholu. Na hipokryzji i oszukiwaniu siebie Polak jednak nie oszczędza. **„Małe butelki wódki zmieniają sposób picia alkoholu. Pozwalają pić z większym poczuciem bezpieczeństwa, wygodniej, w sytuacjach, w których wcześniej picie alkoholu było niemożliwe lub zbyt krępujące. Wprowadzają do picia alkoholu elementy niegroźnej, niewinnej zabawy”** – czytamy w raporcie. **„Dla wielu konsumentów już sama możliwość konsumowania ich w nowych sytuacjach jest atrakcyjna. Łatwo wnoszą małe butelki do kina, na stadiony, niektórzy nawet do teatru, a wielu także do pracy”.** I to akurat nie dziwi, bo kto by na trzeźwo poszedł do teatru, a tym bardziej do pracy.

Rocznie sprzedaje się w Polsce ponad miliard małpek, a tendencja jest rosnąca.

Przy tej liczbie 500 butelczyn zamówionych przez Kancelarię Prezydenta wydaje się śmiesznym zapasem. Według autorów raportu codziennie w podręczne zwierzątko zaopatrują się w sklepie nawet 3 miliony osób. Najwięcej pracowników fizycznych (700 tysięcy) – przed pracą, oczywiście. Nie ustępują im emeryci i mężczyźni na spacerze z pieskiem (po pół miliona), kolejną wielką grupę stanową kobiety (400 tysięcy). Zdaniem fachowców od uzależnień pojawienie się małpek w praktycznie każdym sklepie (czyli 10 lat temu) ośmieliło kobiety do picia. Duże butelki pospolitej czyściochy nie licują z godnością damy, za to kolorowa małpka już tak nie razi. Wyglądem i smakiem przypominająca słodki napój alkoholowa ciecz nie gryzie w gardło i sumienie, a poręczna buteleczka zmieści się w każdej torebce.

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Komuna zalicza zgon

Autorzy raportu podkreślają, że małpki pomagają uniknąć obaw o uzależnienie oraz zachować poczucie kontroli: **„Zachowania związane z piciem małej butelki nie są stereotypowymi zachowaniami osoby z problemem alkoholowym. Wręcz odwrotnie: są postrzegane jako wyraz kontroli nad piciem, ponieważ ilość jest mała, a funkcjonowanie społeczne osoby pijącej nie ulega zmianie”.** Zmianą w stosunku do wspomnianej na początku PRL jest to, że mniej osób pije, aby się upić. Małpkę przyjmuje się na rozluźnienie i chęć do życia.

Cel i kultura picia różnią się od tych z czasów peerelowskich. Za nieboszczki komuny alkohol był przede wszystkim sposobem na zabicie wolnego czasu, wówczas… nowego zjawiska. Pisze w swojej książce (wydanej przez Instytut Historii Nauki PAN) „Historia pijaństwa w PRL” Krzysztof Kosiński: **„W drugiej połowie XX w. przybywało wolnego czasu – przede wszystkim w miastach. Najwięcej mieli go ludzie młodzi, dopiero rozpoczynający pracę, zwłaszcza mężczyźni, mniej niż kobiety angażujący się w prace domowe. Dla robotników, którzy wywodzili się ze wsi, brak obowiązkowych zajęć »po fajrancie« stanowił urzekającą, choć niekiedy zgubną nowość”.** We wstępie do jego naukowego opracowania tematu chlania w Polsce Ludowej czytamy: **„Polacy w czasach PRL stali się jednym z najbardziej rozpitych narodów na świecie. Pod koniec lat 70. nadużywało alkoholu około 5 milionów osób, z których około 900 tysięcy nałogowo. Codziennie upijało się kilkaset tysięcy osób (głównie mężczyzn), część z nich – w miejscu pracy. »Statystyczny« Polak wydawał na alkohol w ciągu roku jedną miesięczną pensję. Każdego dnia trafiało do izb wytrzeźwień ponad 800 osób. Dzień w dzień odnotowywano ok. 350 wypadków drogowych spowodowanych przez pijanych kierowców lub pieszych”.** Picie kilka dekad temu kończyło się najczęściej rytualnym przybiciem gwoździa. Dziś: trach, seta i jedziemy dalej. Czynność tę powtarzamy kilkakrotnie w ciągu dnia, nie dopuszczając do upojenia.

Pijackie śmiecie

Ewolucja w stronę małpek zmieniła obyczaje alkoholowe Polaków. Popchnęła nas w stronę naszej ulubionej hipokryzji. Są już tacy, którzy chcieliby zakazać sprzedaży małych butelek z wódką, bo zawsze się znajdą tacy, co lubią zakazywać. Z mojej perspektywy jednym z najbardziej uciążliwych dla społeczeństwa skutków powszechnej dostępności małpek jest ich powszechne wypierdalanie gdzie bądź. Naród śmieciarzy nie umie donieść peta do kosza, a porozrzucane puste butelki to plaga ulic, parków i lasów. Alkohol wzmaga tumiwisizm, zatem prędzej się jeden z drugim zreflektuje przed wyrzuceniem na ziemię puszki po coli niż opróżnionej małpki. Z laniem po bramach też jest problem, ale publicznych toalet jest jak na lekarstwo, a pęcherz ciśnie. Odpowiedzialne picie to zatem przede wszystkim wyrzucenie pustej butelki do śmietnika. Majówka to najlepszy moment, by o tej elementarnej zasadzie przypomnieć.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Jeszcze wódka nie zginęła

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

f) likwidacja w części sklepów spożywczych stoisk monopolowych;
g) likwidacja budek z alkoholem;
h) zakaz sprzedaży wódki w tzw. małpkach, czyli butelkach o objętości poniżej 100 ml;
i) przymusowe edukowanie „antyalkoholowe” funkcjonariuszy publicznych pełniących funkcje z wyboru (Prezydenta RP, prezydentów i burmistrzów miast, wójtów, radnych, senatorów i posłów);
j) wprowadzenie w szkołach obowiązkowych lekcji o szkodliwości picia alkoholu;
k) zakrojone na szeroką skalę antyalkoholowe kampanie medialne;
l) wprowadzenie surowych kar za łamanie zakazów i ograniczeń antymonopolowych.

Wydawać by się mogło, że skoro wszyscy są „za”, to szybko stosowne przepisy wejdą w życie, a Polacy będą trzeźwi i szczęśliwi. Tu się zgina dziób pingwina! Pisowska władza mówi co innego, a co innego robi.

• • •

Podległy ministrowi zdrowia Krzysztof Brzózka, prezes Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych (PARPA), od dwunastu lat lobbuje u polityków za wprowadzeniem przepisów utrudniających nabycie alkoholu. Jego starania są torpedowane. **„Od zawsze próbuję przepchnąć przez Sejm 3 rzeczy: całkowity zakaz reklam alkoholu, ograniczenie sprzedaży w całej Polsce w godzinach 22.00–6.00 i wprowadzenie ceny minimalnej na alkohol. Z tego pakietu niczego nie udało się załatwić”** – żalił się prezes PARPA w rozmowie z portalem Gazeta.pl.

Prezes Brzózka: **„Jak się zmienił ustrój i nastał PiS, to myślałem, że z nimi będzie łatwiej. Gdzie tam! Opowiadają, że są prospołeczni, że chcą ograniczyć spożycie alkoholu, ale jak przychodzi do głosowań, to wszystko zostaje po staremu. (…) Znałem pisowskiego posła Sękowskiego vel Sęka** (teraz wiceministra spraw zagranicznych – przyp. A.S.)**, w Poznaniu był kiedyś szefem komisji rozwiązywania problemów alkoholowych. Zaczęliśmy razem działać. Związek Miast Polskich też nas wspierał. Ustawa z ograniczeniami godzin sprzedaży poszła do Sejmu i – nawet nie wiadomo, kto, kiedy i jak – została zmasakrowana w komisjach. (…) Wyszedł z tego mokry kapiszon”.**

Kaczyński i spółka nie są głupcami. Muszą kadzić biskupom, stosując antypijacką retorykę. W praktyce nie zrobią nic, aby ograniczyć spożycie.

• • •

W 1986 r. Michaił Gorbaczow jako sekretarz generalny Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego zainicjował kampanię antyalkoholową. Zakładała ona m.in. znaczne podwyżki cen napojów wyskokowych, likwidację punktów sprzedaży, ograniczenia godzinowe sprzedaży. Po latach ostatni prezydent ZSRR przyznał, że **„suchoj zakon”** był **„błędem”** i **„karkołomnym skokiem na główkę”.** Obywatele nie przestali pić, powstały tysiące nielegalnych bimbrowni, a państwo stanęło na krawędzi upadku z powodu utraty dochodów. Sektor monopolowy dostarczał bowiem aż 25 proc. wpływów do budżetu państwa.

• • •

Rynek napojów alkoholowych w Polsce wycenia się na ok. 60 mld zł. Przemysł alkoholowy (spirytusowy i piwowarski) zapewnia pracę około 260 tysiącom osób, co razem z rodzinami daje około 2 milionów wyborców. Co roku odprowadza do budżetu państwa w formie różnych podatków ponad 23 mld zł, czyli prawie tyle, ile wynoszą nakłady na sztandarowy program rządu „500 plus”.

Kaczor nie podetnie gałęzi, na której siedzi. Obłudni biskupi i politycy PiS zdają sobie z tego sprawę. Dlatego na realizację Narodowego Programu Trzeźwości dali sobie 25 lat. Większość z nich nie dożyje do 2043 r.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

REBUS 2

eprasa.pl fdfd39ccec

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Rzut kurwą

Mówi się: „Kląć jak szewc". A dlaczego się nie mówi: „Kląć jak dziennikarz sportowy"? W życiu nie spotkałem przeklinającego szewca. Dziennikarzy sportowych – wielu. Sam byłem jednym z nich.

Gdy trafiłem do dziennikarstwa sportowego, było to środowisko hermetyczne i zmaskulinizowane. W takim otoczeniu, podobnym trochę do wojskowego, „kurwy" i „chuje" fruwają w powietrzu niczym meszki nad podmokłym terenem. Owszem, w „Przeglądzie Sportowym", w którym zaczynałem jako stażysta, pracowała jedna dziennikarka, Ola Korolkiewicz, ale rzadko uczestniczyła w życiu towarzyskim redakcji, zajmowała się jakąś niszową dyscypliną, bodaj strzelaniem do rzutków; jeśli wychodziła z pokoju, to głównie po to, aby opieprzyć młodego dziennikarza, w którego tekście znalazła błąd. Też nie żałowała ciężkich słów. Wiem coś o tym, bo i mnie się dostawało.

Nie mam pojęcia, jak klną szewcy, ale w dziennikarstwie sportowym były to

przekleństwa wyrafinowane,

nie ograniczały się do jednego słowa, ale tworzyły wiązanki. Czasem zaskakiwały pomysłowością. Na drużynę, która często przegrywała, mówiło się krótko – „pederaści". Chodziło o to, że każdemu dają dupy. Nikt wówczas jeszcze nie zawracał sobie głowy prawami mniejszości seksualnych.

Rewolucji dokonał dopiero redaktor naczelny tygodnika „Sportowiec" Witold Duński. Zatrudnił dwie młode dziewczyny (jedną z nich była Małgorzata Daniszewska, która teraz na stronicach „NIE" chodzi z Agnieszką Wołk-Łaniewską do kościoła). Dziewczyny umiały dobrze pisać, ale ni czorta nie znały się na sporcie. Wniosły do dziennikarstwa powiew świeżości. Ich relacje z zawodów czytało się z przyjemnością, choć po lekturze nie było jasne, kto wygrał, a kto przegrał i dlaczego. Dziennikarki szybko nauczyły się, że w mówionej polszczyźnie słowo „kurwa" może służyć zarówno jako przecinek, jak i kropka. Przebijały nawet pod tym względem wielu redakcyjnych kolegów, bo dziennikarze „Sportowca", być może z racji pracy w jedynym w PRL kolorowym tygodniku o tej tematyce, mieli tendencję do uważania się za lepszy sort i niektórzy dochodzili do wniosku, że nie trzeba ciekawiej pisać, żeby to udowodnić, wystarczy mniej przeklinać.

Eugenio Bomboni, włoski dziennikarz, z którym pozostawałem w przyjaznym kontakcie, zaskoczył mnie kiedyś, mówiąc, że nauczył się języka polskiego.

– Naprawdę? Powiedz coś po polsku – poprosiłem.

Bomboni wyrecytował bez mrugnięcia okiem: – Kszcz, kszcz, kurwa, kszcz, kurwa…

Eugenio udowodnił, że ma zdolności językowe.

Pewnego razu w drzwiach działu sportowego, w którym wówczas pracowałem, stanęła dziewczyna; niewysoka, ale atrakcyjna. Na imię miała – dajmy na to – Lucyna. Wydział Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego przysłał ją do nas na

praktykę wakacyjną.

Lucyna łaziła po pokojach, a my co chwila musieliśmy się gryźć w języki, żeby na zewnątrz nie wydostało się jakieś grube słowo. Przy młodej i ładnej dziewczynie jakoś nie wypadało przeklinać, ale nie ukrywajmy – było to dla nas trochę męczące. Wreszcie postanowiliśmy jednym cięciem przerwać tę nienaturalną sytuację.

– Słuchaj, Lucynka – powiedzieliśmy jej otwarcie – jeśli chcesz zostać dziennikarką sportową, a chcesz, musisz się uodpornić na wszystkie „kurwy", „chuje", a nawet „pizdy" nadające ekspresji rozmowom.

Lucynka przyjęła to do wiadomości, ale sama nie przeklinała.

O molestowaniu nie mogło być mowy. Nikt nie poklepywał Lucynki po pupie, nie łapał jej za cycki ani nie składał erotycznych propozycji. Byliśmy przeklinającymi, ale w miarę przyzwoitymi ludźmi. Nikt po prostu nie zwracał uwagi na płeć nowego członka redakcji. Czasem tylko robiliśmy jej niewinne dowcipy.

Kolega wyjeżdżał do Gdańska pisać sprawozdanie z meczu koszykówki. Lucynka pojechała z nim uczyć się, na czym polega ta praca. Przed wyjazdem wzięliśmy dziewczynę na stronę i zdradziliśmy sekret: – Lucynka, uważaj na tego gościa. Po zawodach ma on zwyczaj upijać się do nieprzytomności, a wówczas wprost rzuca się na kobiety. Najgorsze, że dopuszcza się przy tym rękoczynów, inaczej nie dostaje orgazmu.

Był to tym bardziej perfidny żart, że akurat ten kolega pił niewiele, nawet nie palił papierosów, okazjonalnie pykał tylko fajkę.

Po ich powrocie z Gdańska dotarły do nas dwie różne relacje. Kolega opowiedział, że po pracy, jako dżentelmen, postanowił zaprosić Lucynkę na kolację. W hotelu zapukał do jej pokoju, ale zamiast zaproszenia usłyszał szuranie mebli przystawianych do drzwi. Lucynka zdradziła nam natomiast w zaufaniu, że redakcyjny kolega, oczywiście nawalony, dobijał się do jej hotelowego pokoju, ale mu nie otworzyła.

Czy był to seksistowski dowcip? Na pewno nie, choćby dlatego, że słowo „seksistowski" jeszcze nie trafiło do polszczyzny. To miała być melodia przyszłości.

Lucynka nie została dziennikarką sportową. Zaszła w ciążę z jakimś Skandynawem, który okazał się uczciwym człowiekiem. Kupił jej kawalerkę w Warszawie,

srebrną toyotę

i notarialnie zobowiązał się wypłacać 150 dolarów miesięcznych alimentów. Za komuny 150 dolarów to była kupa szmalu.

Co było dalej? Nie wiem. Zmienił się ustrój, kawalerka przestała być luksusem, toyotę pewnie zżarła rdza, a 150 dolarów samotnej matce z dzieckiem ledwie pozwala wiązać koniec z końcem. Taka ambitna dziewczyna jak Lucynka na pewno dała sobie radę, ale nie w dziennikarstwie sportowym, bo nasze losy już nigdy się nie przecięły. Celowo zmieniłem jej imię. Ktoś mógłby skojarzyć fakty i po co to jej? Mnie, który opowiedział tę prawdziwą historyjkę, też nie zależy na rzucaniu cienia na sympatyczną niewiastę.

Była grupa dziennikarzy sportowych, których warg nigdy nie skalało nieprzyzwoite słowo: to sprawozdawcy telewizyjni i radiowi. Podczas nasiadówki w jakimś hotelowym barze Włodek Szaranowicz nie musiał mi wyjaśniać przyczyny, ale to zrobił. Gdyby pozwolił sobie, nawet w jak najbardziej prywatnej sytuacji, na jakąś „kurwę", mogłaby ona w napięciu towarzyszącym relacjonowaniu wyjątkowo emocjonującego wydarzenia bezwiednie powędrować na antenę.

Czystość języka i konieczność zachowywania przynajmniej pozorów trzeźwości w miejscach publicznych była ceną, jaką płacili za popularność, rozpoznawalność i autografy, po które przychodzili do nich ludzie przypadkowo spotkani na ulicy. Wraz z upływem czasu coraz większego znaczenia zaczęło nabierać

dziennikarstwo telewizyjne,

a prasowe spadło niemal na margines. To nie mogło pozostać bez wpływu na słownictwo używane w redakcjach. Bardzo, ale to bardzo złagodniało.

Zmiana ustroju wiele zmieniła nie tylko w zaopatrzeniu sklepowych półek. Zmienił się też zawód dziennikarza sportowego, do którego szturmem zaczęły przedzierać się kobiety. Bez wątpienia najjaśniejszą gwiazdą jest teraz Paulina Chylewska z Polsatu Sport, nie tylko ładna, ale i znająca się na rzeczy. Do Polsatu przeniosła się niedawno z telewizji pisowskiej, *pardon* – publicznej. Oczywiście wiele osób pytało ją o przyczyny tej decyzji, w zamyśle mając zapewne nadzieję usłyszenia o okropnościach, do jakich dochodzi w firmie dowodzonej przez prezesa Kurskiego. Chylewska nigdy słowem nie wspomniała o poprzedniej posadzie.

Niektórzy przypuszczają, że obietnica zachowania w tajemnicy uroków pracy pod okiem Kurskiego była warunkiem zgody na bezkonfliktowy transfer do konkurencyjnej stacji.

Czy tak było? Jeśli Chylewska sama tego nie zdradzi, można tylko zgadywać.

Wcześniej podobną drogę – z TVP do Polsatu – przeszedł mąż Pauliny Chylewskiej, dziennikarz sportowy Marcin Feddek.

Efektowna blondynka Daria Kabała jest żoną Arkadiusza Malarza, odstawionego ostatnio na boczny tor bramkarza piłkarskiej drużyny Legii Warszawa. Żona nie musi szukać fachowych porad u męża. Wyspecjalizowała się w komentowaniu sportu żużlowego na antenie Canal+Sport i – co najważniejsze – idzie jej coraz lepiej.

Listę kobiet komentujących w telewizji wydarzenia sportowe można ciągnąć dość długo, bo wszystkie stacje – jak gdyby się umówiły – muszą mieć przedstawicielki płci pięknej: Paula Czarnota-Bojarska, Karolina Szostak, Monika Lechowska, Aida Bella, Sonia Śledź, Aleksandra Szutenberg to tylko najbardziej znane. Nawet w papierowej prasie znajdziemy gwiazdę – ładną i sprawną w zawodzie Izę Koprowiak. Może nadejdzie czas, gdy dziennikarstwo sportowe stanie się zawodem sfeminizowanym i w rozmowach zamiast wiadomych słów najczęściej słychać będzie

dywagacje o kosmetykach

i najnowszych trendach w modzie? Bez przesady. Tego już chyba nie dożyję.

Zawód szewca niemal całkiem wymarł, rzadko można zobaczyć warsztacik, w którym stary rzemieślnik przybija fleki i naprawia zelówki. Z dziennikarstwa sportowego zniknęły nieprzyzwoite słowa. Wystarczy jednak przejść się ulicą, od przecznicy do przecznicy, żeby kilkanaście razy w rozmowach mijanych osób usłyszeć „kurwę". Jeśli nie szewcy i nie dziennikarze sportowi, to – do kurwy nędzy! – przedstawiciele jakich zawodów przejęli od nich pałeczkę?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
w.mittelstaedt@op.pl

REBUS 3

eprasa.pl fdfd39ccec

Prawa strona tęczy

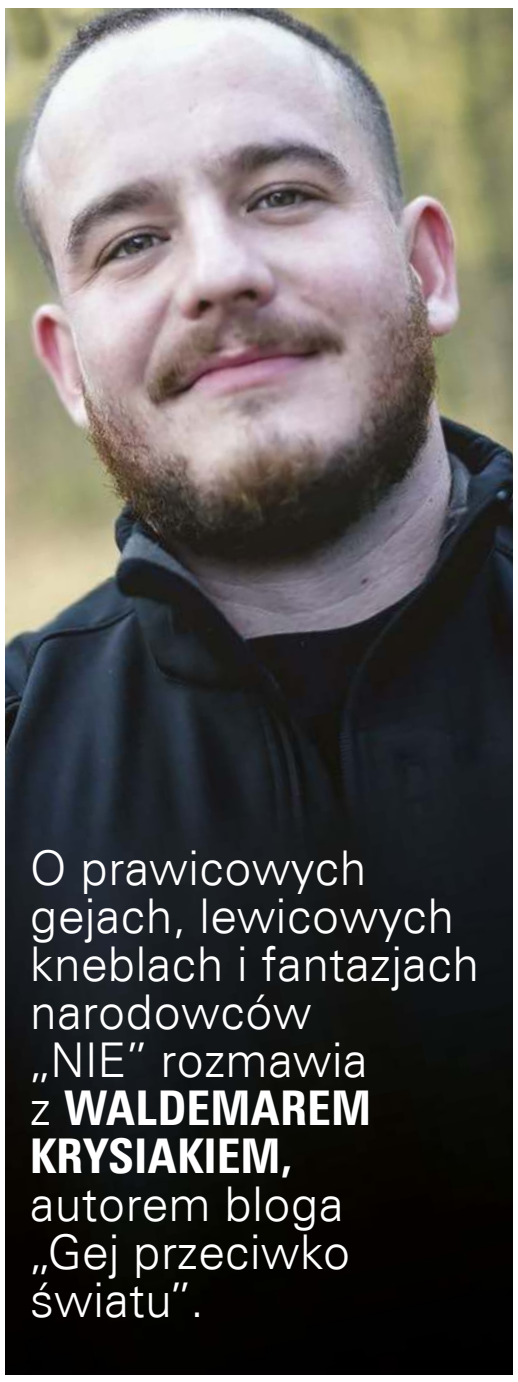

O prawicowych gejach, lewicowych kneblach i fantazjach narodowców „NIE" rozmawia z **WALDEMAREM KRYSIAKIEM,** autorem bloga „Gej przeciwko światu".

Waldemar Krysiak
– 28 lat, lingwista i fotograf. Jako 18-latek wyemigrował z Polski najpierw do Szwajcarii, potem do Niemiec. Dawniej aktywista ruchu LGBT, dziś jego krytyk.

– Wreszcie Pana znalazłem! Po tylu latach! To Pan jest tym gejem, znajomym każdego prawicowca? Tym z opowieści zaczynających się od: „Mam kolegę geja, który nie chodzi na Parady Równości i nie popiera ruchu LGBT"?

– Tak jak w USA, rasiści zaczynają zdanie od deklaracji: „Nie jestem rasistą, bo mam czarnego przyjaciela"? Żarty żartami, to oczywiście dowód anegdotyczny. Ale skoro ktoś deklaruje, że przyjaźni się z gejem, to raczej nie jest homofobem.

– Albo próbuje usprawiedliwić swoją homofobię. Po wywiadzie dla narodowców na Pana mogą się teraz wszyscy powoływać. Nie jest to dla geja środowisko naturalne. Skąd się Pan tam, u licha, wziął?

– Zostałem zaproszony.

– Karpie też się zaprasza na Wigilię.

– Najpierw warto powiedzieć, że mój światopogląd ewoluował. Nie urodziłem się prawicowcem – wręcz przeciwnie – dawniej mocno lewicowałem. Jeszcze 10 lat temu byłem na Paradzie Równości z moją lewicową kuzynką i dzisiejszymi członkami Partii Razem (nieznośni ludzie, swoją drogą).

– I co Panu potem odbiło?

– W opisywanych wyżej czasach mieszkałem w Szwajcarii. Potem przeprowadziłem się do Berlina. I w tym Berlinie byłem aktywnym uczestnikiem środowiska LGBT. Na początku było fajnie i miło. Ale potem zacząłem odnosić wrażenie, że w tym środowisku wszystko kręci się wokół seksu. O ile z początku nie przeszkadzało mi, że non stop podrywają mnie stare dziadki (zwłaszcza że tacy mi się podobają), o tyle w pewnym momencie okazało się, że kiedy zbyt często odmawiam seksu, to staję się pariasem w towarzystwie.

– Przecież nielimitowany seks to marzenie każdego człowieka.

– Jak widać, niekoniecznie.

– Dziwny Pan jest.

– To jest homofobiczna wypowiedź!

– Sprytnie zastawiona pułapka.

– Pokonałem pana bronią lewicy.

– Oho, zaczyna się…

– Ale to przecież lewica zatyka usta oponentom poprawnością polityczną.

– Dobrze, że akurat tym. Zresztą nieważne. Rozczarowanie lewicą i ruchem LGBT pchnęła Pana w ramiona narodowców. Nie jest to aby to słynne popadanie ze skrajności w skrajność?

– Pyta pan, czy jest to rodzaj mojej zemsty na dawnym środowisku?

– Nie chodzi mi o zemstę, ale o to, czy odczuwa Pan tak przemożną chęć przynależności do jakiegoś środowiska politycznego?

– Przeciwnie. Mam silną potrzebę nieutożsamiania się z kimkolwiek. Nie należę też do osób, które mają wielką potrzebę zwracania na siebie uwagi. Ale w moim dawnym środowisku raziło mnie funkcjonowanie na zasadzie albo-albo: albo mam zamknąć ryj i przytakiwać największej nawet głupocie, albo do widzenia.

– Te „głupoty" pewnie trochę by ułatwiły Panu życie.

– Geje, lesbijki i osoby biseksualne są w pewnym sensie zakładnikami lewicy. Partie lewicowe szantażują nas na zasadzie: popieracie cały pakiet naszych poglądów i wtedy możecie liczyć na cokolwiek albo nie popieracie – i wtedy nie dostaniecie nawet ochłapów.

– Chyba lepsze ochłapy niż wpierdol albo więzienie?

– Jak widać po mojej obecności w prawicowych mediach, nie jest to takie oczywiste. Nie mam siniaków – co więcej, idę tam kolejny raz. Moja postawa narodziła się z buntu wobec wspomnianego szantażu. Dlatego zacząłem pisać bloga „Gej przeciwko światu". Żeby pokazać, że homoseksualiści nie stanowią światopoglądowego monolitu. I pokazać innym, że nie muszą tkwić w tej pułapce. Na tym blogu poznali mnie ludzie, którzy potem zaprosili mnie do wspomnianych prawicowych mediów.

– I jak było?

– To nie jest tak, że poleciałem tam na zawołanie. Taki występ to przecież ryzyko dla mnie, bo narażam się na krytykę i niepochlebne komentarze, a poza tym nie lubię występów przed kamerą. Ryzykował również prowadzący, który też się nasłucha i naczyta. Ale koniec końców pojechałem, wystąpiłem i świat się nie zawalił. Było to interesujące doświadczenie. Mimo że w wielu punktach się z tym środowiskiem nie zgadzam, często fundamentalnie. Wielkim błędem lewicy jest założenie, że z ludźmi o przeciwnych poglądach się nie rozmawia.

– Chyba Pan zbyt łaskawie traktuje prawicę.

– Okej, uznajmy, że obie strony okopały się na swoich pozycjach. A przecież to właśnie rozmowa z człowiekiem o odmiennych poglądach ma sens.

– W idealnym świecie tak jest, ale żyjemy w Polsce A.D. 2019. I czy w związku z tym nie obawia się Pan, że zostanie przez prawicę użyty jako listek figowy? Immunitet przed zarzutem homofobii?

– Poza tym, że rzeczywiście trochę się brzydzę, iż siedziałem na tym samym krześle, co Grzegorz Braun, nie uważam, że moje wystąpienie będzie miało tak daleko idące konsekwencje. Każda z udzielających się w mediach osób odpowiada tylko za własne słowa. Nie legitymizuję jednym czy drugim wywiadem poglądów i programów całego środowiska. Może raczej należałoby pochwalić prawicowców za to, że wpuścili do studia geja.

– Proszę się nie rozpędzać. No dobrze, a co tak naprawdę znaczy „gej-konserwatysta"?

– Zacznijmy od tego, że moje poglądy są tylko po części konserwatywne, a po części liberalne. Uważam, że każdy ma prawo do swobody myślenia i wypowiedzi, szanuję prywatną własność i uznaję prawo do istnienia sfery prywatnej, do której należy m.in. sprawa orientacji seksualnej.

– A co z małżeństwami homoseksualnymi?

– Nie istnieje żaden powód, by tych rzeczy nie uregulować prawnie, choćby przez wprowadzenie związków partnerskich. Co do małżeństwa, to raczej problem języka, nazwy. Z jednej strony rozumiem, że geje i lesbijki chcieliby mieć to uregulowane. Ale związek homoseksualny różni się od heteroseksualnego choćby tym, że nie urodzi się z niego dziecko.

– Zawsze można adoptować. No właśnie… można?

– Są pary homoseksualne, które są w stanie zapewnić dziecku stabilny rozwój. Ale problemem może być ukazanie innych modeli ról kobiety i mężczyzny.

– Takie ryzyko występuje również wśród par hetero po rozwodzie, gdy dziecko wychowują matka i babcia.

– Ale to też nie jest sytuacja normalna – rozwody mają negatywny wpływ na dzieci.

– A już Pan zaczynał mówić jak człowiek…

– Nadal mówię. Uważam, że różnica między liberalnymi a konserwatywnymi gejami jest taka, że my nie ustawiamy swojej seksualności w centrum swojego życia. Na moją osobowość składa się wiele rzeczy, nie tylko bycie gejem.

– Czasem odnoszę wrażenie, że najbardziej zafiksowani na punkcie homoseksualizmu są ci, co krzyczą: „Jebać pedałów!" (co już samo w sobie jest ryzykowne). Jak w dowcipie: Dwóch mężczyzn uprawia seks analny. Kogo boli dupa? Polskiego prawicowca.

– Najprościej nazwać homofoba kryptogejem, bo to jest argument trudny do odparcia. Ogólnie homofobia to nadużywane słowo. Można o to oskarżyć każdego, choćby twórców filmu z pominięciem wątku gejowskiego.

– Czyli rację mają ci, którzy przestrzegają przed homopropagandą albo – jak ks. Oko – przed homoterroryzmem. Czy nasze polskie dzieci zarażą się pedalstwem przez oglądanie filmów z homoseksualnym wątkiem?

– Geje i lesbijki istnieją od zawsze i nie widać, żeby ich populacja zwiększyła się znacząco w ostatnim czasie. Nie ma więc dowodów, by tzw. homopropaganda zbierała żniwo w postaci przekształcania ludzi hetero w homo. Ale nie da się ukryć, że od etapu tabuizowania homoseksualizmu przeszliśmy do etapu „gej w każdym filmie".

– No, ale co z tymi prawicowymi homofobami?

– Homofobia może się wiązać z poglądami konserwatywnymi. Takie osoby są niechętne nowościom, czemuś, czego nie znają – uważają to za niebezpieczeństwo. Liberałowie są zaś generalnie bardziej otwarci na świat i postrzegają nowość jako potencjał. Żadna z tych postaw nie jest stuprocentowo słuszna, bo wszystko zależy od sytuacji. Istnieją też osoby niepewne własnej seksualności – i są to często konserwatyści, najczęściej mężczyźni. Oni zauważają u siebie, że odczuwają intensywne uczucia wobec innego mężczyzny – brata, przyjaciela, ojca. Niektórzy obawiają się, że może są gejami. Niekoniecznie jednak muszą być homoseksualni. Ale nie uważam, żeby tacy jak oni stanowili większość wśród homofobów.

– Jaki jest Pana stosunek do wiary i religii?

– M.in. przez antyklerykalny wpływ tygodnika „NIE" jako 18-latek dokonałem jeszcze w Polsce apostazji. Kiedyś byłem namiętnym czytelnikiem waszego pisma, w którym dawniej nie brakowało też żartów z gejów. Teraz stało się dla mnie zbyt monotematyczne w tym waleniu w Kościół i PiS. Przez 10 lat byłem więc zaciętym antyklerykałem i ateistą. Potem wpadłem w depresję. Zabrzmi to jak patetyczna historyjka z kościelnego pisemka, ale w tej depresji przydarzyło mi się coś, po czym uznałem, że Bóg istnieje.

– Czyli wrócił Pan na łono Kościoła?

– Nie. Moim zdaniem gej nie może być katolikiem, bo nauczanie Kościoła nie pozwala mu być w pełni sobą. Katolicyzm wzywa do życia w czystości, co dla geja oznacza celibat, bo nie może przecież żyć w małżeństwie. Choć z drugiej strony podzielam katolicki pogląd, że nie każdy seks jest dobry i należy być bardzo ostrożnym w kwestii seksualności.

– Jaki to jest zły seks – poza przypadkami z kodeksu karnego?

– To kolejny lewicowy mit, że każdy stosunek, na który zgadzają się dwie osoby, jest okej. Seks może uzależniać. Seks z obcą osobą jest tak naprawdę wykorzystaniem jej jak własnej ręki do masturbacji oraz dawaniem się wykorzystać tej drugiej osobie w podobny sposób.

– I co w tym złego? Komu dzieje się krzywda?

– Nie mówię, że to największa zbrodnia, jaką można sobie wyobrazić, ale zwracam uwagę, że takie instrumentalizowanie seksu do niczego dobrego nie prowadzi. Tak jak żona, która daje mężowi dupy tylko wtedy, gdy dostanie jakiś prezent. To kupczenie tyłkiem i nie jest chyba zbyt fajne, nie?

– Zależy, z czyjej perspektywy…

– Co kto lubi, zaręczam jednak, że większość potępiłaby ten rodzaj kurewstwa. W ogóle uważam, że seksem nadmiernie fascynują się tylko kurwy i dziewice. To wina braku świadomości seksualnej, rozmowy na ten temat. Cierpią przez to zarówno pary homo, jak i hetero.

– W tym pięknym momencie zgody zakończmy rozmowę.

Rozmawiał ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

eprasa.pl fdfd39ccec

Ciężarówki do stania

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

Hasło do strajku rzucili polscy przewoźnicy. Szybko zyskało poklask w wielu krajach Europy. Do protestu chcą przyłączyć się transportowcy hiszpańscy, bułgarscy, rumuńscy, czescy czy słowaccy.

Jeśli para nie pójdzie w gwizdek, to 28 czerwca w Europie na jeden dzień staną tysiące ciężarówek. Przestaną jeździć między krajami, miastami i w samych miejscowościach. Przestaną rozwozić świeże bułki, wędliny czy mleko.

Przewoźników ze wspomnianych krajów połączyły nowe regulacje szykowane przez Parlament Europejski pod nazwą „Pakiet mobilności". Początkowo miał on służyć firmom francuskim czy niemieckim. Miał bić w polskie firmy transportowe. Ale Europarlament poszedł dalej – domyślać się należy, że stało się tak wskutek lobbingu ze strony wielkiego kapitału.

Jeśli „Pakiet mobilności" zostanie przyjęty w obecnej formie, wyeliminuje on z rynku wszystkie małe oraz średnie firmy. A nawet te, które np. w Polsce uznawane są za duże, gdyż mają po kilkadziesiąt ciężarówek.

Na rynku unijnym pozostanie kilku ogromnych przedsiębiorców. Międzynarodowe korporacje podzielą między siebie tort, jakim jest transport samochodowy. Mali i średni nie przetrwają.

Według tych regulacji każda firma wożąca jaja czy coś innego po państwach Unii Europejskiej będzie musiała szczegółowo znać przepisy prawa 28 krajów członkowskich wspólnoty.

Administracyjnie ograniczona ma być liczba transportów wykonanych przez jedną ciężarówkę do danego kraju. Np. polska ciężarówka będzie mogła wykonać 2 transporty po terytorium Niemiec, po czym na tydzień musi opuścić ten kraj.

Jeśli ciężarówka wykonuje transport np. z Polski do Hiszpanii, to firma musi prowadzić kilka dokumentacji księgowych: z osobna dla każdego z tych krajów, przez które przejeżdża ciężarówka, w urzędowych językach tych krajów i według odrębnych przepisów każdego z nich.

Kierowca będzie musiał wozić ze sobą odpisy wszystkich dokumentów związanych z przewożonym ładunkiem w 28 językach krajów Unii Europejskiej przez pół roku po zakończeniu przewozu.

Przepis, który miał chronić kierowców, powoduje, że nigdzie nie będą ubezpieczeni. Składki ubezpieczenia społecznego będą płacone w urzędzie – odpowiedniku ZUS – każdego kraju, przez który przejedzie ciężarówka. A skoro w każdym kraju obowiązują przepisy mówiące, że poniżej pewnego progu kwoty składek świadczenie nie przysługuje, to w efekcie może się okazać, że kierowca nigdzie nie uzyska prawa do renty, emerytury czy nawet chorobowego. Nie wiadomo nawet, czy będzie ubezpieczony od wypadku.

Wprowadzony ma być obowiązek stosowania tachografu mierzącego czas pracy kierowcy we wszystkich samochodach ciężarowych. Nawet tych, którymi można jeździć, mając prawo jazdy kategorii B (na samochody osobowe). Czyli samochód z piekarni, jeśli rano wyjedzie w trasę z bułkami, to po południu musi stać na parkingu.

Jeżeli pracownicy pojadą busem na budowę o szóstej rano, to o trzeciej po południu już nie wrócą tym busem do domu. Rozwieźć ich musi kolejny kierowca kolejnym samochodem.

Nawet karetka pogotowia, jeśli nie jedzie na sygnale, też będzie objęta tymi przepisami. Czyli zwykły transport z jednego szpitala do innego – odległego – stanie się koszmarem. Większość kamperów ma masę przewyższającą 2,5 t, co oznacza, że nie wolno im będzie na dobę jechać dłużej niż 8 godzin od momentu uruchomienia silnika. A potem 11 godzin przerwy obowiązkowej. To samo dotyczy największych samochodów rodzinnych typu van oraz ciężkich aut terenowych typu suv.

Do tego dojść mają obowiązkowe zakazy jazdy powyżej pięciu dni w tygodniu i 52 godzin w skali dwóch tygodni. Dzisiaj system liczenia czasu pracy kierowcy jest tak skomplikowany, że liczą go komputery, gdyż ludzie się gubią. Do przestrzegania tego właśnie skomplikowanego systemu pracy Parlament Europejski chce zmusić wszystkich kierowców, którzy mają auta o wadze przekraczającej 2,5 t. Czyli również rolników, artystów, kupców, właścicieli *foodtrucków*.

Kolejnym idiotyzmem jest planowany zakaz nocowania w samochodach ciężarowych, nawet jeśli są do tego przystosowane. Kierowca będzie musiał posiadać przy sobie rachunki z hoteli. Także wówczas, gdy spał w domu (jeśli zdarzyło się, że trasa przebiegała obok jego miejsca zamieszkania). I oczywiście nie wiadomo, kto w tym czasie będzie pilnował ciężarówki z cennym ładunkiem.

Inną komplikacją jest nakaz powrotu do domu po dwóch tygodniach pracy. Dziś kierowcy pracują jak marynarze, a ciężarówki są od trzech do czterech tygodni w trasie. Potem kierowca odpoczywa przez tydzień w domu. Taki system wynika z czasu przejazdu dużych ciężarówek po Europie. Jeśli zostanie wprowadzone wspomniane ograniczenie, to ciężarówka z Polski nie będzie mogła wykonywać przewozów do Hiszpanii, połowy terytorium Francji czy Włoch, gdyż nie zdoła wrócić na czas do Polski.

Podobnie rzecz się ma z przewoźnikami innych krajów. Nie będzie można przewieźć jedną ciężarówką transportu z Hiszpanii do Rosji, z Turcji do Szwecji lub Wielkiej Brytanii. Po drodze trzeba będzie zmienić załogę, np. na niemiecką albo francuską.

Jest to obłęd, który przekracza granice rozsądku. A wszystko to w imię rzekomej walki z dumpingiem płacowym. Tylko że żaden mniejszy przewoźnik nie będzie w stanie spełnić takich wymagań, jakie nakłada „Pakiet mobilności".

Do strajku 28 czerwca nawołują liczni członkowie Polskiej Unii Transportu oraz Zrzeszenia Pracodawców Transportu Transport i Logistyka. Nowych przepisów boją się nie tylko pracodawcy, lecz również wielka grupa kierowców. Niektórzy co prawda wierzą, że przygotowywane regulacje będą im służyć, a giganci transportowi na miarę Amazonu będą płacić lepiej i regularnie niż ich obecni pracodawcy. W ankiecie dotyczącej strajku wzięło udział kilkanaście tysięcy osób zatrudnionych przez firmy transportowe w Polsce. 89 procent opowiedziało się za strajkiem.

M.C.

Sześć osi i się prosi

Kół-ysanka dla minister Rafalskiej.

Od kilku miesięcy kolejni szefowie nie płacą Sławkowi ani grosza. Mimo to 18 kwietnia koleś usłyszał, że nie dość, iż walczą o niego pracodawcy, to on i jego połowica co miesiąc zarabiają 10 tys. zł.

W tym właśnie dniu w popularnej audycji ekonomicznej Radia TOK FM komentowano najnowsze dane Głównego Urzędu Statystycznego. Wynikało z nich, że przeciętne wynagrodzenie w gospodarce polskiej sięgnęło 5 tys. zł. I choć to była kwota brutto i dotyczyła firm zatrudniających powyżej dziewięciu osób, to w studiu zapanowało zdziwienie, a następnie wesołość. Ktoś zauważył bowiem, że GUS w tym zestawieniu nie uwzględnił banków. Gdyby je uwzględniono, średnia byłaby wyższa. Może nawet taka, jaka ma być w 2020 r. Jeśli wynagrodzenia będą rosnąć zgodnie z dotychczasowymi wskazaniami GUS, to przeciętne zarobki w polskiej gospodarce wyniosą w przyszłym roku 6 tys. zł.

– Z czego ten wzrost wynagrodzeń wynika? – zastanawiał się Sławek, popijając literka z kolegą.

– Z tego, że kapitaliści pokochali proletariat. Bezrobocia w Polsce prawie nie ma. Pracodawcy modlą się, żeby zechciał się u nich ktoś zatrudnić – wyjaśnił mu uczony kolega.

• • •

Sławek należy do wyjątków potwierdzających regułę. Od lat pracuje w firmach zajmujących się transportem samochodowym. Często jako „biznesmen".

– Umowa o pracę? Chłopie, tobie to niepotrzebne – oświecił go jeden z szefów. – Zarejestruj firmę, a będziesz zarabiać u mnie więcej. Albo w ogóle, jeśli mnie nie posłuchasz.

Spedytorów pozwalniano. Szefowie żądali od nich, żeby przechodzili na samozatrudnienie. Z kolei kierowcom obliczali wynagrodzenie stosownie do przejechanych kilometrów bądź był to procent od wartości ładunku.

Kierowcy się zbuntowali. Wówczas ustawowo wprowadzono zapis, że takich umów o pracę z siedzącymi za kierownicami ciężarówek nie wolno podpisywać. Zaczęto szukać dodatkowych oszczędności na tych, którzy ładunki dla ciężarówek wyszukują – na spedytorach. Na Sławku i jemu podobnych. Szef obiecujący wyższe zarobki na samozatrudnieniu zrobił sobie z gęby cholewę.

• • •

Na rynku pracy roi się od ogłoszeń: **„Zatrudnię spedytora z własną bazą klientów".** Co oznacza, że trzeba okraść dotychczasowego szefa, aby zdobyć kolejną pracę. Jako posiadacz długiej listy klientów Sławek zawsze miał pracę, choć niekoniecznie etat. Część forsy dostawał pod stołem.

– Zarobisz tyle, ile ładunków zdobędziesz dla moich ciężarówek – słyszał od kolejnych pracodawców. – A jak nie chcesz, to wypad.

Sławek wyjaśnia, że w ten sposób właściciele firm transportowych przerzucają ryzyko gospodarcze na pracowników. Co prawda polskie przepisy tego zakazują, ale

Państwowa Inspekcja Pracy i Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej masowego łamania prawa w branży transportowej nie zauważają.

Nagle zaczął się brexit. Zaczęto obawiać się wysyłania towarów do Wielkiej Brytanii. Liczba przewożonych przez ciężarówki ładunków spadła w skali Europy aż o 20 proc. W efekcie spadły ceny przewozów – o każdy ładunek bije się zbyt wielu chętnych.

Sławek w styczniu i w lutym zarobił grosze. Przy komputerze siedział od rana do nocy. Od minister Elżbiety Rafalskiej usłyszał, że bezrobocie wyniosło w pierwszych dwóch miesiącach tego roku zaledwie 6,1 proc. Postanowił więc zmienić pracę.

Dziś już nie szuka się pracy, chodząc od firmy do firmy. Dziś szukanie pracy polega na klikaniu.

Sławek wszedł na pierwszy portal z ogłoszeniami typu „Dam pracę". Znalazł tam setki ofert dla siebie. Klik – wysłał zgłoszenie. Klik – wysłał je gdzie indziej. Klik – jeszcze jedna firma otrzymała jego odpowiedź.

Po jednym dniu klikania Sławek stanął przed sporym problemem. Nie wiedział już, do kogo wysłał zgłoszenie, a gdzie tego jeszcze nie uczynił.

Wszystkie anonse brzmiały podobnie. W żadnym adresu ani nazwy firmy. I za każdym razem treść swojego zgłoszenia musiał wklejać do elektronicznego formularza znajdującego się na stronie internetowej.

• • •

Sławek nie tylko nie wiedział, do kogo wysyła ofertę. Nie wiedział również, na jakich warunkach zostanie ewentualnie zatrudniony – czy dostanie etat i jaką pensję. Ale z ogłoszeń wynikało, że jako ekstradodatek otrzyma kartę „Multisport", uprawniającą do zniżek w klubach fitness albo zostanie objęty dodatkowym ubezpieczeniem zdrowotnym. Oczywiście nie wiadomo, na jakich warunkach.

Po trzecim dniu klikania ktoś wreszcie do niego oddzwonił. Po drugiej stronie jakaś obrażona panienka.

eprasa.pl fdfd39ccec

Bieda dla bogatych

Dla uczczenia 1 Maja z właściwą lewakom arogancją wyjaśnię Państwu, dlaczego w sprawie „500 plus" wszyscy pierdolą głupoty.

Pierdolą ci, którzy wykrzykują, że to **„rozdawnictwo"**. Programy socjalne, stworzone po to, aby wspierać grupy i cele, które państwo uważa za godne wspierania, nie są rozdawnictwem, tylko istotą polityki państwa. Bez nich państwo jest w zasadzie gówno warte; staje się żałosnym stróżem nocnym, który nie sprawdzał się w XIX w. i tym bardziej nie sprawdza się teraz.

Pierdolą też ci, którzy z oburzeniem wywrzaskują o konieczności zachowania progów dochodowych dla „500 plus" na każde dziecko albo wręcz domagają się wprowadzenia progów także w przypadku rozrodu mnogiego. Programy socjalne zależne od progu podatkowego, wymagające od obywateli udowodnienia swego ubóstwa, automatycznie stają się zasiłkami, które stygmatyzują beneficjentów.

Alternatywą dla rzucania ochłapów biednym jest tzw.

model norweski

to system, w którym wszyscy obywatele szeroko korzystają ze wsparcia państwa: w zakresie służby zdrowia, edukacji, transportu czy najszerzej pojętej pomocy w wychowywaniu dzieci.

Uwaga: system norweski jest najlepszy na świecie. To nie ja mówię, to badania.

W zamawianym przez ONZ „Światowym raporcie szczęśliwości" – w którym badani zestawiają stopień swojego uszczęśliwienia związany z poziomem gospodarczym, pomocą socjalną, oczekiwaniami wobec życia, wolnością wyboru etc. – na pierwszych miejscach od lat wymieniają się Norwegia, Dania, Finlandia i Islandia, czyli kraje będące matrycą modelu norweskiego. Szwecja po ćwierćwieczu „prorynkowego" dłubania przy tym modelu w tym rankingu spadła na dół pierwszej dziesiątki (choć w innych radzi sobie nieźle).

„Prosperity Index" to wskaźnik dobrobytu, opracowany przez londyński *think tank* Legatum Institute na podstawie analizy 104 czynników związanych ze stanem dobrobytu – począwszy od PKB, poprzez procent pracowników uczciwie zatrudnionych na pełnym etacie, aż do jakości wypoczynku. Tam także przewodzi Norwegia, a Dania i Finlandia depczą jej po piętach. W tym akurat rankingu Szwecja wyprzedza Islandię.

The Economist Intelligence Unit – „jednostka wywiadowcza" najważniejszego światowego tygodnika ekonomicznego „The Economist" – przeprowadza coroczne badanie analizujące stan demokracji w 167 krajach świata. Oceniane są: proces wyborczy i pluralizm, swobody obywatelskie, funkcjonowanie administracji publicznej, partycypacja polityczna oraz kultura polityczna. Kolejność z 2018 r.: Norwegia, Islandia, Szwecja. Dania jest na 5. miejscu, Finlandia na 8.

Właściwie nie sposób znaleźć rankingu, który nie umieszczałby tych pięciu krajów w czołówce. Nawet ściśle amerykański „Ranking jakości życia", robiony przez „U.S. News & World Report" we współpracy z amerykańskimi uczelniami i sondażowniami umieszcza Szwecję na 2. miejscu, Danię na 3., Norwegię na 4., a Finlandię na 6. (Islandii nie bada). Krótko mówiąc, towarzysze, model norweski jest zajebisty.

Z tym że PiS zdaje się nie do końca go rozumieć. Owszem, model norweski opiera się na pomyśle, że państwo daje dużo i wszystkim niezależnie od dochodów, ale w tym celu bogatym zabiera najwięcej. Aktywna

polityka państwa

w modelu norweskim opiera się na zmniejszaniu nierówności poprzez progresywny podatek dochodowy, który zmusza bogatych, żeby uczestniczyli w kosztach wspólnego dobrobytu w znacznie większym stopniu niż ci, którzy bogaci nie są.

Tymczasem Prawo i Sprawiedliwość, pierdoląc o **„nowej architekturze sprawiedliwego wypracowywania i dzielenia owoców wzrostu"**, robi pod siebie na samą myśl o konieczności podniesienia podatków dla najbogatszych. Zgoda, wprowadziło **„daninę solidarnościową"** dla garstki osób zarabiających ponad milion złotych rocznie, ale to jest zabieg raczej propagandowy niż podatkowy. Zwłaszcza w zestawieniu z faktem, iż to PiS za swej pierwszej niechlubnej kadencji zlikwidowało trzecią stawkę podatku dochodowego, co dziś zaowocowało podatkiem linowym: tylko trzech na stu podatników płaci więcej niż najniższą 18-procentową stawkę podatkową. Mało tego: PiS dziś obiecuje kolejne obniżki podatków – zerowy podatek dla pracowników do 26. roku życia, obniżenie pierwszej stawki podatkowej z 18 do 17 proc. dla wszystkich. Wprawdzie minister Czerwińska próbuje ograniczać te zmiany poprzez wprowadzenie progów dochodowych, ale z partii już słychać, że **„nie to obiecywaliśmy na wiecach"**. A ponieważ obiecał sam prezes, to można założyć, że jego zdanie przeważy.

Zwłaszcza że w tej akurat sprawie wsparcie przekracza linie podziałów politycznych.

Gdy kilka dni temu wicepremier Gowin tłumaczył się w Tefałenie z „piątki Kaczyńskiego", zwracał uwagę, że 2 z pięciu proponowanych rozwiązań dotyczą obniżania podatków. **„We mnie sojusznika dla obniżki podatków pan zawsze znajdzie; nie znajdzie pan sojusznika dla rozdawnictwa pieniędzy"** – odrzekł twardo red. Piasecki. Ten dialog jest znamienny, bo opisuje

Rys. TOMASZ WIATER

stan ducha

zarówno polskiej klasy politycznej, jak i komentariatu: obniżanie podatków jest dobre, amen.

Tymczasem Polska ma – jak wykazuje najnowsze opracowanie Laboratorium Nierówności na Świecie, ośrodka utworzonego m.in. przez Thomasa Piketty'ego – najwyższy w Europie wskaźnik nierówności.

Prawie 40 proc. polskiego dochodu trafia do 10 procent najbogatszych Polaków.

Natomiast udział dochodów najuboższych w tak ulubionych przez premiera **„owocach wzrostu"** regularnie spada. Wzrost dochodów dwóch dolnych kwintyli – 40 procent słabiej zarabiających Polaków – od 1980 r. to tylko 40 proc. średniej tego wzrostu. Gorzej było tylko w Bośni i Hercegowinie oraz w Bułgarii.

A do tego – jak wykazuje opublikowana w marcu analiza dr. Jakuba Sawulskiego z Instytutu Badań Strukturalnych – mamy w Polsce unikatowy w Europie system podatków regresywnych. Czyli im kto zarabia więcej, tym płaci mniej.

Tzw. klin podatkowy to różnica między tym, ile kosztujemy pracodawcę, i tym, co dostajemy na konto. W Polsce wynosi on 35,8 proc. – czyli z każdej stówy, którą wydaje na nas pracodawca, 35,8 zł trafia do państwa w postaci podatków i składek na ZUS i NFZ (które też przecież są formą podatku). To odrobinę mniej niż średnia OECD, która wynosi 36,1 proc., toteż lamenty nad tym, jak wielkie podatki płacą Polacy, są zgoła na wyrost.

Ale

prawdziwy problem

leży gdzie indziej: otóż w tym klinie – czyli mówiąc wprost, w wysokości opodatkowania – nie ma żadnej różnicy między biednymi i bogatymi. Pracownicy zatrudnieni na etacie płacą 37 proc. podatków i składek, niezależnie od tego, czy zarabiają miesięcznie 1000 zł, czy 15 tys.

Na umowach śmieciowych jest jeszcze gorzej, bo ci najbiedniejsi płacą więcej:

przy zarobkach rzędu 10 000 zł rocznie klin podatkowy wynosi 29 proc., przy 200 tysiącach – 26 proc.

W Europie jest, nie zgadniecie, odwrotnie: im wyższe zarobki, tym większy procent z nich zabiera państwo. Średnia różnica między obciążeniami pensji najbogatszych i najbiedniejszych wynosi w UE 8 proc. I warto zauważyć, że średnią tę obniżają dawne państwa bloku wschodniego z tendencją do podatków liniowych; w państwach „starej Europy", tego Zachodu, do którego tak stale aspirujemy, bogaci płacą o kilkanaście procent więcej niż biedni.

A przecież system podatkowy nie kończy się na opodatkowaniu pracy.

Opodatkowanie konsumpcji

– czyli VAT i akcyza – oczywiście znacznie bardziej dotyka tych, którzy wydają wszystkie zarobki na konsumpcję, czyli na życie; czytaj najbiedniejszych. Najuboższy decyl (czyli 10 procent Polaków) wydaje na podatki konsumpcyjne 14 proc. dochodów. Najbogatszy – tylko 9 proc.

To nie koniec.

Jeszcze bardziej regresywne jest opodatkowanie firm – szczególnie indywidualnej działalności gospodarczej. Ponieważ składka na ubezpieczenia społeczne jest zryczałtowana, niezależna od dochodów „przedsiębiorcy" – to dla najuboższych może wynieść połowę dochodu. Dla tych, którzy przytulają ponad 100 tys. zł rocznie i uciekają w samozatrudnienie, żeby wydymać państwo na podatkach i składkach – tylko 24 proc.

Krótko mówiąc: Polska gospodarka nie potrzebuje obniżania podatków, tylko wzięcia za dupę bogatych cwaniaków, którzy płacą mniej podatków niż nauczyciel na stażu albo salowa w prowincjonalnym szpitalu.

„Słyszę opowieści o współodpowiedzialności i sprawiedliwości, i równości, i jawności… Ale nikt nie porusza prawdziwego tematu, czyli unikania podatków. Tego, że bogaci nie płacą tyle, ile powinni. Czuję się, jak gdybym był na konferencji strażaków, na której nikomu nie wolno mówić o wodzie" – mówił w Davos Rutger Bregman, 30-letni holenderski historyk, który stał się sensacją tegorocznego forum; jego wystąpienie obejrzało na Twitterze i YouTubie 9 milionów ludzi.

W Polsce nikt – ani władza, ani opozycja – nie ma odwagi mówić o wodzie.

AWŁ

– Panie! Co pan wyczyniasz? – zaczęła go opieprzać.

– Jak to co wyczyniam? – Sławek nie wiedział, o co chodzi. – Może pani mi powie.

– Piętnasty raz wysyłasz pan do nas zgłoszenie. Możesz pan już przestać?

– Skąd mam wiedzieć, do kogo one idą, skoro w ogłoszeniach nie ma nazwy firmy ani jej adresu? – próbował protestować.

– To się pan domyśl – rzeczowo doradziła mu panienka i zakończyła rozmowę.

Przyczyna tej irytacji wynikła po kilkuset dalszych kliknięciach. Do Sławka znów oddzwoniono. Tym razem rozmowa była grzeczniejsza.

– Niech pan coś więcej powie o swoich kwalifikacjach – usłyszał. – Wie pan, że ledwie dokopaliśmy się do pana zgłoszenia? Dostaliśmy dziesiątki tysięcy aplikacji. Prawie wszystkie od osób, które nigdy w branży nie pracowały.

Następnie padła propozycja, aby Sławek na początku pracował za nie wiadomo ile. Jeśli się sprawdzi, to może zostanie zatrudniony.

W ciągu trzech miesięcy poszukiwania pracy Sławek wysłał 5 tys. anonsów.

Oczywiście nie wiedział, do ilu firm trafiły ani, do jakich.

• • •

Klikanie jednak przyniosło owoce. Sławka zaczęto zapraszać na rozmowy kwalifikacyjne. Czasami oddzwaniały do niego firmy

Rys. TOMASZ WIATER

z drugiego krańca Polski. Nie przeszkadzało im to.

– Chłopie, jeśli naprawdę zależy ci na pracy, to się przeprowadź – mówiono.

Sławkowi przeszkadzało.

Pierwsza rozmowa kwalifikacyjna: – Gdzie pan pracował, jak długo, co jeszcze pan potrafił?

A potem to najważniejsze: – Czy z poprzedniej firmy może pan do nas przynieść jej bazę klientów?

– Czyli czy jestem w stanie ukraść mojemu poprzedniemu pracodawcy listę jego klientów? – dopytywał się Sławek.

– Niech pan się nie obraża.

• • •

Kolejną rozmowę kwalifikacyjną Sławek odbył w firmie – jak na warunki polskie – dużej. Miał zarządzać dziesięcioma ciężarówkami jeżdżącymi po Europie. Miał wydawać polecenia ich kierowcom, z których każdy zarabiał 7,8 tys. zł na rękę.

– Co powie pan na pensję w wysokości 3 tys. zł brutto i ewentualną premię? – zaproponował mu właściciel.

– Ale GUS podaje, że w takich firmach zarabia się średnio po 5 tys. zł – zdziwił się Sławek.

– Zgadza się. Średnia taka będzie – odrzekł pan biznesmen. – Naprawdę nie stać mnie na więcej.

Gdy w jeszcze innej firmie Sławek powiedział, że chce umowy o pracę, poproszono go, aby to wyjaśnił. Przecież wszyscy spedytorzy pracują jako samozatrudnieni.

– Mam małe dziecko. Żeby wyjechać z nim na ferie czy na wakacje, muszę mieć urlop – odpowiedział Sławek.

– Jak to? Pan chce dostać pieniądze za czas, gdy pan nie pracuje? – Jego rozmówca był naprawdę zdumiony.

• • •

Wreszcie Sławek na krótko dostał pracę. Zadzwonił do niego kierowca, dla którego zamawiał ładunki. Błagał o pomoc.

Na początku marca kierowca wyjechał w trasę. Dziesiątego miał dostać wypłatę za luty. Nie dostał. Przez cały miesiąc jeździł po krajach Zachodu, rozwożąc ładunki tam, gdzie mu Sławek wskazał. Żył z tego, co podebrał z pieniędzy, które szef dał mu na paliwo.

10 kwietnia miał wrócić do Polski. 5 kwietnia rozładował kolejny ładunek w Bratysławie. Przez następnych kilka dni miał wozić kolejne towary.

Nie woził, ponieważ Sławek miał kłopot ze znalezieniem opłacalnych zleceń. Szef wysłał kierowcy wiadomość, że pustym samochodem nie wolno mu wrócić do Polski. Poza tym w aucie świeciła się już rezerwa.

10 kwietnia skończyło się paliwo, którego kierowca używał do ogrzewania kabiny. Przez dalsze dni marzł. 12 kwietnia zadzwonił do Sławka. Powiedział, że nie ma już niczego do jedzenia. Autostopem boi się wracać do Polski, gdyż buchną ciężarówkę, a z nią jego rzeczy.

Sławek obdzwonił inne firmy, przekazując informację o głodującym tirowcu. Kierowcy przyjeżdżali na parking pod Bratysławą i przekazywali koledze po kilkadziesiąt euro, by mógł zatankować samochód i wrócić do Polski.

A szef? Szef przepraszał. Tłumaczył się brexitem. Zlecenia są coraz tańsze.

• • •

Polskie firmy mają 300 tys. tirów i drugie tyle busów. W branży pracuje około 1,2 miliona osób, z czego 600 tysięcy to kierowcy. Reszta to spedytorzy i obsługa ciężarówek. Każdy w tej grupie mógłby opowiedzieć podobną historię pani minister Rafalskiej.

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl fdfd39ccec

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Co urodziłam, to moje

Dobra zmiana ma w dupie prawa ojców.

Właśnie w mediach rozgrywa się historia rodziny Samuela Pereiry, prawicowego dziennikarza, człowieka zupełnie nie z mojej bajki. Jego żona ogłosiła na Twitterze, że uprowadził on dzieci i wywiózł je w niewiadomym kierunku, zatem ona musiała powiadomić policję. Wszyscy z Samuela Pereiry zaczęli drzeć łacha, śmiać się i rzucać mu się do gardła: taki konserwatywny, rodzinny, katolicki, a tu proszę – Wielkanoc i nie pozwolił świąt spędzić matce z dziećmi. Jego żonie kilka osób zaoferowało pomoc prawną. Powtarzające się słowa w tytułach: **„porwał własne dzieci”, „ukrywa dzieci”, „żona załamana”, „kobieta przeżywa dramat”.**

Pereira: **„Sąd przyznał mi opiekę nad dziećmi, które od dwóch lat mieszkają u mnie, bo Matka je porzuciła. Dzieci potrzebują leczenia klimatycznego i w związku z tym przyjechały na Święta Wielkanocne do rodziny Matki (Marii) nad morzem”.** Oraz: **„Pełnomocnik Marii nie wnosił w sądzie o uregulowanie Świąt Wielkiej Nocy. Matka wie o wyjeździe, miejscu przebywania dzieci, jednak mimo moich próśb nie chciała przyjechać; jest z nami w stałym kontakcie telefonicznym”.**

Środowiska walczące z dyskryminacją i o prawa kobiet będą długo miały używanie. Bez wnikania, po czyjej stronie jest racja. W zasadzie z góry wiadomo, po czyjej. Po stronie matki.

Weronika Rosati się gniewa

– Myślałem, że się pohaftuję, kiedy to czytałem – mówi mi Irek.

„Nic o tym nie wiesz, nim sama tego nie doświadczysz” – tak aktorka Weronika Rosati zaczyna rozmowę z Magdaleną Środą o samotnym macierzyństwie. Rozmowę opublikowały 9 marca „Wysokie Obcasy”. **„Jest we mnie gniew”** – mówi Rosati. Ona samotna matka, on wyrodny ojciec. Przemocowiec, alimenciarz, o dziecko pyta sporadycznie. Rozmowa wywołała burzę na temat wyrodnych ojców.

– Nic o tym nie wiesz, nim sam tego nie doświadczysz – mówi mi Irek. – Jest we mnie wkurw. Totalny.

Irek nie jest aktorem ani filozofem. Prof. Środa z nim wywiadu do „Wysokich Obcasów” nie zrobi. Jest grafikiem komputerowym. Jest też ojcem dwóch córek: Matyldy, lat 10, i Martyny, lat 8. Rok po rozwodzie. Udziela się na forach fejsbukowych: „Piecza naprzemienna”, „Społeczny rzecznik praw mężczyzn”, „Rodzice alienowanych dzieci”. Stąd go wyhaczyłem.

– Uważam się za gościa należącego do grupy osób dyskryminowanych, o których nikt nie mówi i nikt nie pisze, choć rozmaite pseudofeministki i działacze LGTB tak ochoczo rozdzierają jadaczki przy każdej okazji na temat dyskryminacji.

Co powoduje totalny wkurw Irka? Zapis w pozwie rozwodowym jego byłej żony, który sąd okręgowy, a potem apelacyjny ostatecznie przyklepał: **„Powierzenie powódce wykonywania pełni władzy rodzicielskiej nad małoletnimi córkami stron”** oraz **„ustalenie kontaktów pozwanego z dziećmi w ten sposób, że pozwany będzie miał prawo do kontaktów z dziećmi raz w tygodniu po uprzednim uzgodnieniu terminu spotkania z powódką”.**

Była żona nawet takich minimalnych kontaktów Irka z córkami nie zapewnia. Córkom akurat nie chce się wychodzić z domu, bo są zakatarzone, bo przychodzą koleżanki ze szkoły, bo przyjechała babcia. Irek powinien to zrozumieć i się nie ciskać. Skoro się ciska, to ma problemy z emocjami, niezrównoważony jest po prostu.

Irek widuje córki sporadycznie raz na kilka tygodni. Nie spędził z nimi ani godziny w Boże Narodzenie (już drugie z kolei) i ani godziny w Wielkanoc (drugą z kolei). Chciał odwiedzić je w urodziny, ale został poproszony, aby nie przychodził. Ani na urodziny starszej, ani młodszej. Mieli być goście, a nowy partner żony podobno dobrze gotuje, sam więc Irku, rozumiesz. Poza tym to były zawodnik judo, zatem, Irku, rozumiesz lepiej.

Marta rozpoczyna nowe życie

Irek tworzył z Martą udany związek. Przez 14 lat zero nieporozumień. Wydawało mu się. Marta na poziomie mentalnym nie pasowała do Irka. Skąd to wiadomo? Gdy Marta poznała przez internet Wojtka i zakochała się w nim, miała dylemat, co zrobić – zostać z mężem czy zabrać córki i zamieszkać z Wojtkiem? Ponieważ nie umiała sobie z tym sama poradzić, poszła po poradę do szeptuchy.

Szeptucha to dzisiaj nie zakutana w chusty baba z krzywym nosem, patrząca w szklaną kulę w chatce na kurzej nóżce stojącej na skraju lasu. Szeptucha to dzisiaj nowoczesność – aby wnikliwie zbadać ludzką indywidualność, pozwalającą na wybranie właściwej drogi postępowania, osiągnięcia pożądanej harmonii i spełnienia w życiu, należy wziąć pod uwagę dzień, miesiąc i rok urodzenia oraz dokładną godzinę. Wszystkie cyfry dodać. Marcie, żonie Irka, ostatecznie wyszło 33 – liczba mistrza. To prawie jak 44, a wiadomo, czym jest liczba 44. Mesjasz narodów.

„Małżeństwo, rodzina, przeciętnie to tutaj wygląda ta samorealizacja, tak jakby pod kreską jest. Pani powinna zainwestować w stały romans i swoją wolność” – usłyszała Marta. Dalej: **„W dodatku widać, że talent do bycia matką też ma pani rewelacyjny, więc to w ogóle nie jest w konflikcie. Tutaj tylko mądrość wychowawczą widać, więc w tym ma pani talent, tak samo jak do romansu”.** I dalej: **„U pani jest przyjemność bycia matką, natomiast nie ma tej przyjemności bycia żoną”.** I dalej: **„Główne struktury już córkom zostały przekazane do siódmego roku życia, niech się pani nie obawia. Szczęśliwa matka to szczęśliwe dzieci”.** I dalej: **„W pani przypadku to bym radziła nawet bardziej być feministką, bo to jakby lepiej chyba pani wyszło. Byłaby pani szczęśliwsza, zdrowsza. Bo to ma też duży wpływ na zdrowie emocjonalne kobiety, bo ciągłe życie w takich zahamowaniach prędzej czy później wyhoduje albo nerwicę, albo depresję. Nie ma innej opcji. Kobiety i tak już się cieszą złą reputacją. Ciągle coś w sobie duszą, tłamszą, do czegoś się przymuszają, a potem się dziwić, że takie znerwicowane i depresyjne”.**

Marta postanowiła nie być znerwicowana i pewnego dnia, gdy Irka nie było w domu, po prostu spakowała swoje rzeczy, rzeczy córek i wyprowadziła się. Irek dostał SMS-a: **„Postanowiłam zacząć nowe życie”.**

Marta gotuje się do rozwodu

Dopiero na rozprawie rozwodowej Irek dowiedział się, że „postanowienie nowego życia” nie było nagłym i nieodpartym impulsem. Było przygotowane. Marta w trakcie ostatnich miesięcy małżeństwa – gdy niemal co dzień wysyłała mu SMS-y o tym, że kocha, że chce się bzykać w bramie, że zrobi sobie dziurę w rajstopach i majtkach, aby mógł w nią wejść od tyłu, w tym czasie szukała mieszkania do wynajęcia. Zamontowała w mieszkaniu mikroskopijne kamery, aby nagrywały Irka z córkami. Bo a nuż, widelec wypije przy dzieciach kieliszek wina albo zapali papierosa, albo powie „kurwa mać”, a może nawet krzyknie na córki. Marta wpadła także na pomysł, aby raz i drugi odwiedzić pobliski komisariat policji i poskarżyć się, że mąż ją bije. A że policja posyłała ją w pizdu z powodu braku znamion bicia czy szarpania i małej wiarygodności? Ale notatka w papierach została i sąd mógł ją ściągnąć…

Rozwód miał być z winy męża. Irek dowiedział się z pozwu, że **„niejednokrotnie znieważał powódkę, poniżał jej godność osobistą oraz ubliżał, również w obecności córek”,** a także **„był wobec powódki agresywny i stosował wobec niej przemoc zarówno psychiczną, jak też fizyczną oraz jej groził”,** przy czym **„w większości przypadków pozwany był wtedy pod wpływem alkoholu”.** Czy to nie piękne? Dla sądu wiarygodne.

Takich Irków są w Polsce tysiące. W 2018 r. do polskich sądów wpłynęło 4417 spraw o wykonywanie kontaktów z małoletnim – w ponad 90 procentach zgłoszonych przez ojców. Szacuje się, że w policyjnych systemach informatycznych zgłoszeń o naruszenie kontaktów z dzieckiem jest ok. 60 tys. rocznie.

Zbigniew Ziobro się podciera

„Alienacja dziecka od jednego z rodziców jest niewątpliwie formą przemocy, mogącą doprowadzić do zaburzeń osobowościowych, emocjonalnych, społecznych i rozwojowych dziecka. Wciąganie w konflikt okołorozwodowy, manipulacja, sterowanie lękami dziecka, szantaż emocjonalny są niestety działaniami powszechnymi. Indukowane dziecku negatywne postawy i przekonania wobec drugiego rodzica skutkują głębokimi zaburzeniami w sferze emocjonalnej dziecka i mają ogromny wpływ na jego późniejsze – dorosłe – życie” – napisał do ministra Zbigniewa Ziobry Rzecznik Praw Dziecka w grudniu 2017 r.

Czworo psychologów – Buśkiewicz, Fabjańska, Gromek, Jezierski – opublikowało artykuł o wynikach badań nad funkcjonowaniem społeczno-emocjonalnym dzieci w modelach opieki współdzielonej, opieki z wiodącym rodzicem oraz rodzinami, w których nie doszło do rozwodu. Autorzy piszą: **„Otrzymane wyniki [badań] pokazały, że negatywny związek wybranych wskaźników funkcjonowania społeczno-emocjonalnego dziecka z rozpadem rodziny nie jest tak wyraźny w modelu opieki współdzielonej, jak w modelu opieki z wiodącym rodzicem. Badane dzieci z rodzin stosujących opiekę współdzieloną nie różniły się od dzieci z rodzin pełnych pod względem depresyjności, samooceny, odporności psychicznej, adaptacji do grupy rówieśniczej i funkcjonowania szkolnego”.** Autorzy zauważają, że w modelu z rodzicem wiodącym dzieci gorzej sobie radzą zarówno z nauką, jak i z funkcjonowaniem wśród kolegów i koleżanek.

Na stronie Kancelarii Senatu można znaleźć dokument z listopada 2017 r. – „Ocena wpływu opieki naprzemiennej na małoletnie dzieci i ich relacje z rodzicami” – przygotowany przez Biuro Analiz, Dokumentacji i Korespondencji. Napisała go dr Ewa Milewska, psycholog kliniczny: **„Aktualnie nie ma skutecznych środków prawnych przeciwdziałania utrudnianiu przez rodzica kontaktów dzieci z drugim rodzicem, najczęściej ojcem”.** Milewska rekomenduje wprowadzenie do kodeksu możliwości stosowania kary pozbawienia wolności w zawieszeniu za skuteczny środek przeciwdziałania utrudnianiu kontaktów z dziećmi przez jednego rodzica drugiemu.

Tą opinią cała dobra zmiana i minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro zgodnie podtarli sobie dupę.

Władza się odgraża

Kilka miesięcy temu Ziobro ogłosił projekt nowelizacji kodeksu rodzinnego. Przed kamerami oznajmił, że koniec z alienacją, czas na opiekę naprzemienną. Projekt trafił do Sejmu. W dniu pierwszego czytania projekt bez żadnego uzasadnienia marszałek Kuchciński schował do szuflady.

Ruszyło wstrzymane wcześniej procedowanie podobnej ustawy, a nawet lepszej – w Senacie. Druk nr 776, który jest senackim projektem takich zmian w kodeksie rodzinnym, aby – zgodnie z wytycznymi Rady Europy, która dąży do równości praw rodziców – wprowadzona została zasada przyznawania przez sądy opieki naprzemiennej nad dziećmi rodzicom po rozwodach. Do kodeksu karnego miałaby zostać wprowadzona poprawka umożliwiająca penalizowanie takich zachowań, które polegają na niewykonywaniu przez jednego z rodziców postanowień sądu w zakresie opieki nad dziećmi. Prace nad tymi poprawkami zostały zatrzymane.

Znowu odezwał się resort Ziobry. Wniósł do premiera o zgodę na wniesienie autopoprawki bez uzgodnień, konsultacji publicznych, opiniowania, rozpatrzenia przez Stały Komitet Rady Ministrów, rozpatrzenia przez komisję prawniczą oraz skróceniu terminu. Autopoprawka przewiduje jedno: natychmiastowe zasądzanie alimentów. A jak nie, to do mamra! O kontaktach z dziećmi ani słowa.

Irek mógłby to zrobić

Temat dyskryminacji ojców i utrudniania im kontaktu z dziećmi przez matki nie jest obecny w mediach i dyskusji publicznej. Z jednej strony milczy konserwatywna, zakochana w Bogu i rodzinie prawica. Z drugiej lewica, która zawsze ma coś do powiedzenia o dyskryminacji, tylko akurat nie w tym przypadku.

– Rozmawiałem z prawnikiem – mówi Irek. – Radził mi porwać dziewczynki i wywieźć. Dostałbym i alimenty, i „500 plus”. I mógłbym mieć na wszystko wyjebane.

TADEUSZ JASIŃSKI

PS Imiona bohaterów są zmienione.

eprasa.pl fdfd39ccec

Państwo PIS

Smród ruskich pieniędzy

Ściana wschodnia dochodzi do ściany.

Polski resort spraw zagranicznych „szerzej otworzył się na potrzeby obywateli Białorusi”. I wprowadził „czysto techniczne zmiany”, które niemal zmiotły przygraniczny handel. Portal Money.pl podał, że od stycznia 2019 r. Podlasie straciło nawet 800 mln zł.

Raz – buda

Największy bazar na wschód od Wisły ulokował się w Białymstoku przy ul. Kawaleryjskiej.

Beata handluje od 25 lat. Myślała, że zostawi budę dzieciom. Może nawet córka weźmie lokal od prezydenta miasta i przeprowadzi się do nowych hal, które lada moment zrobią z Kawaleryjskiej Europę.

– ZUS płaciłam bez kłopotu. Gdy mąż poszedł w tango, wystarczało na życie dla mnie i trójki dzieci – mówi, rozcierając sztywniejące dłonie.

Temperatura bliska zera, a ona nie ma w zwyczaju nakładać rękawiczek. Przyzwyczajenie z czasów, gdy klientek było dużo. W rękawiczkach trudno wyjąć bluzkę z foliowego opakowania, wydać resztę czy zapakować towar, a one zjawiały się jedna po drugiej. Ruskie kupowały nie jedną sztukę, ale kilka. We wszystkich kolorach upatrzonego fasonu…

Towar można podzielić na dwie grupy. Plastikowe ozdobne kiecki od krawców z Łodzi i bawełna z Turcji. Bluzy, sukienki, T-shirty. Podróby najmodniejszych firm.

– Lepsze niż oryginały – zachwala Beata.

Często ma towar przed oficjalną premierą. Wzory, których jeszcze nie ma w firmowych sklepach. I kolory trwalsze.

– Ubieram się u siebie. Ten żakiet mam już 3 lata i nie ma śladu noszenia – pokazuje.

Teraz tylko w soboty przychodzą ludzie.

Dwa – esperanto

Miasto wabi hasłem „Wielokulturowy Białystok”. Rzeczywiście co drugi z trzystu tysięcy mieszkańców to przyjezdny, głównie z najbliższej okolicy – z podlaskich wsi i miasteczek. Stąd duża liczba prawosławnych – z dwunastu parafii.

Wielokulturowy był Białystok w czasach gdy urodził się Ludwik Zamenhof, syn żydowskich nauczycieli. Obserwując miejscowe podwórka, stwierdził, że przyczyną sporów i nieporozumień między ludźmi jest bariera językowa. Dlatego napisał dramat „Wieża Babel, czyli tragedia białostocka w pięciu aktach”. A także stworzył język esperanto, żeby wszyscy mogli się porozumieć.

Przed II wojną światową w mieście mieszkało 48,7 procent Żydów. 46,6 procent Polaków. Trochę Niemców i Rosjan.

Żydzi zginęli w powstaniu, które wybuchło w miejscowym getcie. Niedobitki skończyły w Treblince i na Majdanku. Podczas walk wyzwoleńczych 80 proc. miasta obrócono w perzynę.

Trzy – wiza

Bazar budzi się o czwartej rano. Z przyzwyczajenia. O tej porze przyjeżdżały busy na białoruskich numerach. Kiedyś zapchana była cała ulica. Miejscowi skarżyli się, gdzie mogli na obsiusiane krzaczki. Kupy na klatkach schodowych. Choć przytomni tłumaczyli, że trudno się dziwić gościom, skoro jedyna toaleta jest na stacji Orlenu.

W styczniu 2019 r. Polska zniosła tzw. wizy zakupowe. Białorusini dostawali je bez zbędnych formalności. Chcesz, jedziesz. Teraz wymagamy tzw. wiz turystycznych. Żeby się o nie ubiegać, trzeba sporo papierów oraz m.in. rezerwacji hotelu.

Białostockim hotelarzom gości nie przybyło.

– To można obejść. Rezerwujesz coś na Boocking.com, drukujesz potwierdzenie i natychmiast zwalniasz pokój – tłumaczy Wiera, studentka z Mińska.

Student przyjedzie. Handlarz niekoniecznie. Więcej formalności to więcej straconego czasu. Tym bardziej, że Mińsk odpowiedział ograniczeniami. Wcześniej można było wwieźć na Białoruś do 50 kg towaru o wartości do 1500 euro. Od 1 stycznia 2019 r. 25 kg, najwyżej za 500 euro.

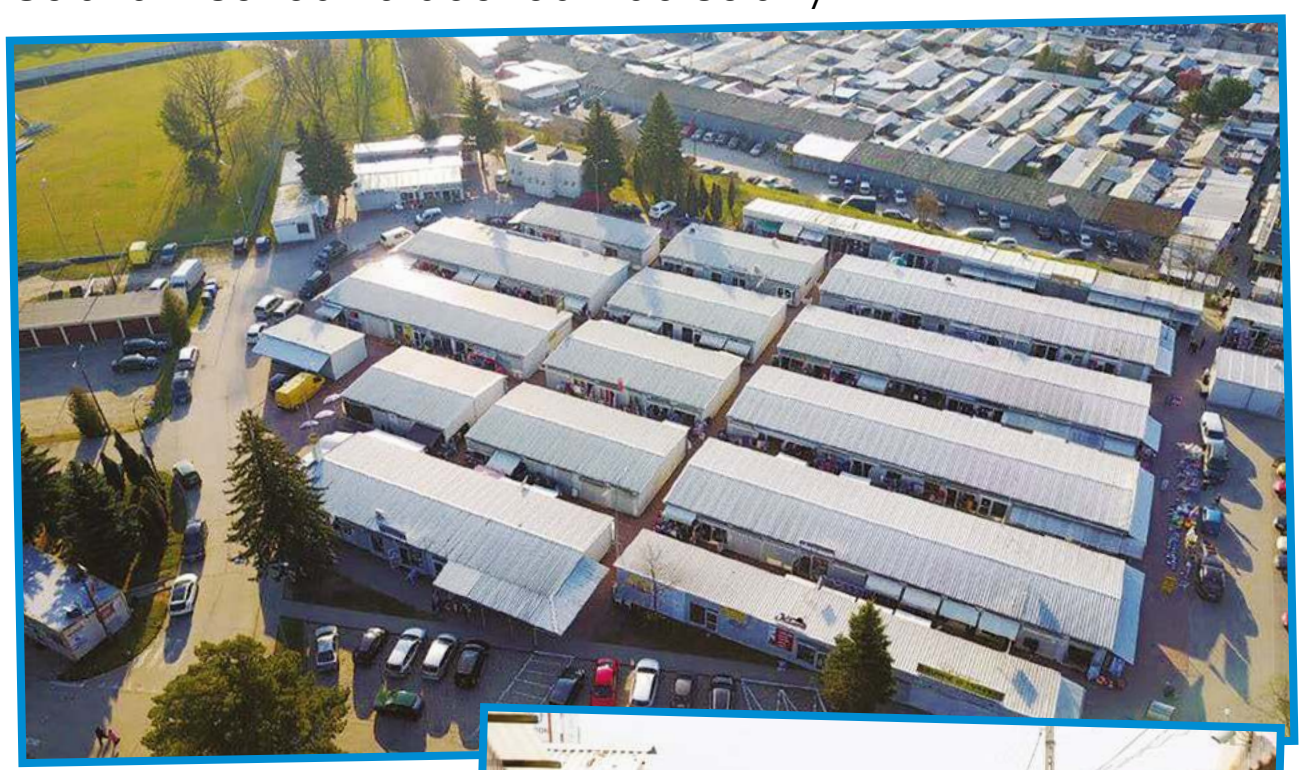

Cztery – Nero

Największą sławę po Zamenhofie zdobył Krzysztof Kononowicz: sprzątacz, czasem kierowca albo bezrobotny.

Kandydował na prezydenta miasta z mocnym hasłem: **„Żeby nie było bandyctwa, żeby nie było złodziejstwa, żeby nie było niczego”.** Zagrał w filmie Patryka Vegi, wystąpił w teledysku, ma własny kanał na YouTube.

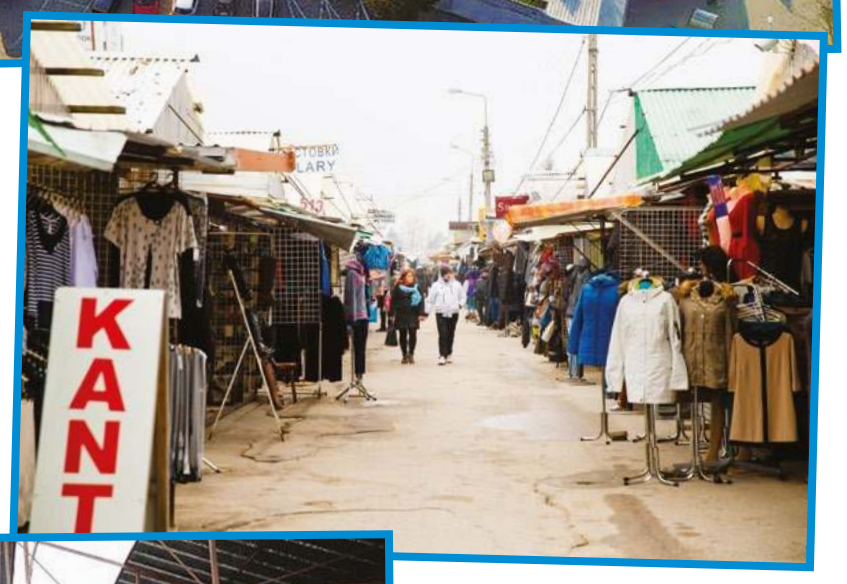

Zdjęcia: INTERNET

Nie zamierza odpuścić. W najbliższych wyborach będzie ubiegać się o prezydenturę Polski. Boją się go, rzucają więc kłody pod nogi. Fabrykują oskarżenia. 22 marca 2019 r. został zatrzymany i przewieziony do aresztu pod pretekstem znęcania się nad zwierzętami. Owszem, ma psa, wziął Nera ze schroniska. Zwierzę chciało jeść, pić, chodzić na spacer. Systematycznie. Z tego wszystkiego złamała się łapa. Zrosła się jak jej było wygodnie, po bożemu, ale Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami robi dym, dociekając u ortopedów, czy nie można jej naprawić.

Piękniejszy sen o mieście ma Wojciech Koronkiewicz – publicysta, społecznik, miłośnik przyrody, w ostatnich wyborach kandydat SLD na prezydenta Białegostoku.

Przodkowie Koronkiewicza mieszkali w gminie Narewka. Pradziad był carskim urzędnikiem w Puszczy Białowieskiej i to było coś. Dom największy we wsi, w którym był nawet patefon. Pewnego dnia babcia pojechała z Żydem do Białegostoku po nowe buty. Furmanką. To była bardzo długa podróż. Gdy wracali, zapadł zmierzch, w domach zapalono lampy, babcia patrzyła w okna i widziała eleganckich ludzi siadających do stołów w eleganckich domach. To był prawdziwy Białystok…

Tuż po oficjalnym namaszczeniu przez SLD Koronkiewicz zrezygnował z kandydowania, rekomendując kontrkandydatkę.

Pięć – wódka

Przy Kawaleryjskiej Czeczen sprzedaje serdelki: 30 sztuk w foliowej torebce, trochę umazane musztardą. Tylko 10 zł! I nie trzeba się bać, parówki mają dobre pochodzenie. Polacy podali na śniadanie w ośrodku dla cudzoziemców, zapominając, że goście nie jedzą wieprzowiny.

Białorusini przede wszystkim oferują papierosy.

– Szlugi, szlugi – mruczą, bo boją się układać paczek na starych gazetach. Tutaj trzymają towar, który wolno sprzedawać. Balsamy z Syberii. Maści z Indii. Wełniane skarpetki ***hand made*** spod Grodna.

Schowane są wódka i spirytus. Gdyby komuś przyszło do głowy sprawdzić, w torbie mają po jednej flaszce. Reszta w bagażniku samochodu zaparkowanego kilometr dalej. Alkohol jest w butelkach po oleju albo coca-coli. Pół litra czystej – dyszka.

– Skąd mogę wiedzieć, że nie trucizna? – dociekam.

Wzruszenie ramion. Jeśli nie chcę, to nie. Przyjdzie taki, który kupi. Bo go suszy. Albo stały klient, który ma zaufanie, za pół ceny zaopatrzy się na święta.

Celnicy walczą z przemytem. Pokazywano w telewizji, że ostatnio skonfiskowali 6 mln paczek papierosów. Mój rozmówca jest detalistą. Wozi mniej, starannie pakuje towar w puszki po kawie, a nawet wpycha w torty ze śmietany. Ma klientów, którzy biorą komplet, bo grodzieńska śmietana dobra, gęsta, ekologiczna.

Sześć – Petru

Białystok stolicą Polski B? Za takie pytanie można dostać w pysk.

Ale bezrobocie najwyższe wśród miast wojewódzkich – ok. 9 proc. To ponad 10 tysięcy osób zarejestrowanych jako bezrobotne. Młodzi są sfrustrowani. Nie można zarobić na dobry wózek albo choć wakacje na Kanarach, wymykają się więc z położonych na obrzeżach sypialni, żeby pokrzyczeć w centrum: Jestem kimś! Jestem Polakiem! Jestem u siebie!

Teatr TrzyRzecze przeprowadził akcję „Zamaluj zło”. Czyli napisy w stylu „Czeczeni won!”, „Czarny tylko asfalt”, swastyki. Znaleziono ich 100.

Przykłady agresji z ostatnich lat. Atak na czarnoskórą Szwedkę w galerii handlowej. Podpalenie Centrum Kultury Muzułmańskiej. Podpalenie drzwi mieszkania Daszajewów, Czeczenów z piątką dzieci. Podpalenie drzwi czeczeńskiej rodziny Islamowów. Podpalenie drzwi Kowalczyków, bo ich córka wyszła za Hindusa. Pobicie czarnoskórego prezentera pogody lokalnej telewizji. Spalenie kukły Ryszarda Petru przez Młodzież Wszechpolską…

Zawiadomienie o przestępstwie złożył zainteresowany. Poparł go poseł Krzysztof Truskolaski, wcześniej w Nowoczesnej, obecnie w PO. Syn wieloletniego, wciąż urzędującego prezydenta Białegostoku Ryszarda Truskolaskiego.

Tu jest taka tradycja, że polityką zajmują się rodziny. Włodzimierz Cimoszewicz, jedynka do Europarlamentu z list Koalicji Obywatelskiej, ma syna Tomasza, posła PO. Dariusz Piontkowski jest posłem PiS, a jego żona radną Białegostoku. To nie jest wstydliwe. Wręcz odwrotnie. Np.

Jacek Żalek, poseł PiS, ma żonę Justynę, radną sejmiku, kandydatkę do Brukseli. Przed wyborami prowadzą wspólną kampanię billboardową. Mają rozpoznawalne rodzinne logo w kształcie serca…

Prokuratura nie dopatrzyła się przestępstwa w spaleniu kukły Petru. Polityk odwołał się do Zbigniewa Ziobry. Bo gdy w Toruniu gość próbował spalić kukłę tatki Rydzyka, ukarano go 300-złotową grzywną **„za nieostrożne obchodzenie się z materiałami łatwopalnymi”.** Do Torunia jest stąd 354 km. Czyli dupa.

Siedem – petycja

– Kiedyś to był ruch. Kawy nie szło wypić. Ruscy przyjeżdżali, brali wszystko. Pomyślunku trochę i można było zostać milionerem – mówi Iza.

Według jej rachunków z bazaru wciąż żyją 2 tys. rodzin. Coraz biedniej.

– Piotrek był studentem. Miał garaż, wstawił dwie maszyny produkujące rajstopy, potem zainwestował w budę na bazarze. Wybudował dom, zainwestował w masarnię – wspomina dobre czasy.

Dziś na bazarze łatwiej spotkać polityka niż kupca. Miejscowi radni już dawno skrytykowali nowe zasady wizowe. Wkurwiły się też Bielsk Podlaski i Hajnówka. **„To nie tylko uderzenie w województwo podlaskie, ale przede wszystkim w polską rację stanu…”.**

Politycy proszą o podpisanie petycji do Ministerstwa Spraw Zagranicznych o przywrócenie wiz zakupowych. Zbiera Koalicja Obywatelska i Wiosna.

Osiem – zwrot

Galerie Biała i Alfa stoją na miejscu dawnych fabryk włókienniczych. Kiedyś miały obroty, że ho, ho. Nawet dzisiaj na parkingach sporo samochodów z białoruską rejestracją. Trafiają się dobre wozy: lexusy, wypasione beemki. Biorą to samo, co ubożsi rodacy z bazaru: buty, ciuchy, kosmetyki, mięso, jabłka. I jeszcze telewizory, pralki, lodówki.

Coraz częściej się zdarza, że nie proszą o dokumenty *tax free*, uprawniające do zwrotu podatku VAT. Wprawdzie można prosić o przelanie go na konto bankowe, ale procedura jest skomplikowana. Zwykle odbierali go przy okazji następnej wizyty.

Nie bawią się w *tax free*, bo ta wizyta jest ostatnia.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl fdfd39ccec

Fitness dla zwierząt

Rodzice mogą robić z dziećmi, co lubią. Hodowcy mają mniej praw do zwierząt, których są właścicielami.

„Zaliczam się do wytrawnych obserwatorów i WIEM, co się w moim kraju dzieje. Dlatego cieszę się, że władzę zdobyła partia Prawo i Sprawiedliwość” – deklaruje Izabela na blogu.

Izabela różni się od wszystkich rodaków, bo choć PiS ma się znakomicie, ona bierze wpierdol. Wie na pewno: – Za prawicowe poglądy.

W Warszawie rzecz nie miałaby się prawa wydarzyć. Ale 11 km od gminy Kowale Oleckie, 6 km po tym jak kończy się asfalt, znajduje się Polska wyjęta spod jurysdykcji Zbigniewa Ziobry.

1.

Izabela R., tak nazywa ją prokuratura.

„Indianka. Albo kreatywna romantyczka” – tak nazywa samą siebie na systematycznie prowadzonym blogu.

Jest dojrzałą kobietą. Pochodzi ze Szczecina. Kilkanaście lat temu zaplanowała zamienić mieszkanie w centrum na gospodarstwo rolne, położone tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Najlepiej w Bieszczadach. Bo gdy zapada zmierzch, latają świetliki i to wygląda magicznie.

Polska wchodziła do Unii i było jasne, że będą dopłaty dla rolników. Ziemia w Bieszczadach okazała się za droga dla takich jak ona. Wypatrzyła gospodarstwo w Drohiczynie, ale właściciele za późno odpowiedzieli na ofertę. Zostały otoczone kilkoma hektarami budynki na kolonii wsi Czukty. Mazury Garbate. W środku niczego.

W akcie notarialnym zapisano, że zabudowania wymagają remontu kapitalnego. Pewnie pamiętają Hohenzollernów. Raczej nikt ich od tego czasu nie naprawiał.

– Zakochałam się – mówi gospodyni.

Bo budynki na wzgórzu. Ziemia bardzo słaba, ale wokół strumyki, rozlewiska. Daleko od sąsiadów – to był największy atut. Nie lubi wścibskich oczu.

Planowała zająć się hodowlą krów, ale banki odmówiły kredytowania.

– Ależ pani nic nie ma! – usłyszała, choć przecież miała ziemię. – Bez wkładu własnego nie damy złotówki.

Suka urodziła szczeniaki. Piękne. W zamian za pieska sąsiadka dała kozę.

2.

Nie ma samochodu. Przystanek autobusowy w sąsiedniej wsi. Żeby kupić chleb, musi przejechać rowerem kilka kilometrów.

Może przyuczyć konia, żeby przynosił zakupy? – marzyła.

Bierze unijne dopłaty, choć to nie jest przyjemne. **„W ARiMR zaobserwowała rosnącą biurokrację jako objaw nasilającego się w Polsce faszyzmu unijnego”** – zanotowała na blogu w trzeciej osobie. **„Ona”** napisała o sobie, żeby zobiektywizować narrację.

Z tych pieniędzy kupiła konia. Kobyły zachodzą w ciążę i kolejne konie są za darmo.

Kozy też mają małe. Koźlina w cenie, sery podobnie. Barany to mięso i wełna… Kury…

W stodole spadł dach. W ścianie zbudowanej z ciosanego polnego kamienia zrobiły się wyrwy. Którejś nocy zaczęła płonąć chałupa. Zwarcie instalacji. Strażacy w porę ugasili pożar, ogień nie spowodował większych strat.

Stado się powiększało.

3.

W obejściu biegało 50 owiec i kóz. Od wiosny do jesieni żywiły się same. Rozmnażały się same. Gdy były bardzo chore, zdychały. U wszystkich rolników zdychają. Tak chce natura. Na dowód tego Izabela R. ma serię zdjęć.

– Za małe gospodarstwo, żeby wykarmić tyle sztuk – uważa sąsiad.

Młody mężczyzna żyje z ziemi. Żyje dobrze. Starannie utrzymane pola, traktor, sprzęt rolniczy. Najpierw uważał, że Izabela jest miła, choć dziwna. Ale raz czy drugi znalazł zwierzęta sąsiadki na swoim polu.

– Celowo je wypuszczała! – oskarża. – Wie pani, co robi stado kóz z hektarem kukurydzy? W godzinę nie miałem roślin!

Kupił siatkę i ogrodził pole od strony Indianki. To wielki koszt ogrodzić tyle hektarów. Drugi sąsiad zrobił to samo. Pomogło jak umarłemu kadzidło.

– To siatka do grodzenia szkółek leśnych, łatwo się ją zdejmuje. Ona nabrała wprawy w rozplątywaniu oczek. Wypuszczała stado na nasze pola i zabierała do chlewu syte zwierzęta…

4.

Chciała dorobić, dostarczając do miasta pyszne ekologiczne świeże warzywa: **„Dyńka, 3 cukinie, 3 ogórasy, 2 buraki, nać selera, por, koperek”.** Obiecała dorzucić majeranek, miętę, botwinę i dodatkowego buraka. Okazyjna cena 50 zł za tackę, plus przesyłka.

Może ta przesyłka odstrasza chętnych. Panuje przesąd, że w Europie w 2019 r. warzywa powinny podróżować w chłodniach.

5.

– Owszem, wiosną zwierzęta zwykle chudły – przyznaje gospodyni. – Przecież zimą trawa nie rośnie. Miały delikatnie widoczne linie żeber… Oskarżano mnie, że nie poję. A przecież dookoła strumienie. Staw pogłębiłam, nawet w upalne lata był dostęp do wody… Kupowałam karmę. Sypałam owies, o tutaj – pokazuje pojemniki zamontowane na ścianie domu.

W jej ocenie w tej sprawie chodzi o zasady. Prowadzi hodowlę naturalistyczną, jak w dawnej Polsce bywało. Przednówek to przednówek. A gdy zwierzęta się parzą, to jest ciąża. I to się nie podoba Brukseli i jej pachołkom.

6.

Rok temu w gospodarstwie pojawił się weterynarz, policja i przedstawiciele Fundacji Molosy Adopcje. To psiarze z gminy Wyśmierzyce, położonej 366 km od Kowal Oleckich, którzy umyślili sobie resocjalizować molosy i inne psy uznawane za agresywne.

Taki jest statut, choć realia wymusiły zmiany. Fundacja informuje: **„Od 31 marca 2017 r. nie bierzemy pod opiekę ŻADNYCH PSÓW. Psy, które znalazły do tego czasu schronienie w Fundacji, wygenerowały długi w wysokości 14 976,47 zł”.**

7.

– Kozy i owce wypoczywały na podwórzu. Napastnicy zagonili zwierzęta do rozsypującej się stodoły. Baba robiła zdjęcie za zdjęciem: Kozłowska z Molosów. Na próżno tłumaczyłam, że one nocują gdzie indziej, w chlewie, na sianku…

– Zwierzęta ledwo trzymały się na nogach. Nie było zapasu siana, niczego do jedzenia. Zapakowaliśmy stado do samochodów – mówi Elżbieta Kozłowska.

Indianka: – Mieli dwie przyczepki. Za małe, żeby pomieścić 50 zwierząt. Stłoczyli je jak więźniów w obozie koncentracyjnym. Wstawili stado do jakiegoś garażu. To były zwierzęta przyzwyczajone do swobody, do słońca. Zdychały jedno po drugim.

Kozłowska: – Zabraliśmy 35 owiec i kóz. Oraz 2 psy. Powinniśmy zabrać konie, ale była już noc. Owszem, kilka zwierząt padło, bo ratunek przyszedł za późno. Ale inne były w ciąży, zatem dalej stado liczy 35 sztuk. Trzyma je gospodarz w gminie Kowale Oleckie. Odwiedziłam je ostatnio. Żyją jak pączki w maśle.

8.

Jak to się stało, że akurat Molosy przejęły się losem naturalistycznie hodowanych zwierząt na drugim końcu Polski?

Bo nikt inny nie chciał. Bo przepisy o ochronie zwierząt są dziurawe i odstają od realiów. I nie ma czegoś takiego, jak „hodowla naturalistyczna”. Chodzi o dobrostan zwierząt. Taki jest sens wyjaśnień Elżbiety Kozłowskiej.

Gdyby nie interwencja, zwierzęta spod Kowal Oleckich zdechłyby w męczarniach. To również opinia miejscowych weterynarzy oraz prokuratury.

– Izabela R. jest zakałą miejscowej społeczności. Osoba aspołeczna, niepłacąca podatków. Została zbadana przez lekarza. Nie jest chora psychicznie – relacjonuje Kozłowska. Tego samego można dowiedzieć się w gminie.

9.

Indianka całą energię skoncentrowała na pisaniu do Ziobry. Niech pomoże. Nie zrobiła nic złego. Czy ktoś zabiera matce dzieci, bo mają zbyt ubogie menu? Nikt tego nie robi. Takiej matce się pomaga. Ona też chce pomocy. Kiedyś przyszły do niej panie z miejscowego Ośrodka Pomocy Społecznej, ale przyniosły tylko kilka drobiazgów w siatce.

Przyroda wie najlepiej, co jest dla niej dobre. Nie można wszystkiego pod sztancę – jak w Brukseli. Za ostatnie grosze kupowała karmę. Pozwoliła, żeby odcięto prąd za niepłacenie rachunków, bo zwierzęta u niej najważniejsze.

Zarzucano, że pozwalała na kazirodztwo, a to jest w Polsce nielegalnie nawet w świecie zwierząt.

– Rozmnażanie wsobne, też coś… – burczy.

10.

Żeby mieć łączność z Ziobrą, korzystała z komputera w gminnej świetlicy. Zauważyła, że prowadząca jest niezadowolona z jej wizyt, bo korzystając z gminnego prądu, dorabia pieczeniem ciast. Jak Indianka klika, głupio włączyć prodiż.

Ze świetlicowego komputera prowadzi blog. To wielka pochwała życia zgodnego z naturą i polskich wartości. Zaleca, jak sadzić hiacynty, ale ma szersze spojrzenie niż przeciętny ogrodnik. Po sąsiedzku leży wieś Żydy. Sfotografowała tablicę z nazwą wsi. Przekreśliła czerwoną krechą.

„Tu jest Polska, nie Polin” – napisała.

Naprawdę parlament powinien coś zrobić z nazwami polskich zadupi.

11.

Sąsiad: – 8 kwietnia 2019 r. poszedłem na pole, patrzę, leży kobyła Izabeli. Wysoko źrebna. Straszliwie wychudzona. Zadzwoniłem, żeby ją zabrała. Przyszła i zaczęła robić zdjęcia. Tak, żeby w kadrze był trup konia i ja… Ona nas nagrywała. Zawsze ma dyktafon w kieszeni. Bałem się, że będę miał kłopoty, zadzwoniłem więc na policję.

Indianka: – To były straszne dni. Złożyła mnie grypa, a tu nieszczęście za nieszczęściem. Najpierw źrebak dostał kolki i padł. Wypuściłam ciężarną klacz, żeby sobie nogi wyprostowała. Po kilku godzinach poszłam szukać. Leżała na lisiej górce brzuchem do góry, wierzgała, nie mogła wstać. Potknęła się na norze. O, tutaj – pokazuje. – Napoiłam wodą z cukrem. Dzwoniłam do weterynarzy, żaden nie chciał przyjechać. Jakoś udało się ją spionizować, wtedy przerwała ogrodzenie sąsiada.

Wykroiła szynki z padłych koni. Padlina? Też coś. Źrebaka zabiła kolka, a klacz zły los.

Z koniny można zrobić gulasz albo kiełbasę. Tyle dobrego mięsa nie ma prawa się zmarnować. Opisała to na blogu.

12.

8 kwietnia 2019 r. z policją przyjechali weterynarz i przedstawiciele Molosów.

Zdjęcia: Fundacja Molosy Adopcje

eprasa.pl fdfd39ccec

– Zabieramy pozostałe zwierzęta – zdecydowali.

4 konie, w tym źrebne klacze. Źrebaka. Owce i kozy, którym udało się uciec przy poprzednim podejściu.

Próbowała udaremnić kradzież. Policjanci skuli ją kajdankami jak przestępcę. Zabrali na komendę w Olecku.

– Trzymali mnie skutą przez 6 godzin, a w tym czasie inni policjanci włamali się do domu, po psa. Wybili szybę w oknie, naruszyli zawiasy –

pokazuje szuflę pełną potłuczonego szkła.

Gdy otwiera drzwi, skrzydło cudem nie wylatuje z framugi.

Źrebaki stały w sieni, żeby miały cieplej. Pomieszczenie wciąż przypomina stajnię. Gospodyni najbardziej żal psa.

– Piękna suka – pokazuje zdjęcia. – Dzwonię do schroniska. Amari tęskni. Napisałam wniosek do wójta o zwrot psa. A nawet 2 wnioski. Nie ma powodu, żeby trzymali Amari w schronisku 60 km od domu…

Chałupa strasznie zagracona. Brudno. Przy nogach gospodyni kręci się 6 kotów. Są tłuste, oswojone, garną się do rąk.

– Kotów nie zabrali? – pytam.

– Na koty nie ma popytu. Nikt na nich nie zarobi. Kury też zostały… – pokazuje na snujące się po podwórzu stadko.

13.

Fundacja nie ma wątpliwości. Konie padły **„przez zaniedbanie i zagłodzenie, z powodu lenistwa, próżniactwa i patologicznej postawy ich opiekuna (…). Karmić nie miała czasu, ale po internetach po 20 godzin dziennie ćwierkała”.**

Morfologia, biochemia, dokładne oględziny – to 600–700 zł od konia. Ogierek ma problemy z jedzeniem spowodowane wadami rozwojowymi szczęki związanymi z brakiem odpowiedniego pokarmu. Problemy oddechowe, zanik mięśni, pasożyty. Zwierzęta wymagają witamin, suplementów – jeszcze nie wiadomo jakich.

W sumie końskie potrzeby oszacowano na 10 tys. zł. Internautów poruszyły fotografie zwłok z wyciętymi szynkami – zbiórka zakończyła się po osiemnastu godzinach. **„Kwota zbiórki została powiększona do 20 tys. zł, ponieważ wyrażają Państwo chęć przejęcia utrzymania koni i zdjęcia tego obowiązku z Gminy Kowale Oleckie…”.**

– Te konie nie są u nas, trzymamy je gdzieś indziej – zapewnia Kozłowska, żeby nie być posądzoną o pazerność.

Ostateczny los stada określi sąd. Wróci do Izabeli R., jeśli zostanie oczyszczona z oskarżeń o znęcanie się nad zwierzętami.

14.

Izabela R. marzy o tym, że sąd odrzuci oskarżenia prokuratorskie i odzyska podopiecznych. Nie ma mowy, że w zamian zrezygnuje z patriotycznych poglądów i misji naturalistycznej rolniczki.

„Jestem maleńką cząstką Polski i chcę, by mój kraj był miejscem szczęśliwym, bezpiecznym, praworządnym, rozwijającym się, bogatym. Nie potrafię przejść obojętnie wobec zbrodni na narodzie naszym, bezprawia, patologii, zwalczania polskości i polskich wartości…” – pisze.

Przed Wielkanocą robi paczki z jajami od szczęśliwych kur. Dla przyjaciela z Warszawy i mamy ze Szczecina wysyłała po 110 sztuk. Dorzuciła wiązkę suszonego majeranku i mięty. Koszt przesyłki to 22,5 zł, ale wybrała opcję „ostrożnie” za 34 zł.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

Palenie ognisk może być gorsze niż palenie tytoniu.

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Grill i kamieni kupa

W długi majowy weekend ruszył sezon dymienia na ruszcie. W Krakowie, aby sobie popalić, trzeba wypełnić stosowny druczek.

Żeby piknikować pod Krakowem, wcześniej trzeba kupić od ZZM drewno, płacąc 120 zł za metr sześcienny, zwany teraz metrem przestrzennym (mp). Należy też opłacić przygotowanie miejsca (cokolwiek to znaczy) kwotą 200 zł. I czekać, aż dyrektor ZZM wyda zgodę. A potem można palić. Tyle że – jak stanowi regulamin – tylko w dni robocze od 7.30 do 15.30. To zaś skutecznie pozwala wypełnić kolejny krakowski nakaz ogniskowy, dotyczący tego, żeby przy ognisku nie było więcej niż 50 osób, którym oczywiście nie wolno spożywać alkoholu, jak zresztą każdemu, kto przebywa w Lesie Mogilskim.

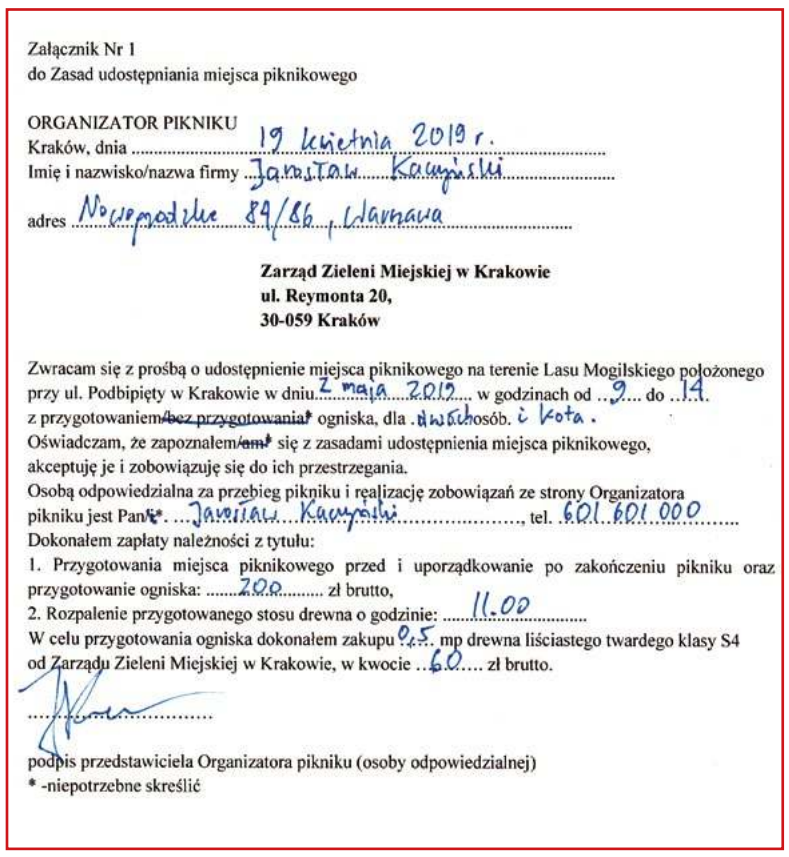

Załącznik Nr 1
do Zasad udostępniania miejsca piknikowego

ORGANIZATOR PIKNIKU
Kraków, dnia 19 kwietnia 2019 r.
Imię i nazwisko/nazwa firmy Janusz Kacyński
adres Nowopodwie 89/86, Warnawa

Zarząd Zieleni Miejskiej w Krakowie
ul. Reymonta 20,
30-059 Kraków

Zwracam się z prośbą o udostępnienie miejsca piknikowego na terenie Lasu Mogilskiego położonego przy ul. Podbipięty w Krakowie w dniu 2 maja 2019 w godzinach od 9 do 14 z przygotowaniem/~~bez przygotowania~~* ogniska, dla 2 osób i kota.
Oświadczam, że zapoznałem/~~am~~* się z zasadami udostępnienia miejsca piknikowego, akceptuję je i zobowiązuję się do ich przestrzegania.
Osobą odpowiedzialna za przebieg pikniku i realizację zobowiązań ze strony Organizatora pikniku jest Pan/~~Pani~~*. Janusz Kacyński, tel. 601 601 000
Dokonałem zapłaty należności z tytułu:
1. Przygotowania miejsca piknikowego przed i uporządkowanie po zakończeniu pikniku oraz przygotowanie ogniska: 200 zł brutto,
2. Rozpalenie przygotowanego stosu drewna o godzinie: 11.00
W celu przygotowania ogniska dokonałem zakupu 0,5 mp drewna liściastego twardego klasy S4 od Zarządu Zieleni Miejskiej w Krakowie, w kwocie 60 zł brutto.

podpis przedstawiciela Organizatora pikniku (osoby odpowiedzialnej)
* -niepotrzebne skreślić

Gdyby jednak ktoś wolał spędzać miło czas przy ognisku w mniej represyjnych okolicznościach przyrody, to niech śmiało wali nad jezioro Mormin, gdzie ognisko można palić codziennie od 14.00 do 22.00. Opłata tylko 50 zł. Nie można też zapomnieć przywieźć drewna. Bo tym z okolicznego lasu palić nie wolno.

Tworząc bariery dla grillujących, władza publiczna nieświadomie ratuje im życie. Bo palenie mięsa i wędlin nad ogniem jest dla organizmu szkodliwe.

Na ruszcie powstają dioksyny, substancje, co do których rakotwórczego działania nikt nie ma wątpliwości. Ich stężenie w promieniu kilku metrów od grilla może nawet 7-krotnie przekraczać dozwolone normy emisji.

Z karkówki czy innego pieczystego wydzielają się też furany, kolejne związki rakotwórcze. Takie, co wywołują mutacje genetyczne oraz sprzyjają wadom płodu. Wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne to ponad dwieście rakotwórczych związków, w tym benzopireny. 200-gramowa porcja kiełbasy z grilla to aż 42 mikrogramy benzo[a] pirenu. Tymczasem po wypaleniu paczki fajek do naszego organizmu przedostaje się 0,4 mikrograma tego związku – 100 razy mniej.

Najbardziej mutagennymi i rakotwórczymi związkami powstającymi w grillowanej żywności są heterocykliczne aminy aromatyczne. Odpowiadające głównie za zapadalność na nowotwory jelit, trzustki oraz piersi.

Opiekanie boczku i kiełbasy tworzy nitrozoaminy, które wywołują raka: wątroby, żołądka, gardła, przełyku, jamy nosowej, pęcherza moczowego oraz kilu innych organów.

Poza tym zwiększają ryzyko wystąpienia wad płodu. Jest jeszcze akrylamid – powszechnie wykorzystywany do produkcji tworzyw sztucznych oraz lakierów i klejów. Ten, zjadany z grillowanymi ziemniakami i chlebem, uszkadzając DNA w komórkach, wywołuje raka.

Po tych przykładach widać, że piknikowanie przy żywym ogniu wcale nie jest zdrowe. Czasem tez zagraża życiu.

Pani Agnieszka ze Słupcy, nie mogąc z narzeczonym zjeść wszystkiego, co było na ruszcie, przeniosła grill do domku letniskowego. Po czym oboje zasnęli. W przeciwieństwie do pani Agnieszki, narzeczonego po wielu godzinach reanimowano. Narzeczona została jedną z ofiar czadu związanego z biwakowaniem na świeżym powietrzu.

Oprócz śmierci grill może biesiadnika zubożyć. Kilkanaście miesięcy temu w Rąbieniu grill sfajczył nie tylko altanę, obok której stał, ale również 5 stojących w pobliżu samochodów. Drogie chyba nie były, bo straty wyceniono na ledwie 93 tys. zł. Dzięki grillowi miało co robić przy gaszeniu aż 6 zastępów straży.

Tylko 4 zastępy gasiły zapalony od grilla drewniany dom jednorodzinny w Niemczu. Mimo że spłonęło tylko piętro, to chałupy i tak nie udało się przywrócić do mieszkalności.

Związany z grilllowaniem ubytek w stanie posiadania nie musi wynikać z ognistego żywiołu. Wystarczy policja lub straż miejska.

Kłopoty można mieć, nawet gdy grilluje się we własnym ogródku. Wystarczy, że ktoś zakapuje, bo dostrzeże w grillu lub ognisku liście lub gałęzie. Wtedy pojawią się funkcjonariusze z mandatem za 500 zł. Bo palić można jedynie koncesjonowaną podpałką i przeznaczonym do tego drewnem.

A nawet jeśli będzie się miało fakturę z Lasów Państwowych, to można stracić 5 tys. zł, zanim zacznie się palić ogień. Wystarczy, że przygotowane do spalenia „materiały palne” będą się znajdowały bliżej niż 4 m od granicy posesji.

10 m od źródła ognia ma być zachowane jako dystans od miejsca składowania płodów rolnych. Co w przypadku fajczenia karkówki obok pełnej słomy i siana stodoły ma sens. Ale gdy sąsiad ma podpiwniczoną szopę z zakopcowanymi tam płodami w postaci ziemniaków, to mimo iż sensu to nie ma, to mandat się będzie należał. Gdy mundurowi stwierdzą, że doszło do poważnego zagrożenia pożarowego, grozi nawet na 10 lat pobytu w pudle.

Wystarczy, że z naszego paleniska wydobywać się będzie dym. Jeśli ma się upierdliwego sąsiada, to jego donos może spowodować rozprawę w sądzie za nieprzestrzeganie prawa sąsiedzkiego, za co grozi grzywna.

Żeby pogrillować zgodnie z prawem, trzeba to robić tylko w miejscach do tego wyznaczonych. Tych zaś jest mało i z reguły nie wolno tam pić nawet piwa ani zachowywać się tak, aby wyczerpać znamiona paragrafów mówiących o zakłócaniu porządku publicznego. Bo może się skończyć nałożeniem mandatu.

Skoro hipermarkety są pełne akcesoriów do przyrządzania żarcia z rusztu i do tej formy spędzania czasu przyznaje się niemal cały naród polski, to znaczy, że wszystkie te zapisy prawa są o kant dupy potłuc. Co tylko utwierdza w przekonaniu, że polskie państwo jak było, tak jest teoretyczne.

TADEUSZ JASIŃSKI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl fdfd39ccec

Homohobby

Francuski pisarz w każdym księdzu widzi geja.

Frederic Martel to pisarz, dziennikarz i socjolog. Wydana przez niego niedawno książka „Sodoma" ma aspirację do uporządkowania kwestii homoseksualizmu i pedofilii w Kościele kat. Autor oczywiście nie uważa, że obie powyższe sprawy się łączą czy krzyżują. Jednak ze względu na panującą w Kościele **„kulturę milczenia"** geje kryją pedofilów, aby ich preferencje nie wyszły na jaw. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego czy metafizycznego. Ot, korporacyjna zmowa w imię obrony interesów własnych i firmy. W zeszłym roku opublikowałem artykuł „Homohobby" („NIE" nr 48/2018), w którym stwierdziłem, że **„nie ma nic dziwnego w istnieniu kościelnego homolobby. Bo niby jakie inne lobby w środowisku złożonym z samych facetów miałoby istnieć? Filatelistów? Wędkarzy? Fanów Realu Madryt?".** Te intuicje znajdują potwierdzenie w książce Martela, choć konsekwentnie unika on słowa „lobby".

Najgłośniejszym

chyba przykładem zdeklarowanego geja w Watykanie jest **Krzysztof Charamsa.** Z jego obserwacji wynika, że połowa księży to geje, a w Watykanie nawet więcej. Nikogo jednak nie zdemaskował, sugerując jednak, że geje dobrze się czuli za **Benedykta XVI** i półsłówkami dając do zrozumienia, w których urzędach i kongregacjach można ich spotkać najwięcej. Napisana przez niego książka „Kamień węgielny. Mój bunt przeciwko hipokryzji Kościoła" to w głównej mierze filozoficzne refleksje teologa i poety, a nie dziennikarskie mięso. Swój niecodzienny krok Charamsa tłumaczy tym, że miał dość hipokryzji, zakłamania i prowadzenia podwójnego życia – tym samym czyniąc z siebie jedynego lub jednego z niewielu sprawiedliwych w Sodomie. Książkę byłego księdza Watykan swoim zwyczajem przemilczał, a przykład z góry wzięli pozostali pracownicy winnicy pańskiej. Afera Charamsy szybko przycichła – nie pomogło mu to, że trochę wydymał media, obiecując kilku tytułom naraz wywiady na wyłączność. Być może gdyby zdecydował się na *coming out* teraz – w sprzyjającym takim aktom klimacie – jego gwiazda nie zgasłaby tak szybko. Czasem jednak nawet pracownicy Kongregacji Nauki Wiary (dawnej Inkwizycji) popełniają kardynalne błędy.

„Sodomę" Frederica Martela od książki Charamsy różni

mnogość nazwisk, miejsc i dat,

którymi szafuje autor. **„Świat, jaki odkrywam, świat pięćdziesięciu twarzy geja – czy będzie on »praktykujący«, »przejawiający skłonności«, »wtajemniczony«, »*unstraight*«, »światowy«, »uniwersalny«, czy »ukryty w szafie« – przekracza nasze wyobrażenia"** – obiecuje pisarz we wstępie książki. Niestety mimo tej litanii nazwisk – konkretów jak na lekarstwo. Zarzucając swoim bohaterom życie w kłamstwie i obłudzie, autor sam nie stroni od manipulacji i nie zawsze uzasadnionych sugestii. **„Homoseksualna wspólnota w Watykanie należy do największych na świecie, sądzę, że nawet w Castro, słynnej gejowskiej – dziś już bardziej mieszanej – dzielnicy San Francisco nie jest tak liczna!"** – twierdzi Martel. Nadal jednak pozostajemy w sferze domysłów i podejrzeń, od czasu do czasu urozmaiconych jakimś realnym skandalem.

Główna teza książki brzmi następująco: im bardziej duchowny jest homofobiczny, tym większa pewność, że sam jest **„z parafii"** – jak podobno sami określają się w swoim slangu watykańscy geje. Im zaś bardziej tolerancyjny i otwarty, tym większe prawdopodobieństwo, że jest hetero. Nie jest to stwierdzenie nowe i odkrywcze, za to trochę niewystarczające na rewolucyjną książkę. Przy takim założeniu dość łatwo dobrać przykłady i dowody. Żaden z urzędujących hierarchów Kościoła nie potwierdził Martelowi wprost, że jest homoseksualistą. A rozmów tych dziennikarz przeprowadził dziesiątki. Czasem jednak autorowi „Sodomy" takie przesłanki jak uwielbienie kolorowych fatałaszków, piskliwy głos, otaczanie się przystojnymi klerykami czy motywy falliczne w domowych dziełach sztuki, wystarczą, by zasugerować czytelnikowi, iż ten czy ów dostojnik woli mężczyzn. Oczywiście, pod warunkiem że w publicznych wystąpieniach potępia ruch LGBT. Czy to aby nie nazbyt stereotypowe myślenie? Czy nie można być homofobem z pasji, przekonania lub głupoty?

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Niedługo po wydaniu książki na skandale seksualne w Kościele zareagował

papież emeryt.

W obszernym eseju 92-letni Ratzinger zrzuca winę za pedofilię na rewolucję seksualną i tolerowanie pederastów w seminariach. **„W różnych seminariach ustanowiono kliki homoseksualne, które działały mniej lub bardziej otwarcie i znacząco zmieniły klimat w seminariach. W jednym z seminariów w południowych Niemczech kandydaci do kapłaństwa i kandydaci do świeckiej posługi jako specjaliści duszpasterscy *[„Pastoralreferent"]* mieszkali razem. Na wspólnych posiłkach klerycy i specjaliści duszpasterscy jedli razem, żonaci spośród świeckich w towarzystwie swoich żon i dzieci, a od czasu do czasu swych dziewczyn. Klimat w tym seminarium nie mógł zapewnić wsparcia do przygotowania do powołania kapłańskiego"** – pisze były, ale wciąż żyjący papież.

Martel dostrzega trochę inny mechanizm: **„Nadreprezentacja gejów nie tłumaczy oczywiście wszystkiego, jest jednak jednym z najważniejszych interpretacyjnych tropów pozwalających zrozumieć Watykan i jego moralne fundamenty (…). W końcu – niestety – homoseksualizm jest jednym z wyjaśnień instytucjonalnego ukrywania i tuszowania seksualnych przestępstw i zbrodni, które liczy się w dziesiątkach tysięcy. Dlaczego? Jak do tego doszło? Otóż »kultura tajemnicy«, niezbędna, by zachować milczenia na temat znaczącej obecności homoseksualizmu w Kościele, pozwala na ukrywanie nadużyć seksualnych, pozwala seksualnym drapieżnikom bez wiedzy instytucji korzystać z jej systemu ochrony".** Tu również musimy polegać na intuicji autora. Na jego korzyść przemawia wszakże fakt, że sam jest gejem i musiał uderzyć w piersi towarzyszy w orientacji.

Bardziej

interesującym wątkiem

„Sodomy" jest ten dotyczący polskiego papieża i jego świty. **„Jan Paweł II był papieżem mojej młodości i wielu moich krewnych oraz przyjaciół zawsze go poważało (…). Ale rozmawiając z kardynałami, biskupami i księżmi, którzy pracowali z nim podczas bardzo długiego pontyfikatu, odkryłem jego drugą – ponurą – twarz. Był to papież otoczony intrygantami, szumowinami, w większości nieujawnionymi gejami, publicznie często homofobami, nie mówiąc już o tych, którzy ukrywali pedofilów"** – pisze Martel i dodaje, że jedną z najbardziej złowrogich postaci z otoczenia J.P.2 był **Stanisław Dziwisz.**

„Dziwiszowi nadano przezwisko »papież powiedział«. Był sekre-

Z CZARNEJ DUPY się wyrwało

■ *Słowa nadziei, słowa wzywające do pielęgnowania pokoju. I czynimy to od 25 lat w **kraju wolnym i niepodległym, zabezpieczonym konstytucją, także konkordatem,** choć dochodzą tu często różne głosy, że ma być podważany.*

abp. Leszek Sławoj Głódź, homilia, 21 kwietnia

■ *Obserwujemy, jak ten ład społeczny i pokój poczyna czasem podważać **agresja hałaśliwych antychrześcijańskich prądów** i ideologii, **promocja moralnego nihilizmu** i społecznej arogancji, apologia relatywizmu, który bywa, że za nic ma pojęcia zła i prawdy, wynosi na piedestał społecznej akceptacji bożka tolerancji. A zawarta w nim jest akceptacja nawet wobec **największych wynaturzeń.** Prowadzi to także do niszczenia narodowych tradycji, podważa fundamentalne pojęcia co do istoty rodziny, małżeństwa, świętości życia, przykazań, Dekalogu i daje zielone światło dla tzw. **karty LGBT.***

dalej Głódź

■ *Funkcjonalnie dziś **UE jest narzędziem liberałów, lewicowców, nihilistów i globalistów.** Niszczy człowieka, rodzinę i naród na wszystkich poziomach. Na poziomie ataku na tożsamość płciową człowieka, na tożsamość narodową, na tożsamość religijną.*

Robert Winnicki, Radio Maryja, 17 kwietnia

■ ***Neomarksiści** prawidłowo zlokalizowali **źródło porażki marksizmu.** Marksizm poniósł porażkę przez rodziny. To **rodziny zwyciężyły marksizm,** dlatego że ludzie w czasach komunizmu, młodzi ludzie (…) wracali do domu, a **w domach był krzyż** i właściwy przekaz. Wszystko to, co propagandowo się nasączyło w szkole czy w przestrzeni publicznej, natychmiast było rozbrajane w rodzinach. Oni to dobrze zrozumieli, prawidłowo zidentyfikowali swojego przeciwnika, którym jest dobrze funkcjonująca rodzina i dlatego dziś ten **atak na rodzinę** jest tak mocny.*

Witold Gadowski, Radio Maryja, 18 kwietnia

■ *Schemat stosowanego przez polityków szantażu pozostaje w swej istocie niezmienny i brzmi zawsze tak samo: jeśli jesteś **wyznawcą Chrystusa** i Jego Ewangelii, to znaczy, że jesteś **wrogiem:** cesarza, króla, jakiegoś innego władcy czy też jakiegoś **wysokiego urzędnika państwowego.***

abp. Marek Jędraszewski, homilia, 19 kwietnia

■ *W wieku XXI szantaż ten brzmi następująco: jeśli **przyznajesz się publicznie do Chrystusa** i chcesz wprowadzać do swego życia jego nauczanie na temat powołanego do szczęśliwości wiecznej człowieka, znaczy to, że: **należysz do Ciemnogrodu,** jesteś wrogiem poprawności politycznej, nie uznajesz zasady tolerancji, nie znasz smaku prawdziwej wolności, jesteś fanatykiem, jesteś faszystą, **jesteś przeciwnikiem Światowej Organizacji Zdrowia,** zalecającej deprawację dzieci i pozbawianie ich niewinności już w wieku przedszkolnym, **jesteś homofobem, walczącym z kartą LGBT,** walczysz z postępem ludzkości.*

dalej Jędraszewski

■ ***Ataki na Radio Maryja** pochodzą z kręgów, które Radia Maryja się boją, które boją się przede wszystkim tego, że jest to rozgłośnia popularna, słuchana i opiniotwórcza. Rola Radia Maryja, którą trudno jest przecenić w ogóle, to jest rola przede wszystkim **kształtowania postaw, kształtowania nowoczesnego patriotyzmu,** opartego także o filar wiary w Jezusa Chrystusa. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że im bardziej Radio Maryja będzie silne, będzie opiniotwórcze, tym bardziej będą się nasilały **ataki ze strony neomarksistów** i tych wszystkich, którzy chcą urządzać świat inaczej.*

dalej Gadowski

■ ***Głębokie zepsucie** i demoralizację środowisk edukacyjnych widać także w czasie obecnego **buntu nauczycieli z pokomunistycz-***

Rysunki TOMASZ WIATER

eprasa.pl fdfd39ccec

tarzem nie do zastąpienia i każda sprawa kierowana do Jana Pawła II przechodziła przez jego ręce. Oczywiście, często stawał się »filtrem«, to znaczy przekazywał papieżowi to, co chciał. Stopniowo, w miarę, jak nasilała się choroba Jana Pawła II, zaczął się wypowiadać zamiast niego. W końcu nie bardzo było wiadomo, kto wydaje polecenia – papież czy Dziwisz. Tak było również z dossier o pedofilii czy o skandalach finansowych; właśnie na tym tle dochodziło do spięć z kardynałem Ratzingerem. Dziwisz był bardzo ostry. Podobno kilkakrotnie doprowadzał Ratzingera do łez" – czytamy w „Sodomie".

Emerytowany metropolita krakowski miał – zdaniem Francuza – niebagatelny udział niemal w każdej aferze kojarzonej z Wojtyłą. Jego dbałość o finansowe i polityczne zaplecze skłaniała go do ryzykownych przyjaźni i kontaktów.

Jedna z najbardziej emblematycznych znajomości to ta z **Marcialem Macielem,** założycielem Legionu Chrystusa – molestantem i malwersantem na przemysłową skalę.

Dziwisz i późniejszy sekretarz stanu (odpowiednik premiera) Watykanu stanowili – opisuje Martel –

zgrany tandem

biznesowo-polityczny. Dziwisz aktywnie uczestniczył w wewnętrznych sprawach Polski Ludowej, korzystając z pomocy możnych przyjaciół. Poczucie patriotycznego obowiązku popychało go w ramiona szemranych, ale bogatych typów. **„Pomoc dla »Solidarności« szła nie tylko ze strony Legionu Maciela, ale też gen. Pinocheta (przy pomocy ówczesnego nuncjusza w Chile abp. Angelo Sodano), a nawet narkobiznesu z Kolumbii (za pośrednictwem kardynała Trujillo)"** – czytamy w „Sodomie". **„Dziwisz był na swój sposób schizofreniczny, łagodny i agresywny. Bardzo przy tym przedsiębiorczy. Jako najbliższy współpracownik ojca świętego prowadził bez przeszkód swoje interesy. Wiedział, że jest bezpieczny i poza czyimkolwiek zasięgiem"** – przytacza francuski dziennikarz opinię księdza z kurii rzymskiej.

Powszechny w Polsce wizerunek łagodnej i niezbyt lotnej „wdowy po papieżu" nijak się ma do obrazu nakreślonego przez Martela. Z kart książki wyłania się wytrawny gracz, który w imię obrony pryncypała, interesów instytucji i własnych potrafi się wspiąć na wyżyny makiawelizmu, umiejętnie przy tym licząc pieniądze.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Rys. TOMASZ WIATER

Wieści z kruchty

✚ Nergal, wokalista metalowego zespołu Behemoth, oskarżany przez kościółkowych o satanizm, postanowił wspierać lubelską fundację Wolność od Religii. Artysta zaczął sprzedawać prezenty, które dostał od fanów. Muzyk zapowiedział, że 60 proc. pieniędzy z licytacji trafi do fundacji, zaś z pozostałych opłaci koszt wytaczanych mu procesów sądowych. Nergal zapowiedział także, że przekaże 1 proc. podatku na fundację Wolność od Religii.

✚ Urodziny tatki Tadeusza Rydzyka (3 maja) to święto dla słuchaczy i widzów toruńskich mediów. Ponieważ w poprzednich latach nie wszyscy godnie je obchodzili, urządzając przed siedzibą Radia Maryja jakieś artystyczne happeningi, to posłanka PiS Anna Sobecka chce w tym roku temu zapobiec. Interweniowała już u prezydenta Torunia Michała Zaleskiego, aby wydał „zakaz zgromadzenia w Toruniu przy ulicy Żwirki i Wigury związanego z urodzinami ojca Tadeusza Rydzyka, dyrektora Radia Maryja". Sobecka ma także plan B. Jeśli prezydent miasta takiego zakazu nie wyda, zwróci się do wojewody kujawsko-pomorskiego. A jeżeli będą się chcieli zjawić pątnicy, aby tłumnie na kolanach uczcić urodziny Rydzyka dziesiątką różańca, to też nie będą się mogli zgromadzić?

✚ Ruch Prawdziwa Europa – Europa Christi, stworzony przez związanego z ojcem Rydzykiem prof. Mirosława Piotrowskiego, nie zdołał zarejestrować w całym kraju list wyborczych do Parlamentu Europejskiego. Powodem odejście Marka Jurka na listy Kukiz'15. Razem z Jurkiem odeszło wiele tysięcy podpisów wymaganych do rejestracji list. Teraz Jurek ma u tatki Rydzyka lekko przechlapane. Ale lekko, gdyż tatko jest racjonalny i oleje Piotrowskiego, a postawi na Jurka, jeśli ten wejdzie do Europarlamentu.

✚ Muzeum „Pamięć i Tożsamość", firmowane przez fundację „Lux Veritatis", kierowaną przez o. Tadeusza Rydzyka, miało dostać 70 mln zł dofinansowania z Ministerstwa Kultury. Już to wywołało liczne kontrowersje. Minister kultury Piotr Gliński zaklinał się, że placówka jest ważna dla dobra narodowego, a kwota dotacji pozostanie bez zmian. Okazuje się, że Gliński mijał się z prawdą, a jego zaklęcia można sobie w dupę wetknąć. Zwiększył dofinansowanie Rydzykowego dzieła do 117 mln zł. Można zaśpiewać pod nosem: kto z Rydzykiem inwestuje, ten niczego nie ryzykuje, bo minister dosypuje.

✚ Na pytanie posła Marka Sowy z PO odpowiedziało Ministerstwo Edukacji Narodowej. Polskie przedszkola i szkoły publiczne w 2018 r. zatrudniały 21,7 tysiąca katechetów. Koszt ich wynagrodzeń to 1,5 mld zł.

✚ Strajkując o podwyżki dla siebie, nauczyciele strajkują także o podwyżki dla katechetów, choć ci w strajku nie uczestniczą. Kościół się oficjalnie w sprawie nauczycielskiego strajku nie wypowiada, choć poszczególni księża, owszem, strajk potępiają. Prymas Wojciech Polak nieoczekiwanie zaproponował, że Kościół mógłby zostać negocjatorem w sporze nauczycieli z rządem. Co to za arbiter, który jest stroną w sporze? Z jednej strony ma interes w podwyżkach dla katechetów, z drugiej we wsparciu rządu.

✚ Dziesięciu duchownych, zatrudnianych przez Izby Administracji Skarbowej, podlegających Ministerstwu Finansów, zarabia od 2,4 do 7,4 tys. zł brutto – poinformował resort. Czym duchowni się zajmują? „Prowadzeniem działalności oświatowo-wychowawczej". Czyli organizują pracownikom kącik gier planszowych „Łapaj wyłudzaczy VAT-u"? Czy bawią się z nimi w „Pan przemytnik mocno śpi"?

✚ W TVP Info w programie „Salon dziennikarski" jednym z gości jest zwykle ks. Henryk Zieliński, redaktor naczelny katolickiego tygodnika „Idziemy". Przed świętami wyciągnął on na wizji nieoczekiwanie wodę święconą i kropidło – i poświęcił przyniesione do studia pisanki. Cóż, dziennikarstwo to misja, red. Andrzej Rozenek na wizji pomalowałby jaja na czerwono.

✚ Dwójka mieszkańców Płocka oburzyła się homofobiczną dekoracją Grobu Pańskiego w kościele św. Maksymiliana Kolbego. Chodziło o poustawiane wokół krzyża kartony z napisami „Gender", „LGBT" etc. Postanowili porozmawiać z proboszczem. Zabrali ze sobą tęczową flagę. Próba skończyła się awanturą i wyrzuceniem ich z budynku. Proboszcz flagę podarł. Rzucił przy tym uwagę, że homoseksualizm jest zboczeniem i że nie ma zamiaru wpuszczać zboczeńców do kościoła.

✚ W Pruchniku (Podkarpackie) w Wielki Piątek odbył się „Sąd nad Judaszem". Na słupie przy głównej ulicy miasteczka – a jakże, ul. Jana Pawła II – zawisła ogromna słomiana kukła. Pejsata, z dużym nosem i hebrajskimi literami, ani chybi Żydzisko. Na kukle napis „Judasz 2019. Zdrajca". W pewnym momencie kukłę odcięto i na sznurze zawleczono na plac przed kościołem. Tutaj – za to, że zdradziła Jezusa – kukła skazana została na 30 kijów. Do bicia kukły przystąpiły dzieci. Dzieci – według dziennikarzy, którzy uczestniczyli w wydarzeniu – biły ochoczo. Potem kukła wleczona była dalej. Znowu bita przez kolejne dzieci. W końcu ktoś rozciął korpus kukły, a ktoś inny podpalił znajdującą się w środku słomę. Ach, te wsioki ze ściany wschodniej lubią sobie od czasu do czasu coś spalić. Jeśli nie prawdziwych Żydów w stodole, to choćby kukłę wypchaną słomą.

✚ Bp Rafał Markowski, przewodniczący Rady ds. Dialogu Religijnego i przewodniczący Komitetu ds. Dialogu z Judaizmem, wydał komunikat, w którym oświadczył, że „Kościół jednoznacznie wyraża dezaprobatę wobec praktyk, które godzą w godność człowieka". Chodziło o praktyki palenia kukły Judasza w Pruchniku. Ciekawe, czy wsioki z Pruchnika przejmą się dezaprobatą bepe Markowskiego?

✚ W sprawie Pruchnika ciężko wzdychał na Twitterze minister policji Joachim Brudziński: „Pytanie, jacy »szatani« byli w Pruchniku czynni, że po latach przerwy i wezwań miejscowego proboszcza ktoś reaktywował idiotyczną, pseudoreligijną hucpę? Koszta wizerunkowe dla Kościoła, Polski i Polaków olbrzymie". Oj, Brudziński, Brudziński, czy byłeś kiedyś na wiosze na Podkarpaciu albo w Lubelskiem? Wiesz ty, co tam katolicy i prawdziwi Polacy sądzą o Żydach? BBC powinna tam wywiady z ludnością porobić, to byłby hit nad hity. Taka Marzena Nykiel, publicystka prawicowego, sprzyjającego partii Brudzińskiego tygodnika „Sieci", oburza się tym, co Brudziński wypisuje: „Niepokój budzi jednak uporczywe poszukiwanie w Polsce antysemityzmu, głęboka ingerencja w polskie zwyczaje i ciągła próba pisania historii na nowo". Oraz: „Pojawia się pytanie o to, co Żydzi nazywają antysemityzmem. Czy nazwanie Judasza Iskarioty Żydem to już antysemityzm?".

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

nego Związku Nauczycielstwa ***Polskiego,*** *wykorzystywanych przez polityków opozycji. Popisy brutalności tych „nauczycieli" i „wychowawców" z postkomunistycznego ZNP, tzw. ścieżek zdrowia, czyli psychicznego znęcania się przez nich nad nauczycielami, którzy chroniąc dobro dzieci, pomagają w przeprowadzaniu egzaminów, poza tym strajkujący wymyślają „wulgarne piosenki" oraz przebierają się za krowy i świnie, to wszystko już* ***zburzyło etos nauczyciela.*** *Jak dzieci i młodzież mogą mieć zaufanie do takich ludzi?*

Krystyna Pawłowicz, Radio Maryja, 18 kwietnia

■ *Z wielkim żalem i przykrością przyjęłam wiadomość o* ***śmierci prof. Jacka Namieśnika, rektora Politechniki Gdańskiej.*** *Jego uczelniane środowisko krytykowało go za to, że wynajął – odpłatnie –* ***pomieszczenia Politechniki Gdańskiej na ostatnią konwencję Prawa i Sprawiedliwości. Nękanie i szykany*** *wobec prof. Jacka Namieśnika ze strony jego akademickich kolegów oraz* ***lewackich organizacji*** *studenckich czy innych opozycyjnych środowisk, było tak dotkliwe, że serce tego powszechnie lubianego profesora nie wytrzymało.*

dalej Pawłowicz

■ *Najważniejsze dzisiaj w polskim interesie narodowym jest* ***realnie stoczyć wojnę kulturową*** *i wygrać wojnę kulturową* ***o tożsamość płciową, narodową i religijną*** *każdego człowieka. Dlatego też zupełnie niepoważne i nieoddające rzeczywistości są twierdzenia, które płyną z ust polityków partii rządzącej dzisiaj w Polsce, że my dzielimy* ***z Europą Zachodnią*** *wspólne wartości. Otóż nie. Trzeba zacząć jasno artykułować, że* ***mamy przeciwstawne poglądy*** *na bardzo wiele tematów, takich jak powinna wyglądać rodzina, czym jest ojczyzna, jak wygląda historia, na czym polega tożsamość, spójność kulturowa, przeciwstawianie się masowej migracji.*

dalej Winnicki

■ *Polsce dziś potrzeba jest* ***wzmocnienia duchowego,*** *potrzeba jest przypomnienia, że* ***sutanna to zbroja rycerska*** *dzisiejszego świata, a* ***księża to są współcześni wojownicy,*** *którzy po prostu walczą na froncie duchowym. Tej duchowości zdaje się nie dostrzegać ta druga strona, która chce, żeby Polska się rozmyła, żeby jej nie było.*

Gadowski

Wybrał
WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

TRYBUN@ LUDZI

Achtung, Judasz!

Facebook ☛

Idalia Dubicka: W wielu gospodarstwach domowych zwany wizjerem.

Marek Wasilewski: Raz pałką, raz kijem, Judasza zabijem!

Waldemar Jestjednarzecz Kasubek: Wielkie mecyje, gdyby go powiesili, a po jebnięciu kijem poleciałyby słodkości, to byłby Meksyk.

Mirosław Pałkowski: 30 Judaszowych srebrników stanowi kapitał założycielski s-ki „Srebrna". Cześć.

Krzysztof Gajewski: Judaszu, czy ci nie żal, Judaszu, wracaj do Warschau.

Piotr Wiśniewski: Bez Judasza nie byłoby Kościoła k. Panowałoby dobro.

Marek Strzelczyk: I am, you dash…

Jan Maria Bursztyn: Lepszy Judasz w garści niż Żyd na dachu.

Katarzyna Kamińska: Jeden ząbek czosnku dziennie trzyma antysemitów z dala ode mnie.

Strona www ☛

Ciekawski: Ciekawe, ile sałatek zjadła w te święta pani Pawłowicz?

XWJ: Padają obyczaje. Kiedyś był pogrom kielecki, dziś tylko kukła dla niewyżytych emocjonalnie.

BOG: Eksponowanie Żyda na krzyżu to też antysemityzm?

Forum ☛

Sindbad: Uważać trzeba zawsze.

st1111: Ciekawe, ile jest warte teraz 30 srebrników?

MMM: Ze trzy pięćset plusy.

Nick: Żyj Bida!

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE" i Facebooka.

eprasa.pl fdfd39ccec

Łatwopalność wiary

Płoną kościoły, płoną aż strach, aż kurzy się z nich, trzeszczy wszystko dokoła, ściany i dach, gorąco, że hej.

Ilustr. WŁODEK KIERUS

„Ta płonąca katedra to symbol płonącej Europy” – napisał kardynał Stanisław Dziwisz, zaufany sekretarz św. J.P.2. Symbol Europy, która pozbyła się korzeni Boga. Hierarcha i naśladujący go politycy, marząc o rechrystianizacji Paryża, zapominają, że właśnie Polska jest krajem masowo fajczących się kościołów.

Zabezpieczenia

Po pożarze katedry Notre Dame biuro prasowe Archidiecezji Warszawskiej wydało komunikat, że możemy spać spokojnie nie tylko dlatego, że większość obywateli modli się do właściwego Boga.

Archikatedra św. Jana Chrzciciela w Warszawie ma zabezpieczenie przeciwpożarowe w postaci czujek laserowych oraz czujek dymu. Jest też podłączona do systemu monitoringu straży pożarnej. We wnętrzu umieszczono 30 gaśnic, a także zainstalowano system hydrantowy.

Od kilku miesięcy system przeciwpożarowy działa również **w stołecznym kościele św. Anny.** Podstawowe zabezpieczenia ma **świątynia pw. Najświętszego Zbawiciela,** choć czujniki dymu będą instalowane w przyszłości, przy okazji remontu.

Bezpieczeństwo stołecznej archikatedry rzeczywiście nie powinno spędzać snu z powiek. Tak często modli się tu rząd, że kontrola przeciwpożarowa goni kontrolę. Co z resztą Polski?

Ogień

Gdańsk. Podobnie jak Notre Dame fajczył się tutejszy **kościół pw. św. Katarzyny.** XIII wiek. Najstarsza świątynia miasta. W ciągu kilkunastu minut runęły szczątki dachu. Na szczęście niżej był betonowy strop, który uchronił wnętrze przed zapaleniem.

W Białymstoku pożar wieży 100-letniego **kościoła św. Wojciecha** zaczął się z rana, gdy świątynia była pełna wiernych. Niespodziewanie zgasło światło. Pojawił się dym i ogień. Budynek jest z cegły, dach pokryto miedzianą blachą. Mimo wysiłków straży błyskawicznie spłonęła wieża i drewniana klatka schodowa. Dobra wiadomość jest taka, że udało się ewakuować modlących się.

Gorzów Wielkopolski. Zapaliła się **średniowieczna katedra,** najcenniejszy zabytek miasta. 51 zastępów straży, specjalistyczny sprzęt, ponad 30-godzinna akcja gaśnicza, idące w miliony straty.

Kraków. W 2002 r. spopielił się **kościół na Woli Justowskiej pw. Najświętszej Marii Panny Królowej Polski.** Ten sam, w którym nakręcono ostatnią scenę „Potopu” Jerzego Hoffmana. Zabytek stanowił dobro o szczególnym znaczeniu dla polskiej kultury. Najpiękniejszy pomnik ciesiółki z XVI w.!

Łódź, rynek Nowosolna, **kościół pw. św. Andrzeja Boboli.** Dach fajczył się jak pochodnia, choć został wybudowany przed kilku laty, zatem konstrukcja była zgodna z przepisami. Tragedia wydarzyła się w szczególnym dniu, w wigilię Wigilii.

Miejska Górka pod Poznaniem. Kościół znany od 1450 r., wybudowany przez Górków, od nazwiska których wzięło nazwę miasto. Sfajczył się dach, stropy, prezbiterium, główny ołtarz.

Mileszki, Łódź. **Kościół św. Doroty** był jednym z najstarszych zabytków miasta. Drewniany. Mimo wielkiej akcji ratunkowej spalił się doszczętnie.

Oława. W dzień Bożego Ciała Bóg zabrał do siebie **XIX-wieczny kościół św. Józefa** i sąsiadujący z nim budynek.

Sosnowiec. Ofiarą ognia padła katedra z 1899 r. Spłonął dach, cenne freski i wyposażenie. Ogień strawił bezcenne polichromie Włodzimierza Tetmajera. Udało się wynieść Najświętszy Sakrament.

Warszawa. Pożar dosięgnął **kościół na Targówku pw. Chrystusa Króla,** wybudowanego jako wotum dziękczynne za wygraną bitwę warszawską w 1920 r.

Podpalacze

Prokuratura wszczęła śledztwa. W przypadku Krakowa zakończyło się spektakularnym sukcesem. Podpalenie! Podpalacza namierzono po kilkunastu latach. Dominik M. w tamtym czasie miał 19 lat, chodził do liceum, słuchał skandynawskiej muzyki satanistycznej i założył się z kolegą o skrzynkę piwa. Czemu nie, zapali tę kupę drewna.

Wygrał. Z kościółka ocalała tylko murowana krypta. Nagrodę skonsumował. Po jedenastu latach od podłożenia ognia skazano go na 2 lata bezwzględnego więzienia.

Mało brakowało, a niedawno los kościoła z Woli Justowskiej podzieliłaby **świątynia pw. św. Piotra i Pawła z Krotoszyna.** 13-latek spalił zgromadzone worki z rzeczami dla potrzebujących. Straty szacuje konserwator zabytków.

Robotnicy

Zwykle znalezienie winnych jest skomplikowane.

Udało się w przypadku kościoła św. Katarzyny. Biegli ustalili, że podczas remontu dachu użyto szlifierki z przerwanym przewodem. Został on naprawiony domowym sposobem. Dekarz wyszedł, nie odłączając sprzętu od prądu. Doszło do zwarcia.

Namierzono właściciela szlifierki. To znany na Pomorzu dekarz Marek M. **„Grozi mu 5 lat więzienia”** – poinformowała prokuratura. Bo **„nie zachował należytej ostrożności i nieumyślnie spowodował pożar zagrażający życiu i zdrowiu wielu osób oraz mieniu w wielkich rozmiarach”.**

Mężczyzna zeznał, że sprzęt był jego, ale kabel nie. Czy należał do katedry? Nie wiadomo. Markowi M. pozostało przestępstwo niewyłączenia urządzenia. Został skazany na 2 lata więzienia w zawieszeniu na 3. Pokazał mediom twarz, zgodził się na opublikowanie nazwiska.

„Prędzej czy później kościół by spłonął” – mówił. **„Niedociągnięcia trwały latami. Na remontowanym dachu nie było źródła wody, musieliśmy ją nosić wiadrami…”.**

Z winy gospodarza?

Białystok. Przyczyna pożaru: zwarcie instalacji. Bo była stara. Przerabiana. Po pożarze proboszcz chwalił się, że teraz wymieni wszystkie kable.

Kraków. Sąd wysyłając do więzienia podpalacza, zwrócił uwagę na zaniedbania przeciwpożarowe ze strony administracji kościoła. Gdyby kościół był lepiej zabezpieczony, pożar nie zaszedłby tak daleko – ocenił.

Miejska Górka. Oficjalna przyczyna pożaru: zwarcie instalacji w bożonarodzeniowej szopce. Nieoficjalna opinia: **„Sądząc po filmikach w internecie dotyczących tego kościoła, najwyraźniej elektryka od głośników zrobiła spięcie”.**

Sosnowiec. **„W sposób niebudzący wątpliwości ustalono, iż źródło ognia znajdowało się nad kopułą, pomiędzy dwiema nawami…”** – doniosła Prokuratura Okręgowa w Katowicach. Szczęśliwie pożar zniszczył miejsce łączenia przewodów, nie ustalono więc, czy były połączone domowym sposobem, czy tylko stare.

Przeor kościoła św. Magdaleny w Gdańsku nie wiedział, że w Polsce jest prawo budowlane, zatem prowadził prace remontowe bez wymaganych zezwoleń. Prokuratura szybko umorzyła ten wątek śledztwa.

Nieporozumienie

Eksperci przypuszczali, że katedra w Gorzowie ucierpiała, bo w zabytkowej wieży umieszczono serwerownię. Serwerownia powinna być chłodzona, a w wieży nie można było zamontować klimatyzacji. W konstrukcji trzeba stosować materiały niepalne, a pomieszczenie powinno być szczelne, aby ewentualny ogień nie wydostał się na zewnątrz.

Pożar wybuchł w lipcu 2017 r., gdy było bardzo gorąco.

Gorzów jest to jedyny znany mi przypadek, że koloratkowi usłyszeli prokuratorskie zarzuty. Kilkanaście dni temu, po dwóch latach śledztwa! Urzędujący proboszcz i jego poprzednik mogą odpowiedzieć za niedbalstwo i zaniechanie. Konkretnie: niesprawny system sygnalizacji pożarowej, niewykonywanie badania stanu instalacji elektrycznej, brak oddzielenia wieży od pozostałej części kościoła przez odgrodzenie drzwiami o określonej odporności ogniowej, brak opracowanej instrukcji przeprowadzenia ewakuacji, oddymiania, prowadzenia działań gaśniczych w przypadku zagrożenia, nieprzeszkolenie przewodników.

Czarni nie przyznali się do winy i odmówili składania wyjaśnień. Urzędujący proboszcz Zbigniew Kobus nie stracił zaufania przełożonych. Wręcz odwrotnie! Kuria Diecezjalna w Zielonej Górze wydała w tej sprawie oświadczenie. Skracając: zarzucane czyny są przestępstwami umyślnymi, a przecież **„nie można zarzucać tak byłemu, jak i obecnemu proboszczowi umyślnego działania na szkodę powierzonej parafii”.** Wniosek prosty: **„Stawiane zarzuty jawią się jako chybione”.** Kuria deklaruje współpracę z prokuraturą w celu wyjaśnienia nieporozumienia.

Kasa

Dzieło odbudowy zawsze jest wspólne. Parafianie, samorząd, rząd.

Właśnie pod czujnym okiem sekretarza J.P.2 kardynała Dziwisza kończy się odbudowa kościoła na Woli Justowskiej. Przy okazji postawiono okazałą plebanię. Choć wszyscy się zrzucili, kasy wciąż brakuje, proboszcz zachęca więc do kupna cegiełek bądź ufundowania konkretnej części kościoła. Do wyboru – fragment dachu (wartość metra kwadratowego 334 zł; zostało do ufundowania 1140 mkw.) A może okno drewniane większe? Tylko 11 tys. zł za sztukę. Najfajniejsze wydaje się zainwestowanie w iglicę z krzyżem, wieńczącą wieżę. Trzeba wyskoczyć z 42 tys. zł.

Dyskusję, czy wybudować trwalszy i pojemniejszy kościół, czy raczej kopiować zabytek, wygrali zwolennicy pierwszej opcji. **„Forma zabytku została pogodzona ze współczesnymi potrzebami parafii”.** Najpierw postawiono konstrukcję z żelbetu. Dopiero piętro będzie przypominać spaloną świątynię: ze Skandynawii sprowadzono klejone, specjalnie zaimpregnowane drewno, odporne na ogień.

To ważne słowo: przypominać. Wieńcząca świątynię wieża z hełmem też jedynie „nawiązuje” do poprzedniczki. Ma 21 m i 25 ton, jest widoczna z daleka! Maleńki kościółek po „odbudowie” zmieści 600 osób. Jeśli chodzi o zabytek, cóż… Są zdjęcia. A ocalałych belek wystarczyło na krzyż i stacje Drogi Krzyżowej.

To powinna być dobra wiadomość dla Francuzów. Pod pretekstem pożaru można zmienić, ulepszyć. Po odbudowie katedra Notre Dame może być piękniejsza niż kiedykolwiek. Będzie przypominać wieżę Eiffla?

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

REBUS 4

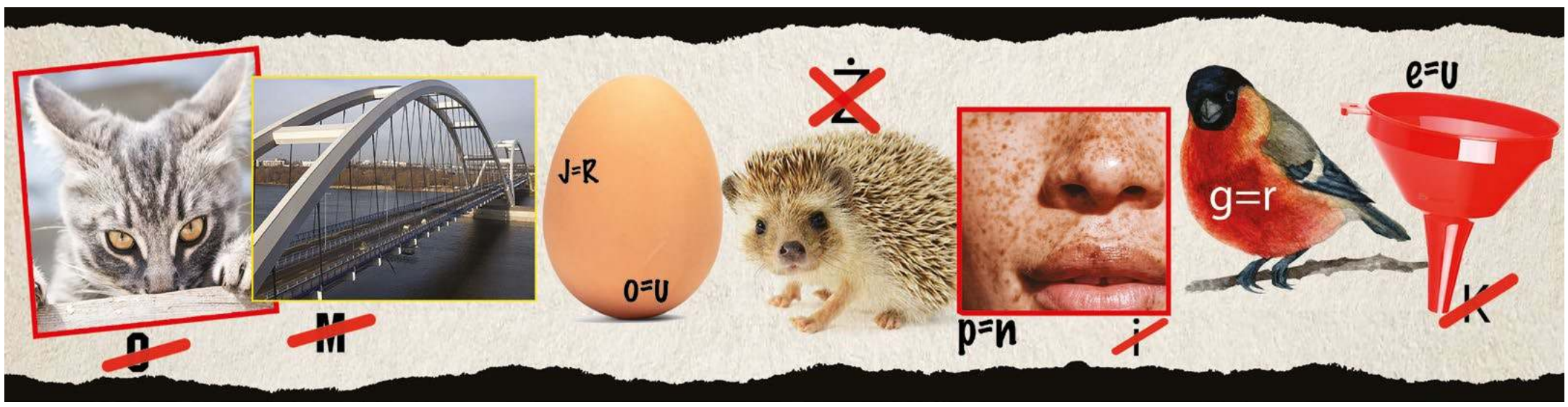

eprasa.pl fdfd39ccec

Bitwa, po której już wszystko było wiadomo…

Łuk imienia Kurskiego

Ilust. WŁODEK KIERUS

II wojna światowa, której 74. rocznicę zakończenia obchodzić będziemy 8 maja, miała kilka wydarzeń zwrotnych, decydujących o losach wojny i ładu powojennego. Na froncie wschodnim takie znaczenie przypisuje się bitwie stalingradzkiej, w której uległa zagładzie cała niemiecka 6. Armia (ćwierć miliona żołnierzy), a z trudem uniknęły podobnego losu dwie armie Grupy A, uwikłane w walki o Kaukaz. Była to pierwsza tak znacząca klęska wojsk niemieckich w tej wojnie. Ale dla jej dalszych losów większe znaczenie miała bitwa na Łuku Kurskim stoczona w lipcu 1943 r. Wynik tej bitwy wywarł też niepomiernie większy wpływ na losy sprawy polskiej. Przypomnijmy podstawowe fakty.

Hitler: Bić się!

Po klęsce stalingradzkiej i pomyślnym lądowaniu wojsk amerykańskich w Afryce Francuskiej czołówka generalicji niemieckiej doszła do wniosku, że wojny na froncie wschodnim w drodze błyskotliwych operacji ofensywnych już się wygrać nie da. Opowiadali się za taktyką aktywnej, ruchomej obrony, oszczędzającej siły własne, a dotkliwej dla nieprzyjaciela. Paul Carell, autor 2-tomowej historii wojny radziecko-niemieckiej, sądzi, że za tą koncepcją kryła się nadzieja na osłabienie Armii Czerwonej i osiągnięcie w wojnie czegoś w rodzaju remisu, który wymusi na ZSRR zgodę na odrębny pokój.

Hitler takie pomysły stanowczo odrzucał i wbrew naleganiom najwybitniejszego z feldmarszałków Ericha von Mansteina i najwierniejszego Walthera Modela zaprojektował nową operację ofensywną pod kryptonimem „Cytadela", polegającą na zaatakowaniu z północy i południa radzieckiego wybrzuszenia w rejonie Kurska, odcięcie i zniszczenie znajdujących się tam wojsk oraz otwarcie drogi dla tym razem skutecznej ofensywy na Moskwę.

Skoncentrowano do tej operacji blisko milion żołnierzy oraz 3 tys. czołgów i dział samobieżnych. 70 proc. będących do dyspozycji wojsk pancernych, w tym wszystkie dywizje wyposażone w najnowsze typy czołgów. Także 2 tys. samolotów, czyli 70 proc. lotnictwa walczącego na froncie wschodnim. Postawiono wszystko na jedną kartę. Hitler wierzył, że sukces zapewnią wprowadzone właśnie na uzbrojenie nowe typy czołgów – klasy średniej „Pantery" i ciężkiej „Tygrysa". Rzeczywiście dużo lepszych, pancerzem i armatą, zarówno od radzieckiego T-34, jak i amerykańskiego „Shermana", ale produkowanych w dość skromnej liczbie. Kilka tysięcy „Panter" rocznie w porównaniu do kilkudziesięciu tysięcy T-34 i „Shermanów".

Stalin: Bić się!

Dowództwo radzieckie tym razem było o planowanej operacji dokładnie poinformowane przez wywiad brytyjski i własny. Poczyniło odpowiednie przygotowania. Rozbudowano linie obronne na głębokość 50 km. Wykopano 10 tys. km okopów. Skoncentrowano wojsko w dwóch frontach broniących Kurska: centralnym pod dowództwem Rokossowskiego i Woroneskim pod dowództwem Watutina – w liczbie 1,5 miliona żołnierzy oraz 4 tys. czołgów. Dodatkowo w rezerwowym froncie stepowym Koniewa 500 tysięcy żołnierzy i 1500 czołgów.

5 lipca rozgorzała bitwa. Po tygodniu niemieckim wojskom, mimo lokalnych sukcesów, nie udało się przełamać radzieckiej obrony. Włamano się w obronę na północy ok. 12 km, a na południu – do 30 km.

12 lipca pod wsią Prochorowka stoczono bitwę pancerną wszech czasów. Na 5 km kwadratowych przestrzeni starła się w walce bezpośredniej radziecka armia pancerna z korpusem pancernym SS. Razem ok. 1200 pojazdów pancernych.

T-34 pełną szybkością szły na zbliżenie z „Panterami", aby niwelować w ten sposób różnice w uzbrojeniu artyleryjskim. Dochodziło do walk na odległość 100 m, a nawet do taranowania przeciwnika. Niemcy stracili 150 maszyn, Rosjanie 3 razy więcej. Bitwa pozostała jednak nierozstrzygnięta. 13 lipca Hitler wstrzymał operację „Cytadela".

Straty niemieckie wyniosły 250 tysięcy żołnierzy i połowę zaangażowanych w walkę pojazdów pancernych oraz samolotów. Straty Armii Czerwonej były co najmniej dwukrotnie wyższe, ale to ona okazała się strategicznym zwycięzcą.

Guderian: Przegraliśmy.

Gen. Heinz Guderian pisał: **„Klęska »Cytadeli« oznaczała naszą decydującą porażkę. Formacje pancerne, zreformowane i dozbrojone z tak wielkim wysiłkiem, poniosły ciężkie straty w ludziach i sprzęcie, stając się teraz przez długi czas niezdolne do wykorzystania. Pozostawało kwestią wielce wątpliwą, czy odzyskają sprawność na tyle szybko, że będą mogły bronić wschodniego frontu. Nie ma potrzeby powtarzać, że Rosjanie w pełni wykorzystali zwycięstwo. Na froncie wschodnim nie miały już się powtarzać okresy spokoju. Nieprzyjaciel zyskał od tego czasu niezaprzeczalną inicjatywę".**

W ciągu dziewięciu miesięcy Armia Czerwona wyzwoliła prawie całą Ukrainę. W marcu 1944 r. front stał nad Dniestrem, między Tarnopolem i Lwowem, oraz pod Kowlem. Inicjatywy strategicznej na froncie wschodnim Wehrmacht nie odzyskał już do końca wojny.

Hitler zrezygnował z operacji „Cytadela", gdyż obawiał się zużycia w niej resztek doborowych wojsk szybkich, poza tym rozważał przerzucenie ich części do Włoch, po tym jak zachodni alianci 10 lipca wylądowali na Sycylii.

Karski: Przegraliśmy.

Polityczną konsekwencją bitwy na Łuku Kurskim było ostateczne ugruntowanie strategicznej decyzji zachodnich aliantów, przede wszystkim Stanów Zjednoczonych, na wygranie wojny w Europie przez połączenie własnej przewagi materialnej i technicznej z radziecką przewagą ludzką. Zachodniej siły gospodarczej z rosyjską krwią. Zachodnie plany militarne na okres wojny zostały od tego czasu nastawione na współdziałanie, a nie na rywalizację z Armią Czerwoną. Oznaczało to oddanie pod kontrolę Związku Radzieckiego krajów, jakie jego armia wyzwoli spod niemieckiego panowania. W tym także Polski.

Jan Karski w 1943 r. miał powiedzieć przyjacielowi w Anglii, że Polska swoją wojnę przegrała politycznie, zatem jej przywódcy powinni teraz zastanowić się, jak przegrać, minimalizując nieuniknione straty. Była to opinia racjonalna. Myśl przewodnią polityki wojennej rządu emigracyjnego i jego krajowych ekspozytur wyznaczała koncepcja dwóch wrogów – Niemiec i Związku Radzieckiego. Koncepcja ta sprawdziłaby się jedynie w przypadku, gdyby obydwa mocarstwa wyszły z wojny pokonane, gdyby Niemcy pokonały ZSRR, a potem same uległy zachodnim aliantom. Od bitwy stalingradzkiej szanse na ten scenariusz wygasały, a po bitwie na Łuku Kurskim stało się jasne, że na ziemie polskie w zwycięskim pochodzie wkroczy Armia Czerwona i ona będzie kontrolować sytuację.

Polityka dwóch wrogów już w 1943 r. w swym wschodnim wariancie była przegrana. Karski miał rację: był najwyższy czas pogodzić się z rzeczywistością i negocjować ze Stalinem warunki pokoju. Jesienią 1941 r. Sikorski ograniczył się do rozejmu. Pokój wraz ze sporem terytorialnym odkładał na czas po wojnie. Liczył na przegraną ZSRR, a wygraną mocarstw zachodnich.

Latem 1943 r. polskie czynniki miarodajne – rząd emigracyjny i jego krajowe ekspozytury – wciąż nie przyjmowały faktów do wiadomości i z uporem trzymały się nadziei, że zdołają wygrać również wschodni wariant swojej polityki wojennej. Gen. Sikorski w ostatnich przemówieniach do żołnierzy wyrażał przekonanie, że Europę Środkową wyzwalać będą armie zachodnie maszerujące z południa, przez Bałkany, choć ten wariant został odrzucony jeszcze na konferencji w Casablance. Na wypadek gdyby to jednak Armia Czerwona wkroczyła na ziemie polskie, opracowany został plan „Burza". Namiastka powstania, która miała nie tyle zniechęcić czy powstrzymać Stalina, ile skłonić mocarstwa zachodnie do zaryzykowania konfliktem z ZSRR o Polskę, jej granice wschodnie i ustrój. Szans na to nie było żadnych. Churchill w tej kwestii nie pozostawiał złudzeń.

Zbliżał się moment krytyczny – wkroczenie armii radzieckiej na ziemie polskie. Był zatem najwyższy czas jakiegoś ułożenia się z ZSRR. Wymagało to pogodzenia się z faktami i gotowości do ustępstw. Strona radziecka sformułowała swoje warunki zarówno w korespondencji Stalina z Churchillem, jak i w bezpośredniej rozmowie ambasadora Lebiediewa z przedstawicielami rządu polskiego w Londynie w czerwcu 1944 r. Sprowadzały się one do uznania linii Curzona, czyli granicy z 1941 r., oraz rekonstrukcji rządu w kierunku przychylnym dla ZSRR. Były to warunki trudne, dla wielu oburzające, ale też sytuacja nie dawała większego wyboru. Rząd polski warunki te odrzucił. Trwał przy polityce nie tyle romantyzmu, ile myślenia życzeniowego. Romantyzm w polityce bywa zgubny, lecz moralnie nobilitujący. Myślenie życzeniowe zawsze dyskredytuje.

Mannerheim: Dogadajmy się.

W tym samym czasie inne państwo znajdujące się w stanie wojny rzeczywistej z ZSRR, a nie tylko dyplomatycznej i politycznej, w obliczu nadciągającej klęski dało wręcz wzorcową lekcję politycznego realizmu. Finlandia wtedy właśnie załatwiała sobie specjalny status, który przez kilka dziesięcioleci był w krajach zwasalizowanych przez ZSRR przedmiotem jawnej lub skrywanej zazdrości.

Ojcem tej polityki był 76-letni baron Carl Gustaf Mannerheim, wódz naczelny wojsk fińskich w dwóch wojnach ze Związkiem Radzieckim – zimowej (1939–1940) i kontynuacyjnej u boku Niemiec hitlerowskich (1941–1944).

W wojnie zimowej Finlandia straciła znaczne i ważne fragmenty terytorium z drugim co do wielkości miastem Wyborgiem, ale obroniła niepodległość. W następnej wojnie, wszczętej w czerwcu 1941 r., w kilka dni po ataku Niemiec na ZSRR, Finowie odzyskali utracone terytoria, ale nie wsparli zbyt aktywnie niemieckiej ofensywy przeciw Leningradowi i liniom komunikacyjnym z Murmańskiem. Wydarzenia z 1943 r. – bitwa na Łuku Kurskim – przekonały Mannerheima, że wojna zmierza ku klęsce. Doszedł do wniosku, że sytuacja wymaga ratowania Finlandii od najgorszego. Skłonił rząd fiński do podjęcia za pośrednictwem poselstwa w Szwecji sondaży w sprawie warunków odrębnego pokoju. Nie były one zachęcające. Stalin żądał nie tylko utrzymania linii granicznej ustalonej po wojnie zimowej, ale też oddania dodatkowego terytorium na północy, baz wojskowych w centrum Finlandii, usunięcia z życia politycznego partii uznawanych przez niego za prowojenne i faszystowskie, pociągnięcia do odpowiedzialności „przestępców wojennych", wysokiej kontrybucji.

Fińscy przywódcy wahali się. Zaniepokojony Hitler też naciskał i groził sankcjami za zerwanie sojuszu, wymusił nawet oświadczenie prezydenta Finlandii Risto Ryti, wykluczające odrębny pokój. Wiosną 1944 r., gdy po przerwaniu blokady Leningradu Armia Czerwona zbliżyła się do granic z Finlandią, Mannerheim zdecydował się na decyzje radykalne, na zwrot o 180 stopni. Zdawał sobie sprawę z tego, że gdy wojska radzieckie wejdą do Finlandii, będzie już za późno, bo Stalin ustanowi kolejną republikę radziecką lub rządy powiernicze z kominternowcem Otto Kuusinenem na czele, a Zachód to zaakceptuje.

Czołowi politycy fińscy zgodzili się z Mannerheimem i w tym krytycznym momencie powierzyli mu pełnię władzy. Wybrany na prezydenta powiadomił rząd niemiecki, że nie czuje się związany deklaracjami poprzednika i dla ratowania narodu fińskiego jest zdecydowany zakończyć wojnę. Niemiecką demonstrację siły, atak na jeden z fińskich garnizonów, odparł krwawo i skutecznie. Od parlamentu uzyskał zgodę na przyjęcie trudnych radzieckich warunków uchwaloną przekonującą większością.

5 września 1944 r. na froncie fińsko-radzieckim umilkły działa, a 19 września w Moskwie podpisano porozumienie o „ostatecznym" zawieszeniu broni. Zdumiewające, ale polityka Mannerheima zyskała poparcie społeczeństwa. Nie zawiązały się przeciwko niemu żadne znaczące spiski, nie doszło do sprzeciwu czy niesubordynacji armii. I tak pozostało do dziś. Choć – jak cała fińska arystokracja Mannerheim kulturowo był związany ze Szwecją, w plebiscycie telewizyjnym w 2004 r. wybrany został najwybitniejszym Finem w historii.

Polska: Nie było nikogo…

Czy Polska miała szansę na status podobny do statusu Finlandii, czyli na przymierze dające ZSRR liczne przywileje, ale umożliwiające zachowanie nie tylko odrębności państwowej, ale też ustrojowej i – co ważniejsze – zawarte przez dalekich od komunizmu polityków konserwatywnych, a zatem pozbawione ideologicznego uzależnienia. Byłoby to trudniejsze niż w przypadku Finlandii. Przede wszystkim ze względu na położenie geograficzne: Polska leżała w centrum linii konfliktu, a nie na uboczu. Także ze względu na obciążenia historyczne: w tradycji polsko-rosyjskiej przeważał konflikt, w tradycji fińsko-rosyjskiej pragmatyzm. Ale warto mieć na uwadze, że Stalin umiał dostrzec i docenić korzyści przymierza z siłami w jego nomenklaturze „burżuazyjnymi", a nie tylko z posłusznymi mu komunistami. Nie przypadkiem w 1941 r. jesienią starał się uwodzić gen. Andersa. Jeśli takie porozumienie motywowane realizmem, a nie ideologią; rozsądkiem, a nie serwilizmem było możliwe, to jedynie w tej fazie wojny, gdy przewaga militarna ZSRR nie była jeszcze ostateczna i wciąż liczył się korzystny wpływ takiego porozumienia na stosunki z zachodnimi mocarstwami.

Niestety nawet próba zbadania szans tego wariantu nie została podjęta. Po stronie polskiej nie miał on liczących się zwolenników poza publicystami z Ksawerym Pruszyńskim na czele. Nie było nikogo na miarę Mannerheima, nie było też klasy politycznej rozumującej w kategoriach *Realpolitik*. Nikt nie brał pod uwagę czynnika czasu. Każdy polski gest pojednawczy czy próba dostosowania polityki do realiów, włącznie z podjętymi z desperacji rozmowami „szesnastki" z rzekomym gen. Iwanowem, były o kilka miesięcy spóźnione.

M.Z.

Wykorzystano m.in.:
– Paul Carell „Spalona ziemia", Warszawa 2003;
– Jonathan Clements „Mannerheim Prezydent, żołnierz, szpieg", Wydawnictwo Replika, 2010;
– Eugeniusz Duraczyński „Polska 1939–1945. Dzieje polityczne", Warszawa 1999.

eprasa.pl fdfd39ccec

Mogiła „Solidarności”

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wojna inwalidów wojennych ze styropianowcami wisi na włosku.

Prezes Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Internowanych i Represjonowanych (w lutym): **„Z dobrodziejstw suwerennej i niepodległej Polski korzystają wszyscy, oprócz nielicznych jej dobrodziejów, osób represjonowanych. Z powodu ubóstwa nie jesteśmy w stanie uczestniczyć w działaniach popierających słuszne wysiłki naszych władz wyłonionych w demokratycznych wyborach, na które to władze czekaliśmy całe pokolenie”.**

Z uzasadnienia postulatów organizacji skupiających internowanych i represjonowanych (w kwietniu): **„Z dobrodziejstw suwerennej i niepodległej Polski korzystają wszyscy, oprócz nielicznych jej dobrodziejów, osób represjonowanych. Z powodu ubóstwa nie jesteśmy w stanie uczestniczyć w działaniach popierających słuszne wysiłki naszych władz wyłonionych w demokratycznych wyborach, na które to władze czekaliśmy całe pokolenie”.**

Wniosek: dobrodziejstwo opozycjonistów ma charakter powszechny i całoroczny.

Charakter godnościowy

Tuż przed dobrą zmianą weszła w życie ustawa o działaczach opozycji antykomunistycznej oraz osobach represjonowanych z powodów politycznych. To miał być dowód uznania **„za szczególne zasługi dla Polski tych jej obywateli, którzy w latach 1956–1989 z narażeniem własnego życia, wolności, majątku lub praw pracowniczych angażowali się w działalność antykomunistyczną zmierzającą do odzyskania suwerenności i niepodległości Ojczyzny lub byli z tych powodów represjonowani”** – jak czytamy w preambule. Ojczyzna ojczyzną, ale dzięki ustawie opozycjoniści zyskali prawo do 400 zł miesięcznie. Żeby forsę zassać, trzeba było spełnić 2 warunki:

a) posiadać wydawany przez Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych status osoby represjonowanej albo działacza opozycji;

b) legitymować się dochodami niższymi od najniższej emerytury.

Rezultat: status otrzymały 3 tysiące bojowników o wolność i demokrację, ale tylko trzystu dostanie pieniądze, bo pozostali nie spełniali kryterium dochodowego. Wniosek: bieda wśród styropianowej braci nie ma charakteru masowego.

Po dobrej zmianie PiS próg dochodowy zlikwidowało, argumentując, że świadczenie powinno mieć charakter godnościowy, a nie socjalny. Efekt: status uzyskało 11 tysięcy bohaterów i tylu pobiera świadczenia. Program „400 plus” nie satysfakcjonuje jednak patriotów.

Miliony orłów

W grudniu zeszłego roku naprzeciw oczekiwaniom środowiska miłośników ojczyzny wyszedł Senat, przygotowując kolejną nowelizację ustawy. Projekt przewiduje wypłatę comiesięcznego dodatku w wysokości 10 zł za każdy miesiąc represji, przy czym za szykanę projektodawcy uznali niemożność znalezienia pracy lub spadek dochodów. Ponadto każdemu opozycjoniście, który wyzionął ducha lub dopiero wyzionie, przysługiwać będzie **„znak polski nagrobny”** w postaci orła oraz napisu zawierającego podstawowe informacje o dokonaniach nieboszczyka. Autorzy noweli poszli na całość, bo znakiem postanowili uhonorować nie tylko padłych styropianowców, ale także żołnierzy, w tym **„innych państw biorących udział w walkach o suwerenność i niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej”.** Urząd ds. Kombatantów wyliczył, że przy tak szerokim zdefiniowaniu uprawnionych trzeba będzie wyprodukować kilkanaście milionów orłów, co, nawet założywszy skromne 25 zł za ptaka, pochłonie górę szmalu. No i urząd w porę dostrzegł niebezpieczeństwo natury politycznej, wywodząc, że **„pojawia się wątpliwość, czy chodzi także o sojusznika naszych sojuszników, czyli o żołnierzy Armii Czerwonej”.**

Krew przelana

Urząd zwrócił uwagę, iż **„propozycja przyznania świadczenia dodatkowego w kwocie 10 zł za każdy miesiąc podlegania represjom oznacza, że osoby represjonowane w latach 1956–1989 miałyby większe uprawnienia finansowe niż osoby represjonowane przez komunistów w latach 1944–1956, bo te ostatnie prawa do świadczenia dodatkowego nie posiadają, podobnie inwalidzi wojenni”.**

Zaraz odezwały się nożyce, czyli Związek Inwalidów Wojennych RP: **„Nie chcemy deprecjonować niczyich cierpień ani podważać inicjatyw zmierzających do ich rekompensaty. Nie możemy jednak pominąć milczeniem sytuacji, kiedy to kolejne grupy otrzymują świadczenia lub są im one rozszerzane, podczas gdy od wielu lat podstawa renty inwalidy wojennego, świadczenia mającego charakter wyjątkowy, bo przyznawanego za krew przelaną w obronie ojczyzny w czasie walki zbrojnej, ulega proporcjonalnemu obniżeniu w stosunku do innych świadczeń, choćby najniższej emerytury”.**

Wolność upragniona

Janusz Olewiński krwi za ojczyznę nie przelewał i nie jest inwalidą wojennym, ale przesiedział prawie rok w internacie. O honor represjonowanych nieugięcie walczy od upadku komuny, narzekając na biedę, domagając się od państwa liczonych w milionach odszkodowań i żądając licznych przywilejów, głównie finansowych. Żeby walka była bardziej skuteczna, założył Ogólnopolskie Stowarzyszenie Internowanych i Represjonowanych. Jak nietrudno się domyślić, został jego prezesem.

Prezesowanie zacnej organizacji zapewnia Olewińskiemu dostęp do licznych organów władzy, Senatu nie wyłączając. W izbie wyższej pojawił się w lutym 2019 r. z okazji obrad komisji ustawodawczej, pracującej nad projektem przewidującym 10-złotową miesięcznicę. **„Proponowane zmiany nie wypełniają zapisu konstytucji, który zobowiązuje państwo polskie do zapewnienia godnego poziomu życia osobom, które przyczyniły się do uzyskania upragnionej wolności i niepodległości Polski. Z powodu ubóstwa nie jesteśmy w stanie uczestniczyć w działaniach popierających słuszne wysiłki naszych władz wyłonionych w demokratycznych wyborach, na które to władze czekaliśmy całe pokolenie. Najwyższy czas, żeby państwo polskie rzetelnie wywiązało się z obowiązku i objęło opieką działaczy opozycji, zapewniając wreszcie prawo i sprawiedliwość. My nie zawiedliśmy Polski i Polaków, wręcz przeciwnie – zachowaliśmy się, jak trzeba. Z dobrodziejstw suwerennej i niepodległej Polski korzystają wszyscy, oprócz nielicznych jej dobrodziejów, osób represjonowanych. Oczekujemy, że obficie korzystający z tych dobrodziejstw także zachowają się, jak trzeba”.**

„Utrzymanie psa w schronisku kosztuje 1800 zł miesięcznie!” – zawołał.

Aby szykanowani i prześladowani przez komunę dobrodzieje wreszcie skorzystali z dobrodziejstw, 1 kwietnia Olewiński zaprosił do Warszawy prezesów ośmiu innych stowarzyszeń internowanych i represjonowanych. Tak powstały słynne postulaty kwietniowe.

„800 plus”

Jest ich mniej niż sierpniowych, bo tylko 13, ale miejsce w historii mają zagwarantowane.

Byli opozycjoniści żądają m.in. świadczenia w wysokości 800 zł miesięcznie, emerytur i rent na poziomie średniej płacy krajowej, zaliczenia do emerytury w podwójnym wymiarze okresów internowania, bezpłatnego parkowania na terenie całego kraju, 75 proc. zniżki na przejazdy koleją oraz busami i autobusami w całej Polsce, darmowych leków, a także dofinansowania wynajmu i utrzymania lokali służących organizacjom skupiającym internowanych i represjonowanych.

Z uzasadnienia: **„Z powodu ubóstwa nie jesteśmy w stanie uczestniczyć w działaniach popierających słuszne wysiłki naszych władz wyłonionych w demokratycznych wyborach, na które to władze czekaliśmy całe pokolenie. Najwyższy czas, żeby państwo polskie rzetelnie wywiązało się z obowiązku i objęło opieką działaczy opozycji, zapewniając wreszcie prawo i sprawiedliwość. My nie zawiedliśmy Polski i Polaków, wręcz przeciwnie – zachowaliśmy się, jak trzeba. Z dobrodziejstw suwerennej i niepodległej Polski korzystają wszyscy, oprócz nielicznych jej dobrodziejów, osób represjonowanych. Oczekujemy, że obficie korzystający z tych dobrodziejstw także zachowają się, jak trzeba. Utrzymanie psa w schronisku kosztuje 1800 zł miesięcznie”.**

Czy Jarosław Kaczyński zrealizuje postulaty kwietniowe i jakieś Jarkowe wzbogaci dobrodziejów o „800 plus”?

„Proteza plus”

Sęk w tym, że kolejka po owoce cudu gospodarczego wydłuża się, a inwalidzi wojenni nie zamierzają w tyle stać za styropianowcami; wykorzystując przechwałki rządu o pełnym skarbcu, domagają się zwiększenia podstawy naliczania przysługującej im renty specjalnej. A przy okazji strajku nauczycieli Mateusz Morawiecki zdradził, że mimo iż dokonał licznych cudów, budżet nie jest z gumy. Wojna o forsę między inwalidami a bywalcami internatów wisi na włosku. Tych pierwszych jest 4 razy więcej, ale mogą nie podołać, bo dysponują mizerną siłą ognia, a zdolność manewrowania mają ograniczoną. Nadzieja w tym, że przeciągną na swoją stronę 600 tysięcy kombatantów, czyli tych, którzy brali udział w wojnach i ruchawkach, ale nie odnieśli poważniejszych kontuzji. Tak licznej armii Kaczyński może się wystraszyć. Jeśli tak się stanie, do Jarkowego „800 plus” doda „Protezę plus”. Nie wszyscy dobrodzieje będą szczęśliwi, lecz tylko kulawi.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

Ruskich w obozowym muzeum nie ma i nie będzie. Mogli nie uciekać...

W 1987 r. Amerykanie wyprodukowali film „Ucieczka z Sobiboru”, a ponieważ główną rolę żeńską zagrała Joanna Pacuła, mile połechtało to polską próżność. Pacule partnerował Rutger Hauer. Grał bohaterskiego krasnoarmiejca, lejtnanta Aleksandra Peczerskiego, dowodzącego akcją zbrojną, dzięki której z obozu koncentracyjnego uciekło trzystu więźniów.

Film obejrzały na świecie miliony widzów. I każdy z nich, gdy słyszy słowo „Sobibór”, ma przed oczami blond herosa w radzieckim mundurze. Tak samo miał widać prezydent Komorowski, bo w 2013 r. przyznał pośmiertnie Peczerskiemu Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi Rzeczpospolitej.

Komitet plajtujący

Oprócz zrywu zbrojnego i spektakularnej ucieczki Sobibór funkcjonuje w historii jako obóz zagłady. Dla Holendrów i Słowaków jest największym cmentarzem ich rodaków poza granicami. Pod Włodawą poszło z dymem po 35 tysięcy ich współobywateli. Polskich Żydów Niemcy wymordowali tam ponad 90 tysięcy, w związku z czym to Polsce przypadł pakiet kontrolny w powołanej we wrześniu 2008 r. międzynarodowej organizacji o nazwie Komitet Sterujący. Sterować miano budową w Sobiborze muzeum godnego rozmiarów tragedii. W jego skład weszli przedstawiciele Izraela, Holandii, Słowacji oraz Polski. Nie weszła Rosja.

Dlatego że Moskwa jakoś nie została o tym projekcie poinformowana. A informacje, które do niej docierały, wskazywały, że Komitet Sterujący nie wygląda poważnie.

Rosjanie się nie mylili. Mimo funkcjonowania międzynarodowego porozumienia nic się nie działo. A nawet gorzej. Bo muzeum istniejące w Sobiborze

28 kwietnia, tydzień po katolikach, Wielkanoc mają prawosławni. Narodowcy i pisowcy z Dudą na czele na pewno o tym nie zapomną i złożą z tej okazji najserdeczniejsze życzenia. Wybory bowiem za pasem.

Łatwo jednak urazić uczucia prawdziwego Polaka, którego władza nie pochodzi z wyborów, takiego jak wojewoda z PiS. Wystarczy tylko opowiedzieć swoimi słowami to, co zostało wcześniej udokumentowane przez IPN i być obywatelem, tyle że z pochodzenia prawosławnym Ukraińcem. Przykład.

W lipcu zeszłego roku Polskę odwiedził król czekolady z Ukrainy. Petro Poroszenko jako prezydent pojawił się na uroczystości upamiętniającej mord na prawosławnych cywilach w Sahryniu na Lubelszczyźnie 10 marca 1944 r. Miały tego dokonać połączone oddziały Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich.

W obecności Poroszenki dr Grzegorz Kuprianowicz, historyk z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, wspominając trzystu martwych Ukraińców, stwierdził zgodnie z faktami, że zginęli **„z rąk innych obywateli RP, dlatego, że mówili w innym niż większość języku oraz byli innego wyznania. Ta zbrodnia przeciwko ludzkości została popełniona przez członków narodu polskiego, partyzantów Armii Krajowej będących żołnierzami Polskiego Państwa Podziemnego”.**

8 lipca, gdy wypowiadał słowa o ludobójstwie, nie przypuszczał, że ten dzień mocno zaciąży na jego spokojnym dotychczas życiu. Już 9 lipca na konferencji prasowej wojewoda lubelski Przemysław Czarnek uznał, że Kuprianowicz znieważył naród polski

eprasa.pl fdfd39ccec

Obozy tylko polskie

od 1993 r. i podlegające Starostwu Powiatowemu we Włodawie, trafił szlag. Po trzech latach działań Komitetu Sterującego, w 2011 r., z powodu braku pieniędzy placówkę zamknięto.

Zrobiło się wielkie aj-waj, bo izraelskie wycieczki nie miały czego zwiedzać. Obciach zmusił Ministerstwo Kultury do działania i w 2012 r. muzeum w Sobiborze weszło w skład muzeum na Majdanku. Pojawiły się pieniądze i wycieczki znów miały gdzie przyjeżdżać.

Wejdą czy nie wejdą?

W 2013 r. przypadała 70. rocznica ucieczki i likwidacji obozu. Z tego powodu Komorowski wynalazł Peczerskiego, a Komitet Sterujący dostał od swoich krajowych mocodawców zjebkę za nicnierobienie. Wymieniono kilka osób i sprawa budowy nowego muzeum ruszyła z kopyta. Przypomniano sobie też o Rosji. Wysłano do Moskwy zaproszenie do przyłączenia się do udziału w projekcie odnowienia muzeum. Ruscy odpowiedzieli, że wchodzą w temat. I nawet **„wyrazili gotowość wniesienia znaczącego wkładu finansowego w zagospodarowanie miejsca pamięci”.**

Zanim jednak przyszło co do czego, „zielone ludziki” przyłączyły Krym do Rosji, a rosyjska wyrzutnia postrzeliła wiozący Holendrów malezyjski samolot nad Ukrainą. Przez co Komitetowi Sterującemu z Rosjanami nie chciało się gadać. Ale za to rozstrzygnięto konkurs na to, jak ma wyglądać przyszłe muzeum i uzgodniono, że budowa ruszy w 2016 r.

Po kilkunastu miesiącach członkowie grupy doszli do wniosku, że ponieważ nikt z podkomendnych Peczerskiego nie anektował Krymu, zaś minister kultury Rosji ma alibi na czas wystrzelenia rakiety, to wypada Rosjan do prac nad muzeum jednak zaprosić.

W czerwcu 2015 r. Polacy przesłali Ruskim **„propozycję dodatkowego wyjaśnienia statusu rosyjskiego udziału w projekcie”.** Moskwa odpisała, przedstawiając co, jak, ile i kiedy. A przede wszystkim, że bardzo chętnie.

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Zakazana Treblinka

Największymi obozami zagłady na terenie Polski były Bełżec, Sobibór i Treblinka. W Treblince IPN wymyślił sobie kilka miesięcy temu ekshumację. Czyli coś dla Żydów niedopuszczalnego. Izrael się wkurwił. Ale ponieważ już jest tam po wyborach, to Netanjahu nie potrzebuje grać antypolskimi sentymentami. Poprosił zatem o interwencję Stany Zjednoczone. Te zaś zadziałały od razu, przekazując Ambasadzie RP w Waszyngtonie, żeby Polska dała se siana z wykopkami w Treblince.

PiS zareagowało od razu: 2 dni przed rozpoczęciem prac oznajmiło, że nikt szpadla w Treblince w ziemię nie wbije. Oczywiście nie wspomniano o Amerykanach i Izraelu, aby pogrążyć się rozśmieszającym argumentem, że ekshumacji nie będzie, bo polskie prawo przewiduje ich przeprowadzanie tylko do 15 kwietnia.

W stosunkach z USA dla PiS nie ma takiej granicy śmieszności, której ta partia nie byłaby w stanie przekroczyć.

Na słowie Sellina

Z końcem 2015 r. stołek szefa Komitetu Sterującego objął wiceminister kultury Jarosław Sellin. I chyba zrobiła na nim wrażenie deklaracja Rosjan, że na początek dołożą do inwestycji kwotę 500 tys. euro. Kilka tygodni później przebywający w Sobiborze minister kultury Rosji Władimir Miedinski mógł powiedzieć, że **„Rosja jest gotowa do udziału we wsparciu finansowym tego przedsięwzięcia. W styczniu otrzymaliśmy pismo od sekretarza stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego Polski, w którym nasz udział został jeszcze raz potwierdzony”.**

Czy to Sellin dostał od kogoś zjebkę, czy może sam zmienił zdanie – ważne, że ustami rzeczniczki wyparł się wszystkiego. Dodając, że ministerstwo nie brało udziału w przygotowaniu wizyty ministra kultury Rosji w Sobiborze, **„ponieważ ma ona charakter prywatny”.** Zaś co do udziału Rosjan w Komitecie Sterującym, to ich akces miał być przegłosowany jak najszybciej.

Już po siedemnastu miesiącach Moskwa dowiedziała się, iż **„obradujący w dniach 12 i 13 czerwca 2017 r. Międzynarodowy Komitet Sterujący (...) podjął jednogłośną decyzję o kontynuowaniu współpracy w dotychczasowym składzie. Zdecydowano zatem obecnie nie dołączać kolejnych partnerów do Komitetu Sterującego”.** Żeby Ruscy się nie obrazili, napisano, że decyzja **„nie jest jednak odmową, co do innych form udziału Rosji w projekcie”.**

Lojalność i dyplomatolstwo

Moskwa się wściekła, pisząc w komunikacie, że **„podjęto decyzję amoralną z punktu widzenia prawdy historycznej”.** Rosyjskie media pełne były publikacji o tym, jak Polacy piszą na nowo historię Sobiboru, pomijając rolę Rosjan. Zaś ambasadorowie z Komitetu Sterującego zostali wezwani na dywanik przez rosyjskie MSZ. Trójka z nich powiedziała, że przeciwko dokooptowaniu Rosji nic nie ma, ale Sellin się uparł.

W sukurs wystawionemu przez sojuszników do wiatru wiceministrowi kultury przyszedł szef instytucji mającej pokazywać polskiej dyplomacji, jak ma działać. Dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych Sławomir Dębski wyjaśnił Ruskim, że to Holandia była na „nie” z powodu śledztwa w sprawie katastrofy samolotu Malaysia Airlines. A gdy Rosjanie po sprawdzeniu zarzucili Dębskiemu ściemę, ten – jak na guru dyplomacji przystało – odpowiedział Federacji Rosyjskiej w mediach społecznościowych: **„Drogie Sherlocki. Czy udało wam się również potwierdzić swoje wcześniejsze twierdzenia, że 1) nie ma wojsk rosyjskich na Ukrainie, 2) to był ukraiński myśliwiec, który zestrzelił MH17, 3) czy to Polska zablokowała wasz udział w Komitecie nowego muzeum w Sobiborze?”.**

Rosjanie pozwolili sobie gówna nie tykać, zwłaszcza że dostali zaproszenie na 75. rocznicę zrywu Peczerskiego. A może i dlatego że wyprodukowali mówiący o tym wydarzeniu swój własny film fabularny – „Sobibór”.

Tusku, ratuj!

Cały czas jednak trzymali rękę na pulsie budowy muzeum. Ile razy ogłaszano jakiś konkurs na ekspozycję, tyle razy słali swoje projekty. Dzięki czemu Komitet Sterujący miał co odwalać. Nie przekonywał go do zacieśnienia współpracy z Ruskimi nawet brak kasy. Niemcy zgodziły się dołożyć do 22 mln wydanych złotówek milion euro.

Po czymś takim Ruscy wściekli się po raz nie wiadomo który. Ich telewizja puściła reportaż o tym, jak Polacy robią Ruskich w wała. Urządzono też konferencję, na której zaprezentowano list Rosyjskiego Towarzystwa Wojskowo-Historycznego do przewodniczącego Rady Europejskiej.

Proszą w nim Tuska **„o okazanie pomocy w zrewidowaniu decyzji i zarekomendowanie organizatorom, by dali towarzystwu możliwość wzięcia na równych prawach udziału w konkursie ze względu na doświadczenie i pełne zagłębienie w ten temat”.**

Ruscy mieliby trochę pamiątek dla muzeum i mają na nie kasę. Mają też pewność, że jeśli odpuszczą, to powstanie ekspozycja, w której braknie wątku radzieckich jeńców i Peczerskiego. Zupełnie jak w przemówieniach polskich oficjeli na 75-leciu ucieczki z Sobiboru.

TADEUSZ JASIŃSKI

Bo modlili się cyrylicą

i złożył doniesienie do prokuratury. Ta, widząc, jaki pasztet szykuje funkcjonariusz PiS, przekazała Czarnkowy donos do pionu śledczego IPN w Lublinie, ten jednak, co było do przewidzenia, uznał, że nie widzi przestępstwa, ponieważ Sahryniem zajmowali się prokuratorzy z wiadomym efektem: to była rzeź na cywilach.

Działo się to w gorącym czasie apoteozy znowelizowanej pod koniec czerwca ustawy o IPN, zatem bezczelny 51-letni historyk, prezes Towarzystwa Ukraińskiego, był jak dar niebios: bubel prawny z nieznowelizowanym wątkiem ukraińskim nabierał dodatkowej wagi, bo swoim istnieniem prowokował pozostałych – nie tylko żydowskich – wrogów polskiego narodu do ujawnienia się, spełniał więc swoje zadanie z nawiązką.

Niedziwne zatem, że Prokuratura Okręgowa w Zamościu podjęła śledztwo z art. 133 kk, który mówi, że **„kto publicznie znieważa Naród lub Rzeczpospolitą Polską, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”.**

Na wniosek prezesa IPN Jarosława Szarka Kuprianowicz, będący również na co dzień wiceszefem Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych, stracił członkostwo w Komitecie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa przy lubelskim oddziale IPN. Mimo próśb ziomków funkcji do dziś nie odzyskał. Nie pomogło nawet to, że ta sama prokuratura po koniec listopada umorzyła śledztwo w sprawie Kuprianowicza.

Kuprianowicz jeszcze niedawno zastanawiał się w mediach społecznościowych, czy Czarnkowi nie wytoczyć procesu cywilnego za nękanie, ale wychodzi na to, że odpuścił. Czarnek natomiast sugerował, że być może zaskarży decyzję prokuratury w Zamościu do sądu, ale też chyba zrezygnował.

Takich mniejszych Sahryniów podczas II wojny światowej było więcej, tyle że są mniej znane historykom. Prawosławni w Polsce jednak o nich pamiętają i poza oficjalnym obiegiem drukują pełne grozy opisy zbrodni na swoich pobratymcach. Zwłaszcza wówczas, gdy zbrodnie dotyczą ich duchownych.

• Tego samego dnia, co w Sachryniu, oddział Armii Krajowej pod wodzą Stefana Kwaśniewskiego i batalion Batalionów Chłopskich dowodzony przez Stanisława Basaja, pseudonim Ryś, wymordował w Łaskowie (powiat hrubieszowski) ponad dwustu „banderowców” razem z ich duchownym – ks. Lwem Korobczukiem. **„Początkowo ukryli się oni w kryjówce, jednak bandyci odnaleźli ich”** – czytamy w „Męczennikach XX wieku” Jarosława Charkiewicza (dalej cytaty z tego samego źródła. **„Duchownemu powykręcali ręce, potem strzelali do niego, wreszcie odrąbali mu głowę. Następnie poćwiartowali zwłoki ostrym narzędziem, aby wywołać większe przerażenie u tych, którzy odnajdą jego szczątki”.**

• Nie mniej finezyjnie „leśni” obeszli się również z ks. Mikołajem Holcem z Nowosiółek (powiat tomaszowski) 2 kwietnia 1944 r. Nie dość, że był kapłanem Ukraińców, to jeszcze z pochodzenia w połowie Niemcem, czyli najpewniej folksdojczem.

Jak wiadomo, każdy pop powinien mieć brodę, zaczęto więc od brody:

„Odcięto mu brodę, język i uszy. Gdy w cierpieniach wił się z bólu, nakłuwano mu poszczególne części ciała, a na piersiach wycięto krzyż. Niektóre relacje mówią o tym, że umarł z wykrwawienia, inne zaś, że śmierć nastąpiła w wyniku strzału z pistoletu w głowę”.

• W 1944 r. na Lubelszczyźnie ofiarą został 53-letni ks. Piotr Ohryzko. **„Męczeńską śmierć ks. Piotr poniósł w należącej do jego parafii wsi Czartowiec w piątą niedzielę Wielkiego Postu. Działo się to 10 kwietnia 1944 r., gdy rzymscy katolicy świętowali Niedzielę Palmową. Tego dnia kapłan celebrował dla młodzieży Św. Liturgię, połączoną z wielkopostną spowiedzią. W trakcie nabożeństwa wyprowadzono go z cerkwi i ubranego w szaty liturgiczne prowadzono przez wieś. W miejscu zwanym Klakowicką Łąką wepchnięto go do błota i po leżącym przepędzono konie, które jednak przeskakiwały nad nim. Następnie wykłuto mu oczy, odcięto mu język, uszy i nos. Masakrując, oprawcy krzyczeli: Oto tobie, popie, twoja cerkiew i twoja wiara prawosławna!”.**

WJK

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl fdfd39ccec

Obrona Hawany

Viva Cuba!
Viva Europa!
A Stany niech się pałują.

Ilustr. WŁODEK KIERUS

„Oczekuje się od nas, żebyśmy wyparli się swojej solidarności z ludami walczącymi o wyzwolenie w zamian za obietnice przebaczenia – jak gdyby rewolucja potrzebowała przebaczenia imperialistów” – ogłosił rząd kubański w odpowiedzi na kolejne amerykańskie sankcje.

Przed smutnym 1 Maja w mojej ojczyźnie kapitalistycznej i uległej wobec imperializmu pocieszenia szukam w wieściach płynących z kraju żywej rewolucji.

Nowa wojna

Administracja Trumpa w typowym dla niego finezyjnym stylu przystąpiła do nowej wojny z Kubą. Zdaje się być przekonana, że kolejne, w sumie marginalne sankcje osiągną to, czego nie załatwiło 60 lat totalnej blokady – złamią upartych komuchów i nauczą ich moresu wobec „kraju wolnych i domu dzielnych”. W tym konkretnym przypadku przekonają Kubę do zerwania sojuszu z chavistami i poparcia Juana Guaidó namaszczonego na prezydenta Wenezueli przez Donalda Trumpa.

Akurat w rocznicę nieszczególnie udanego desantu na Playa Girón (wydarzenia szerzej znanego jako inwazja w Zatoce Świń) na spotkaniu z weteranami tej spieprzonej operacji doradca ds. bezpieczeństwa narodowego John R. Bolton ogłosił, że obecna administracja wreszcie zrobi z komuchami porządek.

Środkiem do tego ma być ograniczenie kwoty, którą Kubańczycy z USA mogą wysyłać rodzinom w kraju – do 1000 dolków kwartalnie. Co nie zrobiło na Kubie specjalnego wrażenia, zważywszy, że dominująca wysokość takich transferów to 200–220 dolarów miesięcznie. Bolton zapowiedział też surowsze kryteria określające, co jest **„wyjazdem do rodziny”**, żeby, jak to ujął, ukrócić **„zawoalowaną turystykę”** – co jest, przyznacie, uroczym określeniem: moralne zło wakacji na Kubie, które rząd Trumpa zdemaskuje i zlikwiduje, przemawia do wyobraźni. Z tym że sankcja wydaje się średnio dotkliwa, zważywszy, że z pięciu milionów podróżnych odwiedzających Kubę co roku obywatele USA stanowią jakieś 5 procent – dominują Kanadyjczycy i Europejczycy, którzy administracji Trumpa jakoś się nie słuchają.

A nawet wręcz przeciwnie: jej nowe pomysły wywołały zarówno w Kanadzie, jak i w Unii reakcję zgoła pozbawioną szacunku.

Trzeci rozdział

Najważniejszą z pakietu nowych sankcji, zapowiedzianych przez Boltona, jest bowiem odmrożenie zapisów rozdziału III ustawy Helmsa-Burtona z 1996 r., pozwalającego kubańskim obszarnikom wydziedziczonym przez rewolucję pozywać Kubę przed amerykańskimi sądami.

Z punktu widzenia Kuby przepis jest humorystyczny, biorąc pod uwagę, że nie uznaje ona jurysdykcji amerykańskich sądów ani nawet nie zawraca sobie głowy wysyłaniem pełnomocników

– ale Unia Europejska i Kanada były mniej ubawione. Ustawa traktuje bowiem wszystkich, którzy robią interesy z Kubą, jak paserów, którzy także mogą być pozwani przed amerykańskie sądy przez byłych kubańskich posiadaczy.

W odpowiedzi na uchwalenie tej ustawy – w 1996 r. – powstało rozporządzenie Rady Unii Europejskiej nr 2271/96, które stanowi, iż **„żadne orzeczenie sądu ani trybunału, ani też żadna decyzja władz administracyjnych spoza Wspólnoty”** płynąca z ustawy Helmsa-Burtona **„nie zostanie w żaden sposób uznana ani nie będzie podlegać wykonaniu”**. Mało tego – rozporządzenie wprost zakazuje podmiotom europejskim stosowania się do amerykańskich sankcji. Dalej poszła Wielka Brytania, która jej przestrzeganie obłożyła własnymi karnymi sankcjami. Podobnie postąpiły Kanada i Mek-

REBUS 5

Wieści gminne i inne

Nieukontentowany diagnozą pacjent szpitala w Wałbrzychu, obrzucił jego budynek kamieniami, czyniąc szkody w oknach i fasadzie, które wyceniono na 2 tys. zł. Lekarze stwierdzili, iż malkontent jest zdrowy i kwalifikuje się do domu, co pozbawiło go przyjemności korzystania z dalszej doskonałej i troskliwej opieki placówki. Za zniszczenie publicznego mienia czeka go 5 lat w więzieniu, gdzie room service może nie być na poziomie tak wysokim jak w wałbrzyskim szpitalu.

W miejscowości Zakręt, na wylocie szosy prowadzącej z Warszawy do Lublina, w budynku magazynu akt komorniczych i sądowych wybuchł pożar. Akta paliły się wyjątkowo dobrze jak nie przymierzając katedra w Paryżu. 80 strażaków gasiło je mokrą wodą, co jednak niewiele pomogło. Spłonęły doszczętnie. Zgodnie z relacjami świadków połowa obserwujących to niezwyczajne zjawisko była bardzo zadowolona, a druga połowa bardzo niezadowolona.

W Krakowie natomiast szwankowały tramwaje, właściwie jeden, który stanął jak wryty na ul. Zwierzynieckiej i żadne błagania oraz prośby nie mogły go skłonić do ruszenia z miejsca. Z inicjatywy motorniczego, który porwał pasażerów płomienną mową, tramwaj siłą ludzkich mięśni przepchnięty został kilka metrów. To przywróciło mu wolę toczenia się po szynach. Zdarzenie to potwierdza niepopularną wśród racjonalistów prawdę, że deterministyczny materializm, sprowadzający wszelkie procesy we wszechświecie do ruchu cząstek, zupełnie ignoruje doniosłą rolę ducha ludzkiego związaną z tymi procesami.

Natalia N. z Klonowa, zobaczywszy 8 psów rasy owczarek niemiecki, pomyślała, że zwierzęta chcą się z nią pobawić. Było to być może prawdą, tyle że wyobrażenia kobiety i czworonogów na temat tego, co jest zabawą, były zupełnie odmienne. W rezultacie igraszek Natalię z ranami szarpanymi tułowia, na wpół oskalpowaną odwieziono do bydgoskiego szpitala. Przyczynę agresji psów bada prokuratura. Jedna z roboczych hipotez zakłada, że mógł być nią głód. Jest to bardzo prawdopodobne, bo we wcale nieodległej historii miliony istnień ludzkich i zwierzęcych prosty głód doprowadzał do szaleństwa.

Z rasistowską rzeczywistością polskiego prawa karnego zderzył się rolnik spod Kartuz, który w specjalnie wytworzonym mikroklimacie, opartym na komputerowo sterowanym systemie oświetlenia, ogrzewania, nawadniania i wentylacji, wspieranym niezależną od sieci publicznej siłownią elektryczną, wyhodował prawie 3 tys. zdrowych, dorodnych krzewów delikatnych konopi indyjskich. Mogłoby z tego być 800 kg wysokiej klasy marihuany, bardzo pożądanej na rynku krajowym i u konsumentów z krajów ościennych. Niestety niektóre gatunki roślin w Polsce traktowane są jak Murzyni w czasach apartheidu. Opierając się na rasowych uprzedzeniach, prawodawca uznaje istnienie ich za nielegalne, co wykorzystali funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego Policji oraz Straży Granicznej, decydując o zagładzie konopi i aresztowaniu przedsiębiorczego rolnika.

Rys. TOMASZ WIATER

Nieznany sprawca wybił szybę i odgiął kratę w drzwiach wejściowych do sklepu spożywczego w Łodzi. Następnie ukradł papierosy i wódkę, co pozwoliło mu osiągnąć przychód według wartości rynkowych zrabowanego towaru w wysokości 2,5 tys. zł. Na miejscu kradzieży włamywacz zgubił jednak swój doroczny PIT. Zguba pozwoliła policji ustalić, że nieznanym sprawcą jest 43-letni Łukasz K. Tym sposobem przypisano mu również włamania do dwóch mieszkań w Łodzi, z których przychód mógł wynieść 5 tys. zł. Wspomniane dochody słusznie nie były uwzględnione w zeznaniu podatkowym Łukasza, albowiem filozofia naszego systemu fiskalnego jest taka, że zabiera pieniądze osiągnięte ciężką i uczciwą pracą, a te uzyskane występkiem, nierządem i szalbierstwem pozostają nieopodatkowane. Uczciwy podatnik Łukasz K. spędzić może 10 lat w więzieniu opłacanym z naszych podatków.

Jak ustalili dziennikarze Polskiej Agencji Prasowej, 72-letni mieszkaniec

eprasa.pl fdfd39ccec

syk, który dla przestrzegających ustawy Helmsa-Burtona przewidział do 280 tys. dolków kary – i nawet wcielił ten przepis w życie w 2006 r. wobec hotelu „Sheraton Maria Isabel” w Mexico City, który pod naciskiem Departamentu Stanu USA wyrzucił szesnastu kubańskich oficjeli.

Jeszcze w 1996 r. UE zaskarżyła ustawę Helmsa-Burtona do Światowej Organizacji Handlu. Do rozprawy nie doszło, albowiem strony postanowiły załatwić sprawę polubownie – co obejmowało zawieszenie działania przepisów zezwalających na pozywanie Kuby i współpracujących z nią firm europejskich przed amerykańskie sądy. Zawieszali Clinton, Bush, Obama i nawet – po początku kadencji – Trump. Teraz postanowił odwiesić, co nie spotkało się ze zrozumieniem wśród sojuszników.

Prawna spirala

Wysoki przedstawiciel UE do spraw zagranicznych Federica Mogherini, szefowa kanadyjskiego MSZ Chrystia Freeland i unijna komisarz handlu Cecilia Malmström we wspólnym oświadczeniu ogłosiły, gdzie Trump może sobie wsadzić swoje groźby. Unia Europejska i Kanada zakażą przestrzegania odmrożonych przepisów na swoich terytoriach, a ponadto przewidują, że każdy pozew przed amerykańskim sądem wobec europejskich i kanadyjskich firm napotka roszczenie wzajemne przed sądami UE i Kanady, co **„może prowadzić jedynie do niepotrzebnej spirali działań prawnych”.**

Z kolei Komisja Europejska w oświadczeniu z 17 kwietnia stwierdza, że **„Unia Europejska ponownie wyraża zdecydowany sprzeciw wobec eksterytorialnego stosowania jednostronnych środków związanych z Kubą, które są sprzeczne z prawem międzynarodowym”** i **„rozważy wszystkie dostępne jej możliwości ochrony swoich uzasadnionych interesów”,** w tym wznowienie procesu przez WTO.

Jako wielbicielka Kuby i wróg Ameryki wprost nie potrafię wyrazić zachwytu z powodu faktu, iż właśnie Kuba staje się kością niezgody między Europą i USA. *Viva la revolución!*

Kubańska konstytucja

Skoro już jesteśmy przy rewolucji i jej życiu: warto dodać, iż od 10 kwietnia Kuba ma nową konstytucję. Jej projekt, opracowany przez komisję konstytucyjną pod kierownictwem Raúla Castro, został poddany konsultacjom społecznym w trakcie 135 tys. spotkań w zakładach pracy, szkołach, szpitalach, na uniwersytetach i na ulicach, prowadzonych przez 7600 specjalnie przeszkolonych 2-osobowych zespołów. W wyniku tych spotkań obywatele Kuby zgłosili do projektu 800 tys. poprawek, które komisja następnie opracowała, zmieniając 63 proc. artykułów, proponowanych w pierwotnej wersji. Referendum odbyło się 24 lutego. Wzięło udział 84 procent Kubańczyków. 86,85 procent głosowało za, 9 procent było przeciw, 4,15 procent oddało głos nieważny.

Nowa konstytucja dopuszcza (ograniczoną) prywatną własność środków produkcji; ogranicza liczbę kadencji prezydenta do dwóch i wyznacza górny wiek objęcia urzędu na 60 lat; uznaje zmiany klimatu za kluczowe zagrożenie dla kraju; zakazuje dyskryminacji ze względu na płeć, rasę, pochodzenie etniczne, orientację seksualną, tożsamość płciową lub niepełnosprawność; definiuje dostęp do służby zdrowia i edukacji jako podstawowe prawa obywatelskie; wprowadza zasady sprawiedliwego procesu – domniemanie niewinności, prawo do adwokata od momentu aresztowania, prawo do zaskarżenia aresztu. Jednocześnie potwierdza system monopartyjny i stanowi o nieodwracalności socjalistycznej rewolucji.

Ale nie te zapisy wzbudziły największe wzburzenie ludu.

Wolna wola

Najgłośniejsza dyskusja dotyczyła wykreślenia z konstytucji zapisu o małżeństwie jako związku kobiety i mężczyzny. W pierwotnej wersji projektu, której propagatorką była Mariela Castro – posłanka, aktywistka gejowska, a przy okazji córka Raúla – małżeństwo było zdefiniowane jako **„dobrowolny związek dwojga ludzi bez względu na płeć”.** 5 konserwatywnych Kościołów ewangelickich wystąpiło przeciw temu zapisowi, ogłaszając, że małżeństwa jednopłciowe są niezgodne z planem bożym i komunistyczną moralnością. Na ulicach rozpętała się wojna plakatowa między konserwą i środowiskami gejowskimi, co skłoniło władze do salomonowego rozwiązania: nowa konstytucja znosi zapis o **„kobiecie i mężczyźnie”** i w ogóle nie mówi nic o płci w małżeństwie, ograniczając się do stwierdzenia, że jest to **„instytucja społeczna i prawna”,** oparta na **„wolnej woli i równych prawach i obowiązkach”,** a w sprawie konkretów odsyła do ustawy.

Jak zapowiadają przedstawiciele rządu – w tym prezydent Miguel Diaz-Canel, który po objęciu urzędu otwarcie deklarował poparcie dla małżeństw jednopłciowych – ustawa je legalizująca powstanie po wejściu w życie konstytucji i będzie poddana osobnemu referendum w ciągu dwóch lat.

Czyli – nie sposób nie zauważyć – prawdopodobnie dużo wcześniej niż w naszej demokratycznej europejskiej Polsce.

AWŁ

Rys. TOMASZ WIATER

Dość tej pedofilii

Mam dość czytania i słuchania o pedofili w Kościele. Rzecz to oczywista, ale przecież ukrywał ją Wojtyła, Franek zrobił z niego świętego, czyli wszystko gra, Kościół leci na kasę.

Tylko ja mam tego dość, bo mój ojciec mając starczą demencję, pod wpływem mediów ciągle opowiada mi, jak ksiądz zapraszał go do burdelu zwanego zakonem i jak zakonnica w Krakowie ciągnęła go do łóżka.

Znam te opowieści z czasów gdy ojciec był zdrowy, są więc prawdziwe, ale pod wpływem obecnych afer ja mam spierdolone święta.

Ib

Pan D.

Jako wieloletnia mieszkanka Toszka, miejscowości koło Gliwic, z której pochodzi Piotr Duda, a jednocześnie jego rówieśniczka, chciałabym podzielić się kilkoma informacjami na temat obecnego przewodniczącego „Solidarności”.

Pan przewodniczący powszechnie znany był jako Tulwa, bo w dzieciństwie trudno mu było wypowiedzieć wulgaryzm „k...”. A było to słowo chętnie przez niego używane z racji jego kontaktów z miejscowym marginesem. Zapisał się po ukończeniu miejscowej podstawówki do przyzakładowej szkoły zawodowej przy kombinacie Bumar Łabędy, gdzie trafiała, delikatnie mówiąc, trudna młodzież. W tym czasie chyba zapisał się do HSPS (Harcerska Służba Polsce Socjalistycznej), bo można go było zobaczyć w typowym dla tej organizacji piaskowym mundurze, który ozdabiała czerwona krajka. Szybko został przewodniczącym Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, koło to działało chyba (już dobrze nie pamiętam) przy Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury lub przy Miejsko-Gminnym Komitecie PZPR, którego I sekretarzem był wówczas mgr Roman Maj. Aktywnie uczestniczył w pierwszomajowych pochodach i odbierał pochód, stojąc na trybunie w pierwszym rzędzie, trzeci obok I sekretarza partii. Może uda się w MGOK odnaleźć zdjęcia. Powołanie do wojska, zdaniem moich toszeckich rówieśników, uratowało mu życie, bo bardzo często nadużywał. O tym okresie życia chciałby chyba zapomnieć, bo Wikipedia przedstawia jego biografię od roku 1980, gdy podobno zapisał się do Solidarności, bo poczuł powiew nowego i szybko uciekł z tonącego okrętu. Sprytu i cwaniactwa już wtedy nie można mu było odmówić.

Grażyna Wilczek

Broniarz, Broniarz, pokaż rogi

Tak jak lubię czytać Pańskie teksty, ceniąc je za wiele aspektów, ale przede wszystkim za trafność, tak tym razem jestem rozczarowany.

Teza jakoby pospiesznie zwołane komisje egzaminacyjne miały jakikolwiek wpływ na ocenę egzaminu to bzdura, przed którą uchroniłaby Pana rozmowa z kimkolwiek dzieciatym, którego dziecko podlegało egzaminom (gimnazjalnym albo ósmoklasisty – co do tego, jak matury dzisiaj wyglądają, to się nie wypowiadam). Praca komisji w szkole ma charakter jedynie organizacyjny – ludzie, którzy są w szkolnych komisjach nie mają nic do czynienia z ocenianiem egzaminów ani nie mają żadnego wpływu na pytania, które są w arkuszach – nie ma żadnej części ustnej. W ogóle nie rozumiem, do czego im jest potrzebne przygotowanie pedagogiczne – chyba jedynie do tego, żeby umiejętnie dzieciaków pilnować. Ocenianiem egzaminów zajmują się egzaminatorzy z CKE, to są zupełnie inni ludzie – jak to teraz będzie zorganizowane, to nie wiem.

Moim zdaniem Pański błąd jest tak duży, że cały pomysł felietonu trochę się zesrał.

Łukasz Fil

Gdy przyjdzie wojna

W numerze „NIE” 16/2019 zamieściliście artykuł opisujący kolejną aferę wykręconą przez pisowców. Tym razem nabyli śmigłowce rzekomo dla policji, całkowicie pomijając przepisy prawa i naruszając tym samym wszelkie zasady dotyczące wydatkowania przez państwo pieniędzy publicznych. Domyślam się, iż artykuł, podobnie jak mnóstwo poprzednich, nie wywoła jakiejkolwiek reakcji. Chciałbym przy tej okazji poruszyć bardzo istotny moim zdaniem, a niezauważalny powszechnie problem.

Otóż PiS rządzi, a także tworzy prawo za pomocą narracji wojennej. Wszystkie kroki PiS „wymagają” nadzwyczajnych środków, odejścia od powszechnych zasad i przepisów, wszystko jest właściwe dla stanów wyjątkowych, nadzwyczajnych. Dla nich wszędzie jest WOJNA. To jest jedna z istotnych cech pisowców. Oczywiście ubarwiają część swoich dokonań propagandą opisującą rzeczywistość jako totalną patologię, rozpad wszelkich relacji, wymagającą natychmiastowego uzdrowienia, i to wyłącznie za pomocą środków nadzwyczajnych, właściwych dla stanu wojny. Obecnie, tak jak to ma miejsce w przypadku zakupu śmigłowców dla policji, właściwie pisowcy zrezygnowali z propagandy uzasadniającej nadzwyczajny tryb wyboru maszyn oraz wydatkowanie znacznych kwot z pominięciem zasad wyrażonych w przepisach. Tak dalece przyzwyczaili się do wyjątkowości, że totalnie lekceważą już zasady, przepisy, umowy i standardy międzynarodowe.

Proszę zwrócić uwagę, iż zasady działań nadzwyczajnych właściwych dla stanu wyjątkowego rozpowszechnili w wielu sferach życia: w funkcjonowaniu parlamentu, w tworzeniu prawa i w wymiarze sprawiedliwości, w prawie podatkowym, w oświacie, w zamówieniach publicznych, obronie, a nawet w ochronie przyrody! W pozostałych sferach stan wyjątkowy oczywiście też jest widoczny.

Ci ludzie zwyczajnie nie potrafiąc niczym zarządzać, administrować czy kierować, zasłaniają się stanem wyjątkowym, wymagającym działań właściwych dla wojny. Ale nie zauważają skutków i podstaw swoich działań. Szafując środkami wojennymi, wyczerpują katalog wszelkich środków administrowania. Skoro używają środków nadzwyczajnych w okresach spokoju, potrzebujących rzeczowych, ale sprawdzonych i uregulowanych, czyli opisanych przepisami czynności, to co zastosują, gdy sytuacja naprawdę będzie wymagała środków nadzwyczajnych, wojennych?

Zapewne zamiast łagodzić i opanowywać krok po kroku sytuację – wprowadzą drakońskie regulacje i kary za każde działanie nie po myśli władzy pisowskiej. Myślę, że są gotowi wprowadzić nawet doraźną karę śmierci za niepodporządkowanie się rozkazom władzy. Tych ludzi stać na wszystko, bowiem refleksja, rzeczowa analiza sytuacji i podejmowanych kroków są im obce. Na razie sytuacja wewnętrzna ani zewnętrzna nie wymaga środków nadzwyczajnych, ale …tak, tak, wszystko może się zmienić, i to w szybkim tempie.

DJK

Skarżyska-Kamiennej utopił kota w worku w rozlewiskach rzeki Kamiennej. Kara śmierci wymierzona została, ponieważ topielec wcześniej znęcał się nad gołębiami starszego pana. Pozostałe ważne informacje z kraju i ze świata agencji legitymującej się ponad 100-letnią tradycją przekazywania Polakom rozszerzających horyzonty wiadomości znajdą Państwo na portalu PAP pod adresem Pap.pl.

Wielki sukces w walce z niedostatkiem osiągnął Urząd Miasta Krakowa. Przy alei Powstania Warszawskiego magistrat postawił automat przyjmujący plastikowe butelki. Za każdą płaci 10 groszy. Jak łatwo obliczyć, za 10 butelek otrzymuje się 1 zł, za 1000 100 zł, a za 10 tys. butelek 1000 zł. Tym samym krakowskiej bezdomności, niedożywieniu oraz bezrobociu wymierzono dotkliwego kopniaka w krocze. Koszt instalacji automatu wyniósł 20 tys. zł.

Czterech strażników miejskich z Gorzowa Wielkopolskiego na Bulwarze Zachodnim wypatrzyło mężczyznę, który między palcem wskazującym a serdecznym prawej dłoni trzymał przedmiot przypominający papierosa. Zapach dymu, wyczuwalny w promieniu kilku metrów, wskazywał jednak, że w tutce nie spalał się powodujący raka tytoń, tylko lecznicza marihuana ordynowana przeciw jaskrze, depresji oraz padaczce. Palący jednak nie posiadał stosownego lekarskiego zalecenia do palenia marihuany, co ustaliła policja w sile jednego radiowozu, wezwana przez straż miejską. Tym samym zarzewie narkotykowego haju zostało w Gorzowie stłumione w zarodku.

Policjanci z Myszkowa z pewną dezorientacją obserwowali 19-latka, który około 22.00, siedząc na rozkładanym krzesełku wędkarskim na chodniku, z wędką w dłoni łowił ryby z powierzchni asfaltowej jezdni. Na widok obserwujących wędkarz porzucił sprzęt i uderzył w długą. W naturalny sposób podążyli za nim gliniarze, pojmali i przesłuchali. Młodzieniec przyznał, że w danym miejscu i czasie nie było w Myszkowie żadnych ryb, ale był sklep wędkarski z doskonałym sprzętem, sklep, który otworzył za pomocą płyty chodnikowej. Komenda Powiatowa Policji w Myszkowie informuje, że złodziej poddał się dobrowolnie karze dziesięciu lat więzienia.

Społeczeństwo Wrocławia wydatkowało 2,1 mln zł na wybieg dla rodziny wilków, składającej się z trzech żon, wilczych suk, i ich męża poligamisty, wilka samca, mieszkających w tutejszym ogrodzie zoologicznym. – Zwierzęta mają do dyspozycji sztuczny staw i potok oraz liczne kryjówki, z których chętnie korzystają – powiedział Radosław Ratajszczak, prezes wrocławskiego zoo. Kiedyś w ogrodach zoologicznych byli najwyżej dyrektorzy, ale w istocie – ludzie dysponujący takimi budżetami na mieszkanie „2,1 miliona plus” muszą mieć rangę co najmniej prezesa.

R.J.

Doniesienia zaczerpnięte z prasy lokalnej poddane zostały przez redakcję wnikliwej krytycznej analizie, co jednak nie znaczy, że są prawdziwe. Warte jednak zdały się nam szerszej prezentacji, nawet gdyby na prawdzie polegać nie miały.

Rebus 1: Czy to tucznik? Może krowa? To jutrzenka jest majowa. Rebus 2: Kiełbasa wyborcza na grillu prezesa. Rebus 3: Pierwszy maja święto grilla. Rebus 4: Kto strajkuje, nie grilluje. Rebus 5: W maju nadejdzie dzień zwycięstwa nad kaczyzmem.

R E K L A M A

www.tygodnikprzeglad.pl

NUMER NA DWA TYGODNIE

Okrągły Stół – wielka gra Jaruzelskiego

Gwardziści szwajcarscy podrywani przez kardynałów

Moje, twoje, nasze – rodziny patchworkowe

Kibole to grupy przestępcze

eprasa.pl fdfd39ccec

Kraina znudzonych psów

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Leżąc w budzie, owczarki służbowe psują statystyki.

Aspirant sztabowy Bolesław Baciejowski z komisariatu w Bielawie (województwo dolnośląskie) do generała Jarosława Szymczyka, Komendanta Głównego Policji: **„Wnioskuję o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego z uwagi na liczne nieprawidłowości w pracy, a w zasadzie z uwagi na brak możliwości pracy z psami służbowymi na terenie działania Komendy Powiatowej Policji w Dzierżoniowie. Niestosowanie się do obowiązującego zarządzenia nr 296 Komendanta Głównego Policji (w sprawie metod i form wykonywania zadań z użyciem psów służbowych, szczegółowych zasad ich szkolenia oraz norm wyżywienia – przyp. A.S.) moim zdaniem wyczerpuje znamiona przestępstwa niegospodarności, przekroczenia uprawnień, niedopełnienia obowiązku służbowego oraz mobbingu. We wspomnianym zarządzeniu paragraf 15 brzmi: »(…) niedopuszczalne jest kierowanie przewodnika psa do innych zadań, które powodują niewykorzystanie psa w służbie«. Ten paragraf najwyraźniej w KPP Dzierżoniów nie przyjął się i może należałoby go zmienić. (…) Wyznaczanie innych zadań przewodnikom powoduje, że psy służbowe gniją w kojcach i nie są wykorzystywane w służbie (…), a przewodnicy nie są w stanie wywiązywać się rzetelnie z nałożonych obowiązków (…). Osobą odpowiedzialną za taki stan jest Naczelnik Prewencji (…), który od co najmniej ośmiu lat lansuje pracę przewodników na sucho tj. przewodnicy zasuwają po interwencjach, a psy siedzą w kojcach i czekają na przewodników. Jakiekolwiek próby wyrugowania tych nieprawidłowości od lat nie przynoszą żadnego efektu, najwyraźniej Pan Naczelnik czuje się ważniejszy od obowiązujących przepisów w tym zakresie”.**

• • •

Według amerykańskich badań siła uderzeniowa patrolu złożonego z policjanta i psa jest porównywalna do patrolu 3-osobowego, a patrolu dwóch policjantów z psem – do patrolu 5-osobowego.

– Gdy pod budę z alkoholem lub dyskotekę, w których doszło do naruszenia porządku bądź bezpieczeństwa obywateli, przyjedzie policjant z psem służbowym jako wsparcie dla patrolu podejmującego interwencję, często nawet nie ma kogo wylegitymować, bo wszyscy odważni na widok psa bez kagańca robią się bardzo grzeczni i potulni. Z tego powodu nikt nie znieważy policjantów, nie ma żadnej czynnej napaści – mówi pies, czyli policjant.

Filozofia policyjnej roboty opiera się na statystykach.

Gdy statystyki są zadowalające, komendant powiatowy ma się czym pochwalić komendantowi wojewódzkiemu, ten komendantowi głównemu, główny ministrowi spraw wewnętrznych, a minister posłom.

Za „dobre” statystyki komendanci otrzymują premie i awanse. W ich interesie jest, aby było jak najwięcej interwencji i zdarzeń, aby potem wykazać, że policjanci ciężko pracują, a przełożeni jeszcze ciężej nadzorują podwładnych. Zapobieganie przestępstwom schodzi na plan drugi.

• • •

Komendant powiatowy policji w Dzierżoniowie wspólnie z naczelnikiem prewencji wpadli na genialny pomysł. Wydali dyspozycję, aby psy siedziały w kojcach, a policyjnych przewodników oddelegowali do innych zadań. Jest to niezgodne z prawem, bo zarządzenie Komendanta Głównego Policji zabrania takich praktyk.

Baciejowski zwracał uwagę przełożonym, że łamią prawo, ale nic sobie z tego nie robili. Wysłał 3 raporty do Komendy Głównej Policji. Zero reakcji. Szefostwo policji zainteresowało się sprawą dopiero wtedy gdy zagroził, że powiadomi prokuraturę.

Okazuje się bowiem, że łamane jest nie tylko zarządzenie Komendanta Głównego Policji, ale mamy także do czynienia z niegospodarnością, niedopełnieniem obowiązków i przekroczeniem uprawnień. Takie przestępstwo zagrożone jest karą do 10 lat więzienia.

Wyszkolenie jednego psa kosztuje ok. 60 tys. zł. Do tego trzeba doliczyć utrzymanie, m.in. wyżywienie i opiekę weterynaryjną (minimum 4 tys. zł rocznie).

Funkcjonariusz w ciągu roku powinien odbyć 180 służb z psem, co daje efektywność wykorzystania psa w stu procentach. Tymczasem na terenie komendy w Dzierżoniowie efektywność nigdy nie przekroczyła 25 proc., a często bywało i tak, że wynosiła zaledwie 10 proc. 6 psów co najmniej przez 6 lat, zamiast pełnić służbę, siedziało w kojcach. Straty finansowe, które poniosła policja, a w zasadzie podatnicy (psy zakupiono z funduszu poprawy bezpieczeństwa miasta Dzierżoniów), wyniosły nie mniej niż 600 tys. zł. Ponadto nie odbyło się ponad 4 tys. patroli!

• • •

Po piętnastu miesiącach od wysłania pierwszego pisma do KGP Baciejowski otrzymał list od inspektor Anny Rosół, komendantki Centrum Szkolenia Policji w Legionowie. Okazało się, że potwierdziło się to, o czym alarmował: **„Odnosząc się do powołanego przez Pana braku reakcji na potwierdzone nieprawidłowości we wskazanym zakresie, informuję, że z przesłanych do Centrum Szkolenia Policji danych wynika, że właściwy przełożony dyscyplinarny zastosował w tej sprawie przepisy o odpowiedzialności dyscyplinarnej”.** Komendant powiatowy policji w Dzierżoniowie został ukarany… upomnieniem.

Okazało się, że KGP wszczęła kontrolę, ale kontrolerzy nie raczyli porozmawiać z policjantami, którzy mają najwięcej do powiedzenia, czyli przewodnikami. Takie działanie wskazywać może na to, że policyjna góra wiedziała o nadużyciach i tolerowała je, a kontrola była fikcją. Po kontroli wprowadzono zmiany. Teraz przewodnik z psem pracuje od 8.00 do 16.00, czyli w tzw. martwych godzinach, gdy prawie nic się nie dzieje. Statystyki pną się w górę.

• • •

Poirytowany postawą policyjnych decydentów Baciejowski złożył zawiadomienie do prokuratury na komendanta wojewódzkiego policji, komendanta powiatowego i naczelnika prewencji. Śledztwo zostało umorzone. Uzasadnienie składa się zaledwie z czterech zdań. Prokurator stwierdził, że doszło do nieprawidłowości, ale **„ich ciężar nie wskazuje na zaistnienie danych dostatecznie uzasadniających podejrzenie przestępstwa”.** Według prokuratora **„nie można mówić o niegospodarności, bowiem nie sposób stwierdzić, że pies, którego wyszkolenie kosztuje (…) 60 000 zł, nie był wykorzystywany w ogóle”.**

Baciejowski nie mógł się pogodzić z łamaniem prawa i tolerowaniem nadużyć. Po prawie trzydziestu latach nienagannej służby (w tym 22 jako przewodnik) rzucił policyjną odznaką i przeszedł na emeryturę. Podobnie postąpili inni przewodnicy.

• • •

Były już policjant napisał list do ministrów Ziobry i Brudzińskiego: **„Mam nadzieję, że Prokurator Generalny zajmie się sprawą i sprawdzi, dlaczego Prokuratura Rejonowa w Dzierżoniowie nic nie zrobiła, aby przestępcy w mundurach ponieśli zasłużoną karę. Mam nadzieję, że Minister Spraw Wewnętrznych i Administracji zajmie się Komendą Główną Policji i niekompetentne osoby, które noszą mundury policyjne, przypomną sobie, po co pracują w policji i za co otrzymują wynagrodzenie. (…) A jeśli chodzi o narażanie życia i zdrowia, to (…) użyłem wobec przestępcy broni palnej, a nie psa służbowego, bo pan Naczelnik wpisał mi służbę bez psa w książkę odpraw”.**

Nadzieja jest matką głupich, mimo to Baciejowski z nadzieją czeka na odpowiedź. Psy się nudzą. Czyż nie jest to okrucieństwo wobec zwierząt?

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

Państwo PIS

Podludzie

W prawie stanowionym przez PiS coraz częściej pojawia się kategoria obywateli, którym mniej wolno.

Osoby objęte ustawą z 16 grudnia 2016 r., która bezzasadnie jest nazywana dezubekizacyjną, są prześladowane nie tylko poprzez odebranie znacznej części emerytury lub renty rodzinnej albo inwalidzkiej. Są grupą, której pisowscy szowiniści odbierają systematycznie coraz więcej praw. Praw, wydawałoby się, nieodbieralnych.

Ustawa z 14 grudnia 2018 r. o zmianie ustawy o służbie zagranicznej mówi, że w służbie zagranicznej nie może być zatrudniona osoba, która od 22 lipca 1944 r. do 31 lipca 1990 r. pracowała lub pełniła służbę w organach bezpieczeństwa państwa lub była współpracownikiem tych organów. Z tego powodu w kwietniu tego roku służbę w MSZ zakończyło około czterystu doświadczonych dyplomatów. Zastąpienie ich nowymi pracownikami jest niemożliwe. Jak twierdzi nasz informator pracujący blisko ministra Czaputowicza, **„resort traci tzw. pamięć instytucjonalną, nasza dyplomacja jest w stanie agonii”.**

Podobne uregulowanie znalazło się w ustawie o Krajowej Administracji Skarbowej. Art. 144 mówi, że kto pracował w organach bezpieczeństwa państwa w latach 1944–1990, ten nie ma prawa być zatrudnionym w KAS. Po wejściu w życie ustawy pracę w skarbówce straciło około 160 doświadczonych i kompetentnych urzędników.

Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce (tzw. konstytucja dla nauki ministra Gowina), obowiązujące od 1 października 2018 r., wyklucza z zasiadania w radach uczelni każdego, kto służył w latach 1944–1990 w organach bezpieczeństwa państwa. Osoba taka nie może też być członkiem senatu uczelni, członkiem Komisji Ewaluacji Nauki, Rady Doskonałości Naukowej, Polskiej Komisji Akredytacyjnej, a nawet profesorem tytularnym.

Również w nowo uchwalonym prawie łowieckim z 22 marca 2018 r. znalazły się zapisy dyskryminujące byłych funkcjonariuszy. Art. 33d prawa łowieckiego mówi, że **„w skład organów Polskiego Związku Łowieckiego, a także w skład zarządu koła łowieckiego lub komisji rewizyjnej nie może wchodzić osoba urodzona przed dniem 1 sierpnia 1972 r., która była pracownikiem, funkcjonariuszem lub żołnierzem organów bezpieczeństwa państwa w okresie od dnia 22 lipca 1944 r. do dnia 31 lipca 1990 r., lub współpracowała z tymi organami”.**

Byli funkcjonariusze organów bezpieczeństwa sprzed roku 1990 mają znacząco uszczuplone emerytury, co jest zamachem na ich prawa nabyte oraz zastosowaniem odpowiedzialności zbiorowej. Nie mogą również iść do pracy w Krajowej Administracji Skarbowej, w dyplomacji, nie mogą zasiadać we władzach uczelni państwowych. Nie wolno im nawet być we władzach koła łowieckiego. To nie koniec.

Niedawno posłowie PiS naciskali na ministra spraw wewnętrznych, żądając dezubekizacji władz Ochotniczych Straży Pożarnych.

Minister odpisał im, że nie ma takiej władzy, bo OSP podlegają przepisom ustawy o stowarzyszeniach. Nietrudno sobie wyobrazić nowelizację prawa o stowarzyszeniach, która zakazywałaby byłym funkcjonariuszom zasiadania we władzach jakichkolwiek stowarzyszeń.

Policja została oczyszczona z wszystkich, którzy mieli za sobą chociaż rok służby w milicji. PiS już 2 lata temu rzetelnie wprowadziło w życie hasło: **„Święto policji bez milicji”.**

Łatwo podpowiedzieć pisowskim szowinistom następne kroki dezubekizacyjne, np. wprowadzenie w środkach komunikacji publicznej wydzielonych przedziałów o niższym standardzie, przeznaczonych **„tylko dla ubeków”.** Kina, teatry i muzea, do których nie będzie się ubeków wpuszczać. A później już tylko pozostaje opracować polską wersję *Sonderwagen.* Akcja o romantycznym tytule **„Ostatnia podróż esbeka”** zyskałaby zapewne szerokie grono zwolenników.

Bezpośrednio wskutek wprowadzenia ustawy represyjnej z 16 grudnia 2016 r. śmierć poniosło już 56 osób. Są to samobójstwa, zawały, udary, odstawienia leków, a nawet odstawienie pożywienia. Z powodu nieubłaganego upływu czasu, czyli po prostu ze starości, umarło już blisko 1000 emerytów mundurowych objętych ustawą represyjną. Nie doczekali sprawiedliwości.

Wśród objętych ustawą są wdowy, sieroty, inwalidzi, weterani, funkcjonariusze wywiadu i kontrwywiadu, WOP-iści, łącznościowcy, pracownicy bazy PESEL, paszportowcy, wykładowcy resortowych uczelni, sportowcy gwardyjscy… Nie ma wśród nich morderców ks. Popiełuszki, których ustawa nie objęła.

Droga odwoławcza zapisana w ustawie jest fikcją. Sądy nie rozpatrują skarg, bo czekają na wyrok Trybunału Konstytucyjnego. Jedynym ratunkiem dla represjonowanych jest zmiana polityczna, która może się rozpocząć już 26 maja w czasie wyborów do Parlamentu Europejskiego. Następnym aktem tej zmiany są wybory krajowe w październiku, a jej ukoronowaniem wybory prezydencie w 2020 r. Jeśli do zmiany nie dojdzie, w następnej kadencji do represjonowanych zostaną przyłączone kolejne grupy. Ustawa (druk sejmowy nr 1105) dotycząca żołnierzy służących w jednostkach podległych Zarządowi II Sztabu Generalnego już jest w Sejmie. Została skierowana do pierwszego czytania i utknęła w marszałkowskiej zamrażarce. Następne ustawy powstaną, zanim zdążymy się obejrzeć. Nikt, kto pracował przed rokiem 1990 w **„państwie totalitarnym”** (tak o PRL mówi ustawa represyjna), nie może czuć się bezpiecznie.

ANDRZEJ ROZENEK
andrzej.rozenek@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl fdfd39ccec

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Z dymem opon

Trochę o innych dyscyplinach, a reszta o żużlu.

Jaka jest najlepsza koszykarska liga świata? Wiadomo – amerykańska NBA. Nikt nie ma wątpliwości, że w hokeja na lodzie najlepiej gra się w NHL, a w rugby w Super Rugby, czyli zawodowej lidze skupiającej najlepsze zespoły z Australii, RPA, Nowej Zelandii, Japonii i Argentyny, oraz w europejskiej Pro14.

Z piłką nożną może być

niewielki kłopot,

bo swoich zagorzałych fanów mają niemiecka Bundesliga, hiszpańska La Liga czy włoska Serie A, ale i tak zdecydowana większość kibiców opowie się za Premier League. Na korzyść ligi angielskiej przemawia fakt, że stacje telewizyjne gotowe są płacić za transmisje z jej stadionów więcej niż za relacje z lig niemieckiej, hiszpańskiej i włoskiej razem wziętych. Na marginesie: w zeszłym roku po raz pierwszy od czasu założenia Premier League, czyli od w 1992 r., organizatorzy rozgrywek musieli nieco spuścić z tonu i kolejny 3-letni kontrakt telewizyjny jest minimalnie mniej wart od poprzedniego, ale wciąż mówimy o kwocie ponad 4,5 mld funtów, piłkarze po angielskich boiskach nie będą więc biegać za darmo, a właściciele klubów nie zaczną się rozglądać za posadami domokrążców. Rosnąca popularność internetu, który odciąga widzów sprzed telewizorów, i tutaj jest widoczna.

Gdyby kogoś interesowało: kluby polskiej piłkarskiej Ekstraklasy podpisały właśnie nową 2-letnią umowę na transmisje telewizyjne. Kluby – po odjęciu kosztów operacyjnych – dostaną do podziału 225 mln za sezon. I choć mówimy nie o funtach, ale o złotych, to i tak sporo, zważywszy na poziom widowiska. Co jednak ciekawe, internet jakoś naszej lidze nie zaszkodził i jest to najwyższy kontrakt w historii.

Omówiliśmy koszykówkę, hokej, piłkę nożną, nawet rugby. A żużel? Która liga w tym sporcie jest najlepsza?

Nie ma kłopotu

z wyborem! Najlepsza jest polska liga żużlowa, czyli – używając oficjalnej nazwy – PGE Speedway Ekstraliga.

Dzięki transmisjom w kablówkach możemy oglądać nie tylko polski żużel, ale także ligi szwedzką oraz brytyjską, jest więc okazja, by je porównywać.

Nasza Ekstraliga przypomina przepiękną księżniczkę z bajki; przy niej tamte dwie wyglądają jak – najwyżej – dwórki szefa jakiegoś banku centralnego. I nie chodzi tylko o poziom sportowy.

We wszystkich wspomnianych ligach startują najlepsi krajowi zawodnicy oraz światowe gwiazdy. Ekstraliga przebija innych organizacją zawodów, nowoczesnością stadionów, atmosferą na trybunach, nie mówiąc już o urodzie dziewcząt podprowadzających zawodników do linii startu i pokazywaniu obrazków zza kulis zawodów. No, do sędziowania można mieć czasem pretensje, ale kontrowersyjne decyzje zdarzają się podczas wszystkich zawodów na czarnym torze.

Telewizja daje pieniądze, ale też wymaga. Od zeszłego sezonu obowiązuje Speedway Slot System, który każdej z lig przydziela dni, podczas których mogą rozgrywać swoje ligowe mecze. Zgodnie z ustaleniami Polacy mają do dyspozycji piątek i niedzielę. To stwarza problemy. Jeśli warunki atmosferyczne uniemożliwią rozegranie zawodów w niedzielę, a już na początku sezonu mieliśmy taki przypadek, nie można ich przesunąć na następny dzień. Poniedziałki zarezerwowane są dla angielskiej Premiership. A jedna niedziela przepadła nam z klucza. Niby mogliby zawodnicy ścigać się w Niedzielę Wielkanocną, ale kto w naszym kraju się na to zgodzi? Wielkanocna Niedziela przeznaczona jest na rodzinne śniadanie i spożywanie święconych pokarmów przy banalnych rozmowach. Lany poniedziałek też odpadł – on jest dla Anglików.

W pełni zawodowa Ekstraliga, wcześniej organizowana przez Polski Związek Motorowy, od 2007 r. przeszła pod własny zarząd. Uczestniczyć w rozgrywkach mogą

tylko profesjonalne kluby

działające w formie spółki akcyjnej lub sportowej spółki akcyjnej. Po sezonie najlepsza drużyna Ekstraligi zostaje mistrzem Polski, a najsłabsze spadają na drugi poziom rozgrywkowy, czyli do Nice Polskiej Ligi Żużlowej.

Poziom drugiej ligi jest również wysoki, a zawody także przyciągają na stadiony tłumy widzów. Ciekawostka dla Czytelników nieobserwujących z bliska zawodów na czarnym torze: w polskiej drugiej lidze startuje łotewski zespół Lokomotiv Daugavpils z Dyneburga. Po rozpadzie ZSRR drużyna nie miała z kim rywalizować w swoim kraju. Włączyła się więc do ligi fińskiej, później rosyjskiej, od 2005 r. startuje w polskiej. 2 razy wywalczyła prawo walki w meczach barażowych o awans do Ekstraligi, ale musiała z nich zrezygnować. Inwestycje w tor i w stadion, aby spełnić warunki Ekstraligi, przekraczały finansowe możliwości Łotyszy.

Finanse to nie jest problem tylko łotewski. Speedway należy do sportów wymagających naprawdę dużych nakładów. Utrzymanie stadionu, organizowanie zawodów, płace zawodników – to wszystko powoduje, że w najlepszej lidze świata często wpływy z tzw. dnia meczowego nie pokrywają wydatków. Liczyć trzeba na sponsorów, nic dziwnego, że nazwy klubów są jednocześnie nazwami firm, takich jak Fogo, Betard, forBET itp. Na szczęście drugim członem musi być tradycyjna nazwa, odziedziczona jeszcze z przeszłości, dzięki czemu nie ma problemu z identyfikacją drużyn. Na pewno nie mają go kibice od lat oglądający zawody w Lesznie, Gorzowie, Wrocławiu, Zielonej Górze, Toruniu i innych miastach długo związanych z tym sportem. Przeprowadzono nawet badania, które wykazały, że sport żużlowy ma w Polsce wierniejszych kibiców niż inne dyscypliny.

Mieszkańcy Warszawy nie mają jak tego sprawdzić. Już mało kto pamięta, że na stadionie przy ul. Wawelskiej ryczały kiedyś motory, a w powietrzu unosił się

zapach spalanego metanolu.

W 1969 r. zdjęto nawierzchnię żużlową z bieżni, a na jej miejscu położono pierwszy w kraju tartan. Lekkoatleci byli wniebowzięci, sympatycy sportu żużlowego zrozpaczeni. Co ciekawe, garstka fanatyków tej dyscypliny długo przetrwała w stolicy i wielokrotnie podejmowano próby przeniesienia żużla na Stadion Gwardii, ale właściciel obiektu – czyli milicja, a później policja – nie był tym zainteresowany. Podobno ma tam powstać ośrodek szkoleniowy, tylko nie wiadomo, kiedy i jaki.

Żużel, i to w wykonaniu największych mistrzów, wrócił do Warszawy na nowy Stadion Narodowy, ale niestety była to kompletna kompromitacja. W 2015 r. podjęto decyzję, aby zawody o Grand Prix Polski, rozgrywane w ramach światowego cyklu Grand Prix, przeprowadzić na nowiutkim, eleganckim obiekcie mieszczącym na trybunach ponad 60 tysięcy widzów. Pozornie ryzyko było niewielkie: nowoczesny stadion przystosowany jest do rozgrywania na nim najróżniejszych sportów. Wydawało się, że wystarczy usypać tor, zainstalować maszynę startową i sprawa załatwiona. Nic z tego.

Gdyby przyszło nam wymieniać wszystkie błędy organizatorów, nie wystarczyłoby miejsca do końca tej publikacji. Zaczęło się od fatalnego usypania nawierzchni, która w połączeniu z kiepskimi warunkami atmosferycznymi uniemożliwiła przeprowadzenie treningów w przeddzień turnieju. Gdy zawody się rozpoczęły, okazało się, że wadliwie działa taśma, spod której startują zawodnicy. Organizatorzy wspólnie z sędziami podjęli

przedziwną decyzję

wypuszczania zawodników na tor bez taśmy, oceniając „na oko”, czy wszyscy ruszyli jednocześnie. To, a także kilka kraks, które zdarzyły się na wąskim i grząskim torze, sprawiło, że żużlowcy w pewnym momencie odmówili udziału w zawodach. A warto wspomnieć, że w turniejach z serii Grand Prix biorą udział tylko najlepsi jeźdźcy na świecie, tacy, których punktowy dorobek upoważnia do udziału w zawodach transmitowanych do wielu krajów.

Trybuny Stadionu Narodowego były pełne i choć według wspomnianych już badań większość kibiców przyjechała do stolicy z miast o dużych tradycjach żużlowych, a ich stawkę uzupełniły także „słoiki” zatrudnione w warszawskich firmach, okazało się, że warto organizować Grand Prix na Stadionie Narodowym, pod warunkiem że zorganizuje się je dobrze.

Fatalna premiera zawodów żużlowych na Stadionie Narodowym nie zraziła ani organizatorów, ani kibiców. Turnieje z dobrym już skutkiem powtarzano co roku, upiększano za każdym razem oprawę, bilety sprzedawały się świetnie i już zaczyna wyrastać nowe pokolenie stołecznych fanatyków tego sportu. Za jego oglądanie trzeba jednak sporo płacić.

W tym roku Grand Prix Polski odbędzie się 18 maja; najtańsze bilety, na miejsca, z których niewiele widać, kosztują 29 zł, ale najdroższe – 699 zł.

Piękne księżniczki z bajek, takie jak nasza Ekstraliga żużlowa, zwykle okrywa mgiełka tajemniczości. Choć wszystkie polskie kluby muszą działać jako spółki akcyjne i ich finanse są jawne, nie wiadomo np., w jaki sposób rozliczają się między sobą zawodnicy. Bywa, że sytuacja na torze wymaga, aby jeden członek drużyny oddał swoje miejsce koledze, bo w ten sposób blokuje atak rywali. W kolarskiej drużynie wszyscy pracują dla lidera i nagrody są dzielone równo. Czy żużlowcy postępują podobnie? Na pewno nie dzielą się premiami równo, ale jakieś prywatne umowy muszą istnieć.

Sporo tajemnic

kryje motocykl żużlowy. Pozornie wszystko jest jasne. Regulamin bardzo ściśle określa parametry techniczne, a zawodnicy używają silników trzech marek: GM, Java lub GTR. Wiadomo jednak, że żadna jednostka napędowa nie nadaje się od razu do startu. Silnikiem zajmuje się fachowiec zwany tunerem, który dokonuje w nim najróżniejszych przeróbek. Dzięki temu motocykl wyposażony w silnik o pojemności 500 ccm potrafi przyspieszać od 0 do 100 km/h w 3 sekundy. Zawodnicy nie tylko nie zdradzają szczegółów pracy tunera, czasem w tajemnicy trzymają nawet jego nazwisko.

Każdy silnik dostosowany jest nie tylko do techniki jazdy zawodnika i specyfiki toru, na którym odbywają się zawody. Pod uwagę trzeba brać nawet temperaturę powietrza. Pierwsza ligowa kolejka w tym sezonie przypadła akurat na weekend, podczas którego na Polskę spłynęły masy arktycznego powietrza. Ścigano się przy temperaturze bliskiej zera. Silniki tego nie znoszą.

Kibice także nie lubią takiej pogody, ale szczelnie wypełnili trybuny. Ich tuningiem były ciepła kurtka, czapka i szalik. Łatwiej dostosować do pogody kibica niż silnik żużlowego motocykla.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
w.mittelstaedt@op.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Ćwikliński, Waldemar Kuchanny, Andrzej Rozenek (zastępcy red. nacz.),
Mateusz Cieślak, Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Maciej Mikołajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Łaniewska.
Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
http://www.nie.com.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.”

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 0-801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7°– 17°.
(koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Prenumerata elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl
1 numer – 3 PLN, 5 wydań – 15 PLN, 13 wydań – 39 PLN, 26 wydań – 78 PLN, 52 wydania – 156 PLN

Numer zamknięto: **str. 1–32 – 24.04.2019 r.**

eprasa.pl fdfd39ccec

Na poświąteczne spotkanie z premierem Mateuszem Morawieckim w sprawie oświatowego okrągłego stołu zostali zaproszeni minister spraw wewnętrznych Joachim Brudziński i jego zastępca Jarosław Zieliński.

Pytanie Brudzińskiego, dlaczego nie ma Zalewskiej, Rafalskiej ani Czerwińskiej, premier zbył milczeniem.

– No i ten stadion… – miał wątpliwości minister. – Nie wiem, czy to ma coś wspólnego, ale debata przedwyborcza Poroszenki i tego drugiego… – spojrzał pytająco na Zielińskiego, lecz Zieliński jak zwykle nie wiedział, o co chodzi.

– Zełenski – podpowiedział Morawiecki. – Prezydent Wołodymyr Zełenski.

– Ich debata też odbyła się na stadionie – dokończył Brudziński.

– Nie ten kierunek – rzekł premier, a minister zaczął się zastanawiać, co ma na myśli.

– Czy stadion w ogóle jest okrągły? – spytał Zieliński. – Już bardziej kwadratowy…

– Prostokątny, głąbie – szepnął jego przełożony, a potem głośno wrócił do wątku poruszonego przez Morawieckiego: – Nie ten kierunek? Co chciał pan przez to powiedzieć, panie premierze?

– Chile – powiedział cicho premier.

– Taka przyprawa? Trochę mniejsza papryka? – głupio zapytał Zieliński.

– Chile – powtórzył Morawiecki z wyraźną fascynacją w głosie – generał Pinochet, lewicowa opozycja, Stadion Narodowy w Santiago… Mówi to panu coś, panie ministrze?

– Nic a nic – przyznał się Zieliński.

Brudziński coś kiedyś o tym czytał…

– Każdy naród jest niby kosz pełen jabłek – Morawiecki wstał i założył ręce na piersi. – Wszystkie wyglądają na świeże, zdrowe i rumiane. Ale są w koszu jabłka dotknięte zgnilizną. Jeśli nie wyrzuci się ich z koszyka, wkrótce zgniją wszystkie jabłka.

Brudziński miał wrażenie, że słucha kazania.

– Czterdzieści sześć lat temu w Chile gnijącymi jabłkami byli lewicowi intelektualiści – ciągnął premier – artyści, wykładowcy, nauczyciele. Nauczyciele!

Brudzińskiemu zaczynało świtać.

– Zwłaszcza nauczyciele – powtórzył Morawiecki – którzy wciąż wysuwali postulaty. Strajkowali, chcieli sami układać programy nauczania, żądali więcej pieniędzy… Generał Augusto José Ramón Pinochet Ugarte rozumiał, dokąd to wszystko prowadzi i dlatego zrobił porządek z nauczycielami oraz innymi wichrzycielami. Przestępców, prowodyrów, jednostki aspołeczne kazał internować na Estadio Nacional de Chile…

– Po jakiemu to? – szepnął wiceminister.

– Po hiszpańsku – odszepnął minister. – Chilijski Stadion Narodowy.

Ministrowi zaczęło dudnić w głowie. Pociemniało mu w oczach. Słowa premiera słyszał jak przez grubą warstwę waty: – …cóż, niektórzy ponieśli śmierć, ale co znaczy wyrzucenie kilku zgniłych jabłek, jeśli dzięki temu da się uratować cały naród.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

by **blagier Urban**

Świętego Beniamina

Córka dostała wezwanie na przesłuchanie do Centralnego Biura Śledczego Policji, tego od największych przestępstw. Zadzwoniła, o co chodzi. Usłyszała, że o przestępczość zorganizowaną w postaci kradzieży samochodów. Spakowała fajki, majtki, upiększacze, szczoteczkę do zębów i coś ciepłego. Pożegnała dzieci. W CBŚP czekała ją miła niespodzianka. Okazało się, że to jej ukradziono hondę.

Świętego Gwidona

Nadpalenie katedry Notre Dame ugodziło mnie osobiście. Nie dlatego, że ją kiedyś zwiedziłem. Rozpocząłem naukę w Związku Radzieckim w szkole takiego imienia jak katedra. Wkrótce zamieniono patrona na Dzierżyńskiego, ale Nasza Pani wróciła, gdy do Lwowa wkroczyli Niemcy. Przywrócili oni Notre Dame, ale ja do szkoły wrócić nie mogłem. Będąc parchatym, zmieniłem pochodzenie, a rodzice zacierali ślady. W szkolnych dokumentach opisano mnie bowiem jako jewreja.

Świętego Pankracego

W minioną Wielkanoc stęknąłem „O Boże!”. Słysząc to, Daniszewska wyraziła straszne podejrzenie, że jestem kryptoreligijny – i to ze mnie, bydlaka, wyłazi. Tłumaczyłem, że stękanie stanowi powinność fizjologiczną każdego starego Żyda, podobnie jak kupkanie. Stęknięcia potrzebują adresata. Mogło być: „O dupo!, O wężu!, O Gosiu!, O kurwa!, O palancie!, Oj, Azor!”. Ale w Polsce Bóg sam pcha się w podświadomość. Przypuszczenie, że mam tajny romans z absolutem, uważam za podłość własnej żony. Wręcz za dowód, że latami rozkładała dla mnie nogi, mając mnie za idiotę. Na usprawiedliwienie ukochanej żony mam to tylko, że ona rewanżuje się za moje podejrzenia, iż jest pijaczką. Mam na to jednak dowody silniejsze niż rodzaj stęknięć.

Świętego Izydora

W „Do Rzeczy” Lisickiego Waldemar Łysiak, sfanatyzowany nudziarz, ożywił swoje cotygodniowe wywody, łżąc, że homoseksualiści chcą heteryków nawrócić na jednopłciowe stosunki seksualne. Gdyby tak było, likwidowaliby własną odrębność. Skasowaliby także ludzkość, gdyż lesby i pedały nie rozmnażają się drogą płciową, lecz muszą przygarniać cudze dzieci, których nie byłoby. Rozumy Łysiaków są niedożywione.

Świętego Benedykta

16 kwietnia na str. 1 „Gazeta Polska Codziennie” wydrukowała wielki nekrolog samochodu Pawła Piekarczyka, który koordynuje kluby tej gazety, a także śpiewa im. Chevroletowi barda przydarzyło się to samo, co katedrze Notre Dame. Piekarczyk dziękuje więc za kondolencje płynące z kraju i z zagranicy, jako że cały świat opłakuje jego były samochód, ponieważ był staruszek po remoncie. Żal po aucie „GPC” łagodzi radością. Twierdzi, że według danych CBOS „na PiS chce głosować 43 procent wyborców, a na PO 18 procent”. Prognoza jest bałamutna, bo badano, ilu ludzi chce głosować na partie, podczas gdy opozycja idzie zjednoczona w trzech odrębnych blokach, z których 2 są mocno biorące mandaty. PiS strzela sobie w kolano, uprawiając propagandę przyszłego sukcesu. Zwolennicy Kaczyńskiego, z góry upewnieni o jego zwycięstwie, mogą nie pofatygować się do urn, uznając, że ich udział jest zbędny, skoro z góry wiadomo, iż PiS wygra.

Świętej Julianny

Urządzona była „Noc konfesjonałów”. Kościół mniema widocznie, że wierni, nie mogąc usnąć ze swoimi grzechami, pobiegną się ich pozbyć. Wiedza o społeczeństwie upewnia jednak, iż noc jest czasem popełniania grzechów, nie zaś pozbywania się ich. Księżom, w tym niepedofilom, ich firma na próżno nie daje spać.

Świętego Rufina

Żeby sondaże krzepiły własny obóz polityczny, trzeba odpowiednio zadawać pytanie społeczeństwu. Władza zapytuje: „Czy chcesz, żeby nauczyciele pracowali tyle, ile na Zachodzie?”; „Czy chcesz okrągłego stołu w sprawie edukacji?”; „Czy pragniesz niedopuszczenia maturzystów do egzaminu?”. 80 procent woli dopuszczenie. 67 procent chce, żeby nauczyciele pracowali jak na Zachodzie, bo tam przecież wszystko jest lepsze. 2/3 pragnie okrągłego stołu. Skoro bowiem w 1989 r. taka formuła rozmów była czymś skutecznym, wręcz pysznym, sama nazwa mebla działa magicznie. Sztuka takiego stawiania pytań, żeby osiągać upragnione odpowiedzi, nie jest trudna. Żeby je uzyskać, należy zadać pytania: czy chcesz zarabiać więcej? Czy pragniesz mieć raka? Czy wolisz, żeby twoją dziewczyną była modelka, czy garbata? Czy przedkładasz Dudę nad Bieruta?

Świętego Donata

Rzecznik Lasów Państwowych ostrzega przed niedźwiedziami, gdyż jeden z nich nieskutecznie zaatakował mężczyznę. Misie są więc niebezpieczne, a brunatne – dodajmy – jak hitlerowcy. Ogólnie biorąc, Polak powinien się bać, a wtedy wszystko będzie po myśli rządu. Tomasz Sakiewicz pisze, że polscy pseudonarodowcy mogą Trumpowi odebrać drugą kadencję. „W USA, prowokując konflikt pomiędzy Polakami i Żydami, mogą doprowadzić do zwycięstwa demokratycznego kandydata”. To był cytat! Matka Polka ma zaś moc rozjebania grawitacji. To nie był cytat.

Świętego Benedykta

Były kolega Sławomir Tabkowski przysłał mi luksusowo wydany zbiór swoich felietonów „A dzwony dzwonią, dzwonią”. Ich lektura skłania mnie do zwrócenia się do czytelników moich felietonów: nie marnujcie czasu na nie-Tabkowskich.

Świętego Wilhelma

Podziwiam powściągliwość PiS. Nie pojawiła się choćby sugestia, że to Broniarz skopcił Notre Dame. Morawiecki nie żądał zbadania jego palców dla ustalenia, czy nie ma na nich śladów siarki, wskazujących, że szef ZNP podłożył na dachu katedry samozapalane zapałki. Ktoś, kto podpalił polskie szkoły, mógł przecież uczynić to samo z innym niż one zabytkiem.

Świętej Celestyny

W roku 1983 siedzący w więzieniu Michnik zdecydowanie chciał procesu jedenastu przywódców opozycji, a ja, siedzący w rządzie, zdecydowanie pragnąłem go uniknąć. Kierowało jednak nim i mną to samo przeświadczenie, że proces i wyrok zaszkodzą władzy, czego on chciał, a ja nie. I o takiej rozbieżnej zbieżności warto wykładać uczniom i studentom, aby rozumieli politykę. Szczegóły w nowej książce prof. Andrzeja Friszkego „Sprawa jedenastu”, którą kończę czytać.

Świętej Ady

Wielki, bo elastyczny rozum polityczny okazuje w Polsce wyłącznie mój pudel Azor. Przewodzi bandzie kotów wojujących z psami, lecz razem z nimi tworzy sforę, gdy jest okazja do poszczekania na koty. Gdy koty śpią, są dla Azora niezauważalne. Robi hałas, gdy biegają, bo wścieka go ich aktywność. Polityka w moim domu jest bardziej przejrzysta niż ta w państwie.

Świętej Teodozji

Paryską katedrę mają odbudować pod dowództwem wielogwiazdkowego generała, który był szefem armii. To dywersja prezydenta Macrona, który nie lubi katolików. Francuskie wojsko zawsze przegrywało. W 1940 r. przegrało wojnę z Niemcami. Po niej poniosło klęskę w Wietnamie. Następną w walce z powstaniem w Algierii oraz w wojnie z Egiptem o Suez. Temu, co zostało z katedry Notre Dame, grozi więc rychłe zawalenie. □

sekr@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl fdfd39ccec